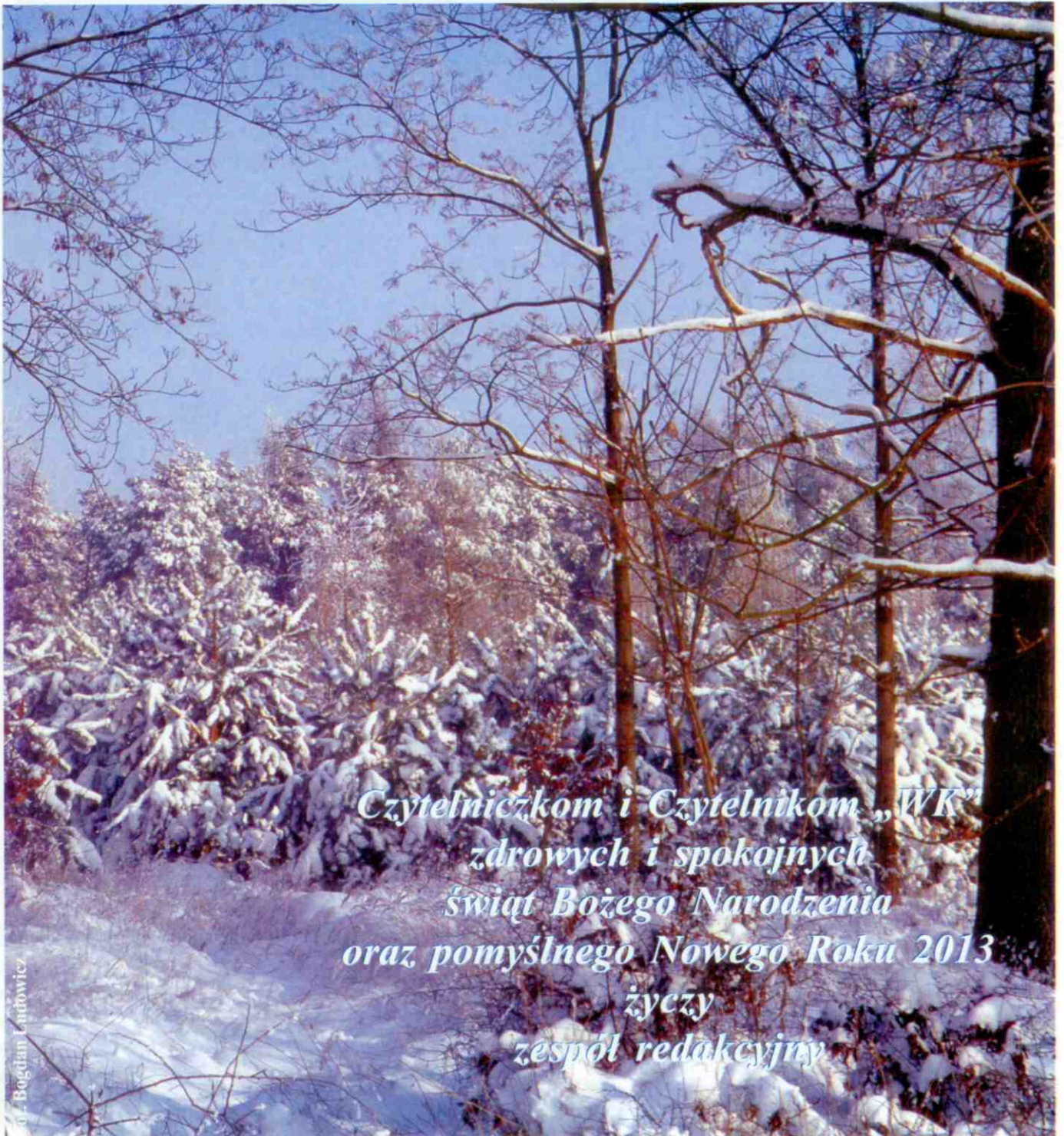


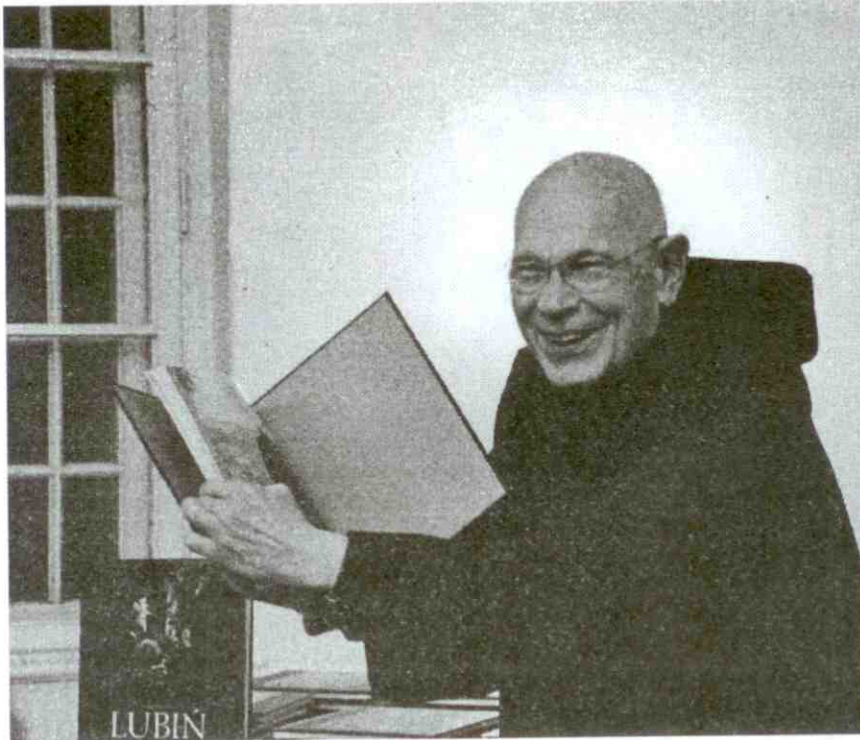
wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 5 zł • nr 9-12 (241-244) • wrzesień-grudzień 2012



*Czytelniczkom i Czytelnikom „WK”
zdrowych i spokojnych
świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślnego Nowego Roku 2013
życzy
zespół redakcyjny*



Ojciec Karol Meissner (OSB) prezentuje nowe wydanie albumu.

Fot. Dariusz Borowski

Perła Ziemi Kościańskiej w obiektywie

„Lubiń - Opactwo Benedyktynów” – to drugie poprawione i rozszerzone wydanie przez Starostwo Powiatowe w Kościanie albumu fotograficznego autorstwa prof. Andrzeja P. Florkowskiego; albumu, który prezentuje i upamiętnia – wyjątkowe pod względem religijnym i historycznym miejsce na mapie Powiatu Kościańskiego.

Promocja albumu odbyła się w klasztornej refektarzu w piątek 21 września 2012 roku. Cztery lata, które minęły od pierwszego wydania albumu poświęconego klasztorowi Benedyktynów w Lubiniu, przyniosły dwa doniosłe, historyczne wydarzenia. W grudniu 2009 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej uznał Lubiń – zespół opactwa Benedyktynów za pomnik historii. Na prezydenckiej liście pomników historii – mówił witając gości Izaak R. Kapała OSB, przeor klasztoru – znajduje się 50 najcenniejszych w Polsce obiektów, w tym również, co jest szczególnym wyróżnieniem benedyktyńskie opactwo. Z kolei w 2010 roku prezes Kongregacji Zwiastowania

Najświętszej Maryi Panny skierował do Lubinia dekret, w którym zapisano: „uznajemy, ogłaszamy i potwierdzamy, że wymieniony wyżej Przeorat z dniem dzisiejszym zostaje przywrócony wraz z nadanymi prawami i przywilejami do rangi Opactwa”. Te, jak podkreślił przeor doniosłe wydarzenia w tysiącletniej historii lubińskiej, benedyktyńskiej wspólnoty musiały zostać udokumentowane na kartach nowego wydania albumu.

- Nie byłoby tego spotkania i albumu, gdyby nie to miejsce, które od wielu wieków daje nam to, co najwartościowsze. Były różne okresy w historii, ale na nic knowania ludzkie, jeśli wola boża jest taka, by to miejsce przetrwało. I tak się stało. Nadal perła wśród nizin jaśniej. Nie byłoby tego albumu, gdyby nie działalność ojca Karola Meissnera, który kilkadziesiąt lat temu odbudowywał klasztor i budował tę wspólnotę; gdyby nie praca profesor Kurnatowskiej i samego sprawcy profesora Florkowskiego -

cd. strona 5

Maciej Morawski
Honorowym Obywatel
Kościana
(6,7)

Opowieść o życiu siostry
Joanny od Jedności
(11-13)

Wigilie na wygnaniu
(14,15)

Dramatyczne losy
żołnierza
dwóch konspiracji
(16-18)

Zdzisław Wojtczak
wspomina
dawny Kościan
(27-29)

Wojciecha Smudzińskiego
miłość do koni
(30-32)

Prezydent z Białcza rodem
(37-39)

Poezja
Eugeniusza Wachowiaka
(53)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazujące się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.



Laureaci nagród „WK 2011”. Od lewej: Henryk Mąka, Jacek Kokociński (w imieniu Piotra Grygiera), Zbigniew Gidaszewski, Dorota Lew – Pilarzka i Jan Kozak.
Fot. Bogdan Ludowicz

W rytm myśliwskiego rogu

13 września 2012 roku w Skansenie Filmowym Soplicowo odbyła się uroczystość wręczenia nagród „Wiadomości Kościańskich”. Po raz 22 wyróżniono ludzi nieprzeciętnych za ich pasję, serce i dokonania na rzecz lokalnej społeczności. Laureatów i gości przywitał red. Paweł Sałacki, który prowadził imprezę. Zwrócił uwagę na charakterystyczny baner „Wiadomości Kościańskich”, który od lat towarzyszy przedsięwzięciu.

- Przechowywany w różnych warunkach nieco poszarzał. Jego kondycja jest jednak dowodem na to, że nagroda ma bogatą przeszłość. Jej gwarantem jest przede wszystkim grono laureatów. Ludzi, którzy jeśli coś robią, to z pasją i w sposób perfekcyjny.

Statuetkę z brązu przedstawiającą stronę tytułową „Wiadomości Kościańskich” z napisem „Za nieprzeciętność” z rąk redaktora naczelnego „WK” Jerzego Wizerkaniuka odebrali:

„Za serce” Zbigniew Gidaszewski przedsiębiorca ze Starych Oborzysk, właściciel firmy transportowej Juna - Trans. Pan Zbigniew wraz z przyja-

ciółmi i pracownikami prowadzi działalność charytatywną. Wrażliwy na ludzkie nieszczęścia. Nie lubi się chwalić i zbierać laurów. Lubi za to pomagać innym. **W miarę możliwości i sprzyjających okoliczności staram się to robić. Ofiarowane dobro dwa razy wraca, kiedyś wróci i do nas** – komentował skromnie laureat.

„Za troskę o przyrodę” Piotr Grygier, leśnik urodzony w Czempiniu, szef Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych Poznaniu. Statuetkę odebrał Jacek Kokociński, zastępca dyrektora ds. ekonomicznych. Podziękował w imieniu szefa, który nie mógł uczestniczyć w gali osobiście. Odwołała go ważna narada dyrektorów w centralnej Polsce. **To właśnie między innymi też na tej konferencji stara się dbać o naszą przyrodę** – podkreślał pan Jacek.

Jan Kozak, ekonomista i wieloletni prezes Kościańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej doceniony został za „kultywowanie idei spółdzielczości”. Laureat podkreślił, iż nagroda ta jest dla niego najcenniejsza spośród wielu innych. Został doceniony tutaj, u siebie. **A najtrudniej być docenionym we własnym**

środowisku. **To cieszy podwójnie** – nagrodzony nie ukrywał wzruszenia.

Henryk Mąka leśnik, pracownik Stacji Badawczej Polskiego Związku Łowieckiego w Czempiniu odebrał nagrodę „za popularyzację tradycji łowieckiej”. Pan Henryk pochodzi z południowej Polski. 20 lat przepracował w powiecie kościańskim i w Czempiniu. Bardzo ceni sobie pracę na ziemi kościańskiej, gdyż ma tu liczne grono przyjaciół, którzy go wspierają w realizowaniu pasji. **Można tutaj dużo zrobić. Rzecz w tym, aby się samemu nie chwalić a robić tak, by inni chwalili ciebie** – żartował laureat.

Po raz osiemnasty przyznano również tytuł „Dobry Gospodarz”. Jest to rzeźba, przedstawiająca wielkopolskiego chłopca, wykonana w drewnie przez artystę Mariana Malińskiego. Rzeźbiarz podkreślał, iż w tym roku zrobiona została z czarnego dębu. Jej ciemny kolor jest więc naturalny, prawdziwy i niebarwiony. Tym razem przyznano ją burmistrz Czempinia Dorocie Lew - Pilarzkiej. Pani burmistrz jako społeczna przewodnicząca Związku Międzygminnego Zagospodarowania Odpadów

SELEKT, działa na rzecz unowocześnienia systemu gospodarowania odpadami stałymi. Laureatka podziękowała za nagrodę i opowiedziała o związku, jego idei i działalności.

Laureatom pogratulował marszałek województwa wielkopolskiego - Marek Woźniak, który nie mógł osobiście uczestniczyć w uroczystości ze względu na pobyt w Armenii. Na ręce redaktora Naczelnego „Wiadomości Kościańskich” przesłał list gratulacyjny, w którym wyraził radość i podziw, że do szlachetnego grona laureatów dołączają kolejne wyjątkowe osoby. W imieniu gospodarzy Ziemi Kościańskiej gratulacje laureatom złożył starosta Andrzej Jęcz.

Uroczystości towarzyszyła muzyka kniei i lasów. Zespół Sygnalistów Myśliwskich z Grodziska Wielkopolskiego zaprezentował głęboki i donośny czar rogu myśliwskiego. Można było usłyszeć tradycyjne hejnały i sygnały zwiastujące, zapoczątkowujące i kończące polowania. Na koniec rozbrzmiał hejnał „Darz bór” wieńczący polowanie, zgodnie z obrzędkiem wysłuchany przez liczną publiczność z odkrytymi głowami i na stojąco. Podkomorzy Soplicowa Marek Pinkowski nie pozostał dłużny. Znalazł wspólny język z nagrodzonym Henrykiem Mąką, zapalonym sokolnikiem. Tuż po uroczystej części gali, Podkomorzy prezentował umiejętności swoich drapieżnych podopiecznych. Wyszkolony sokół podlatywał co kilkadziesiąt metrów i wracał do swojego opiekuna. Jak robi to nieustraszony zaklinacz zwierząt pozostaje jego tajemnicą. Po skansenie spacerowała też udomowiona i pełna spokoju kobyłka Princessa, która trafiła tu niedawno na zasłużoną emeryturę. To następczyni sławnej poprzedniczki Zuli, która parę lat temu podczas gali wręczenia nagród zakończonych obiadem w soplicowskim sadzie próbowała wyjadać gościom z talerzy.

Wspólny język znaleźli również artyści. Marian Maliński twórca rzeźby „Dobrego Gospodarza” oraz Michał Gołąbek. Pan Michał na co dzień przebywa w Stanach Zjednoczonych. Jest tam uznanym i cenionym rzeźbiarzem a jego prace kupują liczne muzea i galerie. Jest on autorem statuetki „WK”, która od lat trafia w ręce nieprzeciętnych. Artyści żywo dyskutowali o sztuce, rzeźbiarstwie i tym co im w duszy gra. (kz)

Perła Ziemi Kościańskiej...

cd. ze strony 3

dołał starosta Andrzej Jęcz, dziękując wszystkim zaangażowanym w powstanie publikacji za współpracę, a autorowi zdjęć wręczył bukiet kwiatów.

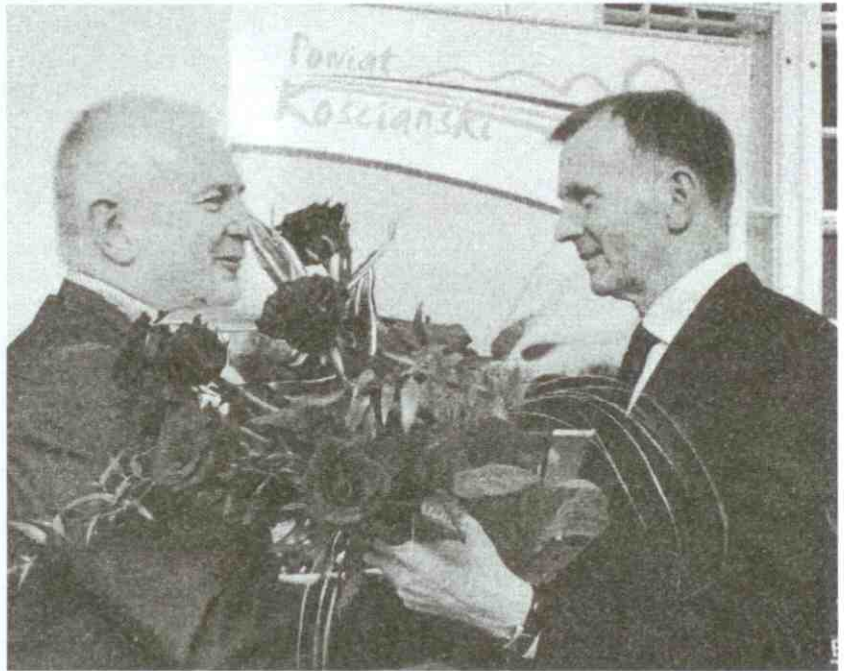
Silnie osadzeni w swojej benedyktyńskiej regule są otwarci na nowoczesność. Mówiła o benedyktynach obecna na promocji prof. Zofia Kurnatowska, archeolog, która przez wiele lat badała lubińskie opactwo. To tu – przynależała – pierwszy raz miałam do czynienia z komputerem. Nowoczesność jednak nie przesłania fundamentów, które sprawiają, że to miejsce promieniuje życiem duchowym. Za to jestem mu szczególnie wdzięczna.

Autor zdjęć do albumu, pochodzący z Kościana prof. Andrzej P. Florkowski dziękując gościom za liczne przybycie przyznał, że jego zamiarem było właśnie takie przedstawienie opactwa, które tętni życiem. Opactwo – w jego odczuciu to nie tylko mury, zabytkowa architektura i bogate wnętrza, ale przede wszystkim życie braci i ich spotkania z otaczającym światem. Profesor podziękował staroście za wznowienie albumu, a braciom za możliwość obserwowania ich dnia codziennego. Szczególnie podzię-

kowania skierował do ojca Karola Meissnera, który na fotografiach w albumie spina opowieść o lubińskich benedyktynach.

Obecni na promocji goście oblegali autora w oczekiwaniu na dedykację i autografy. Album „Lubiń – Opactwo Benedyktynów” wydany przez Starostwo Powiatowe w Kościanie można kupić w lubińskim opactwie. (www.powiat.koscianski.pl)

*) Andrzej P. Florkowski urodził się w 1951 roku w Lesznie. To starszy syn dra med. Henryka Florkowskiego - wraz z rodzicami mieszkał Kościanie. Jest profesorem w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Prowadzi Pracownię Fotografii Reklamowej w Katedrze Fotografii. Zajmuje się szeroko rozumianą fotografią kreacyjną, wywodzącą się z przekazu reklamowego i fotografią dokumentalną. Autor wielu wystaw indywidualnych, kurator i uczestnik wielu wystaw zbiorowych. Od 1979 roku członek Związku Polskich Artystów Fotografików.



Autor – prof. Andrzej Florkowski i wydawca – starosta Andrzej Jęcz.

Fot. Dariusz Borowski

Redaktor Morawski honorowym obywatelem Kościana

Laureat nagrody „WK” i nasz długoletni przyjaciel, paryski korespondent Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa otrzymał godność Honorowego Obywatela Miasta Kościana. Godność przyznała rada miejska.

Wręczenie aktu obywatelstwa i symbolicznej statuetki nastąpiło 11 października 2012 roku na sesji rady, na którą red. Morawski przybył z krewnymi: Rogerem Morawskim z Kanady, Teresą i Maciejem Jakubowskimi oraz pisarką Izabelą z Żółtowskich Broszkowska. Sylwetkę i dorobek honorowego obywatela przedstawił burmistrz Michał Jurga, akt nadania obywatelstwa wręczył przewodniczący rady Piotr Ruskiewicz. W sesji uczestniczyli: starosta kościański Andrzej Jęcz, radni miejscy, młodzież szkolna i stypendyści Stowarzyszenia im. gen. Dezyderego Chłapowskiego.

W czasie 3-dniowego pobytu na Zie-

mi Kościańskiej Maciej Morawski spotkał się z nauczycielami i uczniami Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 im. Oskara Kolberga w Kościanie, odwiedził Jana Pawlaka – znanego działacza krajowego ruchu rzemieślniczego, rozmawiał na specjalnej konferencji z dziennikarzami prasy lokalnej i został serdecznie przyjęty w Opactwie Benedyktynów w Lubiniu. Patriotycznym tradycjom rodzin Morawskich i Żółtowskich poświęcona była pod hasłem „Wierni Niepodległej”, z której sprawozdanie zamieszczamy za internetową stroną Starostwa Powiatowego w Kościanie [www.powiatkoscianski.pl\(red\)](http://www.powiatkoscianski.pl(red))

*



Honorowy Obywatel Miasta Kościana.

Fot. Teresa Masłowska

W piątek, 12 października 2012 roku odbyła się organizowana przez Starostę Kościańskiego, Burmistrza Miasta Kościana oraz Instytut im. Gen. Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie XV sesja popularno-naukowa z cyklu „Wierni Niepodległej”. Temat sesji stanowiły ziemiańskie rodziny Ziemi Kościańskiej – Morawscy i Żółtowscy. Honorowym gościem był redaktor Radia Wolna Europa - Maciej Morawski, który dzień wcześniej otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Kościana. Gościem sesji byli także najbliżsi M. Morawskiego: Roger Morawski, córka ostatniego właściciela Głuchowa Marceliego Żółtowskiego - Teresa Jakubowska z mężem Maciejem oraz Izabela z Żółtowskich Broszkowska.

Sesję poprzedziło widowisko teatralne „Magda”. Spektakl poświęcono łączniczce Armii Krajowej Marii Magdalenie Morawskiej, starszej siostrze Macieja Morawskiego. Autorem scenariusza i reżyserem był Janusz Dodot. Na scenie wystąpili artyści Teatru Kameralnego. Trzeba dodać, że to wzruszające widowisko zostało owa- cyjnie przyjęte przez zebranych.

Gości powitał Edward Strzymiński – wicestarosta Kościański. Inspiracją do zwołania sesji – stwierdził - było nadanie Maciejowi Morawskiemu honorowej godności miasta. Rodzina Morawskich w budowaniu polskiej niepodległości poniosła wiele ofiar. Sesja pozwoli przybliżyć sylwetki osób, którym należy się cześć.

- O patriotycznych dokonaniach ziemiańskich rodzin zakazywano mówić, ale też i pamiętać – powiedział prowadzący sesję dr Waldemar Handke, prezes Instytutu im. Generała Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie. Dlatego dobrze się stało, że dziś mamy okazję to zmienić.

Redaktor Teresa Masłowska w pierwszym referacie pt. „Łączniczka AK Maria Magdalena Morawska „Królowa” (1922-1944) przedstawiła biografię siostry Macieja Morawskiego.

- Śliczna dziewczyna, w której kochała się połowa Poznania i Warszawy. W jej przypadku uroda szła w parze z mądrością, inteligencją i doskonałym wykształceniem, a także odwagą. Rodzina Morawskich podczas wojny się rozdzieliła. Kajetan

Morawski, wraz ze starszym synem pozostał za granicą. Maria Morawska z córką Magdą i synem Maciejem pozostali w kraju. Mieszkali w Warszawie. Magda Morawska miała 17 lat, gdy rozpoczęła się wojna. Przyjęła na siebie wiele obowiązków. Uczyla się i pracowała na utrzymanie matki i brata. Przystąpiła też do konspiracji. Działała w Konfederacji Narodu, Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Była wysyłana do Hamburga i Berlina z tajnymi misjami. Znała doskonale języki, ale także w trudnych sytuacjach potrafiła zachować zimną krew. Pracowała we francuskiej firmie medycznej, dzięki czemu zdobyła leki dla AK. Chciała działać. Wzięła udział w lipcu 1944 roku w nieudanej akcji odbicia więźniów z Pawiaka.

Sylwetkę Marcelego Żółtowskiego, ostatniego właściciela Jarogniewic, który został zamordowany w Katyniu przypominał Zenon Józwiak.

- W 1929 roku hrabia Żółtowski ożenił się z Różą Turno. Mieli czworo dzieci. Kształcił się m.in. Szwajcarii i na Śląsku Opolskim. Po 1919 roku, gdy wstąpił do Wojska Polskiego ukończył szkołę podchorążych, a 1 maja 1920 roku znalazł się na froncie wojny polsko – bolszewickiej. Za walkę został odznaczony orderem Virtuti Militari. Po wyjściu z wojska ukończył szkołę średnią i zdał maturę. Po ukończeniu szkoły powrócił do Głuchowa. Był społecznikiem i filantropem. Działał w organizacjach społecznych i wychowawczych. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany. Po wrześniowej kampanii jego oddział skapitulował i oddał się sowietom. Oficerowie zostali oddzieleni od szeregowych żołnierzy. Przebywał w obozie w Kozielsku. Nazwisko Marceli Żółtowski zapisano pod 91 numerem na liście wywozowej nr 032/1 z 14 kwietnia 1940 roku do lasu katyńskiego.

Kolejnym redaktorem Jerzy Zielonka przedstawił dorobek Mieczysława Chłapowskiego z Kopaszewa.

- Ziemięnin ten został rozstrzelany przez Niemców na kościańskim rynku w październiku 1939 roku. W Kopaszewie gospodarzył przez ponad 40 lat. Publicysta, doskonały rolnik, był człowiekiem wszechstronnym. W 1926 roku został prezesem Fundacji Sulkowskiów w Rydzynie. Założył elitarną gimnazjum, które wykształciło wspaniałych Polaków. Był prezesem rady nadzorczej wyrażnie antyniemieckiego Dziennika Poznańskiego. Te dwa fakty jego biografii to dwie przyczyny jego zamordowania przez Niemców.

Marcin Libicki, przypomniał zebranym osobę ojca Macieja Morawskiego, Kajetana.

- Ambasador Morawski urodził się w 1892 roku. Jego życie to trzy długie epoki. Pierwsza epoka zakończyła się wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Druga, wolna Polska, a trzecia to emigracja, wojna i okres powojenny. W 1918 roku miał 26 lat. Był typowym przedstawicielem środowiska, z którego wyrósł, ale także Wielkopolski tamtego czasu. Panował w niej wówczas nie spotykany w innej dzielnicy solidaryzm społeczny. Wrogiem byli Niemcy. Społeczeństwo nie było podzielone wewnętrznymi napięciami. Tego nie było w innym zaborze. Kajetan skończył gimnazjum w Lesznie, studiował ekonomie i rolnictwo w Lipsku i Monachium. W 1914 roku wrócił do Jurkowa i objął gospodarstwo. W 1918 roku zaczyna pracę w departamencie stanu Rady Regencyjnej. W wolnej Polsce pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W 1926 roku został wiceministrem i kierownikiem ministerstwa. Był członkiem mieszanej komisji do spraw Górnego Śląska. Po przewrocie majowym wycofał się z pracy w dyplomacji i zaczął pracować w instytucjach wspierających rolnictwo. W 1936 roku został wiceministrem skarbu i był zastępcą Eugeniusza Kwiatkowskiego. W 1939 roku, wraz z rządem wyjechał na emigrację, gdzie został ambasadorem rządu przy Narodowym Komitecie Francuskim. Na stanowisku ambasadora pozostał do lipca 1945 roku. Został we Francji. Mając doskonale stosunki z Francuzami został nieoficjalnym ambasadorem rządu londyńskiego. Pełnił to stanowisko przez 25 lat. Był, obok „Kultury” Giedroycia istotnym elementem polskiej emigracji w Paryżu. Ten etap jego życia był niezwykle bogaty w działalność literacką. Nie pisał powieści. Pisał wspomnienia, biografie, artykuły. Jego polszczyzna, sposób ujmowania myśli to rzecz, której się dziś nie spotyka. Jego działalność społeczna to nie tylko polityka emigracyjna. Założył Polski Fundusz Humanitarny. Zgromadził środki, by kupić pałac, w którym powstał dom dla starszych Polaków. Umarł w 1973 roku.

O przodku Macieja Morawskiego, działaczu katolickim, Kajetanie Piotrze Morawskim, który żył w latach 1817-1880 mówił Jan Pawicki.

- Dziad Macieja Morawskiego, otrzymał stosownie do swojej epoki wykształcenie, studiował we Wrocławiu, Berlinie i Monachium. Z uwagi na stan zdrowia nie

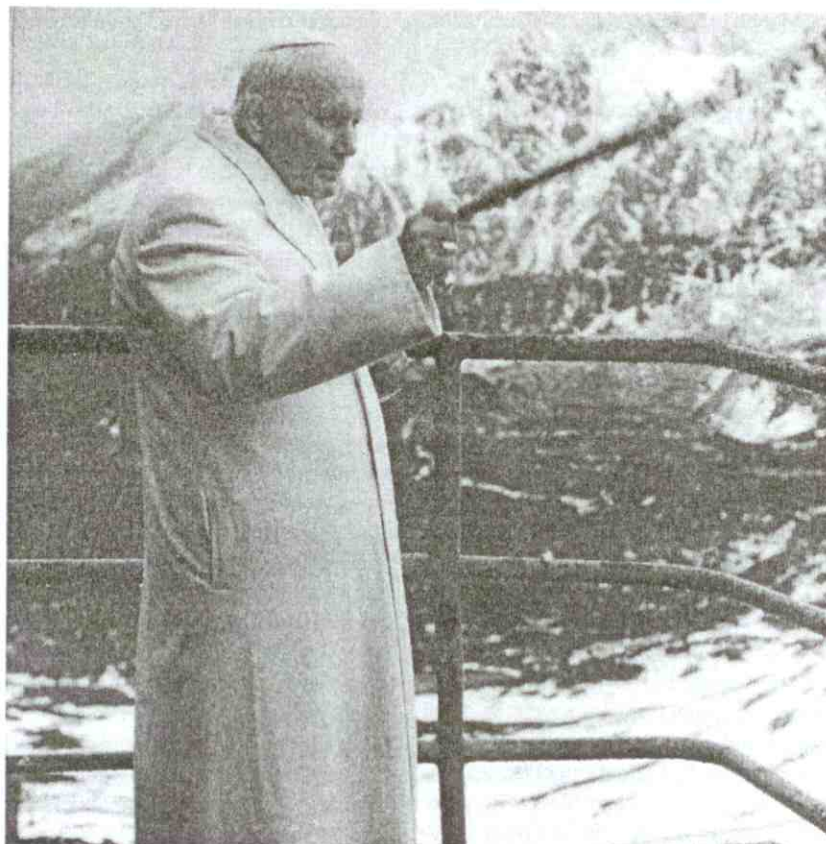
ukończył uczelni. Wyjechał do Rzymu, gdzie spotkał się z Ojcami Zmartwychwstańcami, z którymi się zaprzyjaźnił. Ta przyjaźń, a także kontakty z innymi wybitnymi ludźmi kościoła wpłynęły na ukształtowanie jego poglądów na życie społeczne, polityczne, a także na kwestie wiary. Po wyjeździe z Rzymu do Konstantynopola i pobycie na Ukrainie wrócił do kraju, gdzie w 1841 roku ożenił się z Józefą Głębičką i zamieszkał w Jurkowie. Pisał do wielu poznańskich dzienników. Nie podpisywał swoich artykułów. Ludzie, którzy go znali doskonale je rozpoznawali z uwagi na widoczną w nich wiarę i umiłowanie Ojczyzny. Jurkowo promieniowało na najbliższą okolicę. Jego sława sięgała także poza granice Księstwa Poznańskiego. W 1848 roku został posłem do sejmiku pruskiego. Najbardziej znaczące wydarzenie, określające stosunek Kajetana do spraw wiary miało miejsce w trakcie kampanii wyborczej do sejmiku pruskiego w Kościanie w 1871 roku. W trakcie wiecu Morawski zgłosił postulat, aby wszyscy kandydaci na posła złożyli deklarację, że staną w obronie doczesnej władzy papieża, w obronie stowarzyszeń zakonnych, przeciw szkołom bezwyznaniowym i przeciw ślubom cywilnym. Ta propozycja odbiła się szerokim echem w Wielkopolsce. Za swoje zaangażowanie na rzecz osób biednych cieszył się dużym szacunkiem w Wielkopolsce.

*

Na zakończenie sesji zabrał głos honorowy gość red. Maciej Morawski. Nawiązując do wypowiedzi europosła Macieja Libickiego poinformował, że dzięki jego staraniom założony przez Kajetana Morawskiego Dom dla Starszych Polaków w Lailly en Val znalazł się pod opieką i patronatem Parlamentu Europejskiego. Mówiąc o rodzinie przypominał, że jedną z jej postaw była chęć przezwyciężenia polskich sporów.

- Mój ojciec mówił, że gdyby Polacy energię wkładaną w spory wkładali w służbę krajowi, to byśmy dużo lepiej stali. To była dziejowa misja i tradycja naszej rodziny. Starać się rozmawiać z jednymi i z drugimi. Budować pomosty i rozładowywać napięcia.

Sesję zakończył i podziękował gościom za przybycie jej współgospodarz burmistrz Kościana Michał Jurga, wysoko oceniając merytoryczną zawartość zaprezentowanych wystąpień.



Jan Paweł II w polskich górach.

Fot. Adam Bujak

Jan Paweł II w obiektywie Adama Bujaka

21 sierpnia 2012 roku w dużej sali ekspozycyjnej kościańskiego muzeum regionalnego odbyło się otwarcie wystawy zatytułowanej „Błogosławiony Jan Paweł II w fotografii Adama Bujaka”. Zdjęcia wykonane przez papieskiego fotografa gościły już w kościańskim ratuszu, w roku 2008, podczas trwania wystawy pt. „Pielgrzymki polskie”, lecz podobnie jak i teraz był to wyłącznie wybór pewnej liczby zdjęć z tysięcy ujęć wykonanych przez krakowskiego artystę od lat 60 ubiegłego stulecia.

Prace Adama Bujaka stanowią doskonałą, pełną kronikę pontyfikatu Jana Pawła II. Wolorów artystycznych wystawie z pewnością dodaje fakt, iż selekcję prezentowanych zdjęć przeprowadził sam autor. Adam Bu-

jak jest - obok Arturo Mariego - najbardziej znanym papieskim fotografem. Jego warsztat pracy charakteryzuje nieprzeciętna malowniczość, nastrojowość i trafność ujęć. Olbrzymim atutem krakowskiego artysty jest fakt, iż mógł on pracować bardzo blisko osoby Jana Pawła II. Przywilej ten w połączeniu z niesamowitym wyczuciem chwili zaowocował wspaniałymi i nacechowanymi emocjami ujęciami. Nie może zatem dziwić fakt, że albumy zawierające zdjęcia wykonane pana Adama Bujaka niejednokrotnie uzyskiwały zaszczytny tytuł najpiękniejszej książki roku, a sam ich autor jest laureatem wielu polskich i zagranicznych nagród.

Najnowsza wystawa prezentowała 58 kolorowych powiększeń, na których uwieczniono osobę Jana Pawła II za-

równy w sytuacjach oficjalnych - takich jak celebrowanie nabożeństw i w czasie trwania podniosłych uroczystości, jak też można zobaczyć Biskupa Rzymu kontemplującego Piśmo św. podczas spaceru w Castel Gandolfo, gdy wspólnie z grupką młodzieży śpiewa pieśni lub w trakcie rozmowy z kardynałem Franciszkiem Macharskim w tatrzańskim schronisku. Ujęciem jakoby otwierającym ekspozycję zdjęć papieskich, była pierwsza msza święta odprawiona przez nowo wybranego „Papieża z dalekiego kraju”, kolejne zdjęcia umieszczone zostały w porządku chronologicznym, dzięki czemu wyraźnie zaobserwować można jak czas zmieniał oblicze papieża i powoli pozbawiał go zdrowia. Wystawę zamykały najnowsze fotografie, czyli te które wykonane zostały w trakcie trwania uroczystości pogrzebowych i beatyfikacji Jana Pawła II.

Na otwarcie wystawy przybyło blisko 50 osób w tym poseł na Sejm RP Wojciech Ziemiak a także przedstawiciele lokalnych władz – starosta Andrzej Jęcz, burmistrz Kościana Michał Jurga i przewodniczący Rady Miejskiej Piotr Ruszkiewicz. Dyrektor muzeum Dariusz Kram krótko przedstawił postać papieskiego fotografa i zaprosił do obejrzenia zdjęć, jednocześnie dziękując panu Zenonowi Józwiakowi z leszczyńskiego Instytutu im. Stefana Rowecznego „Grotta” za pomoc w zorganizowaniu wystawy. Prace artysty urzekły wszystkich gości swym pięknem i głęboką wymową.

Wybrane i zaprezentowane fotografie to krótkie, aczkolwiek wzruszające wspomnienie o trwającym 27 lat pontyfikacie. Wystawa stanowiła bardzo dobrą okazję do przypomnienia sobie, jakim człowiekiem był Jan Paweł II, papież pielgrzym, który swym nauczaniem, mądrością i otwartością na drugiego człowieka wywarł ogromny wpływ na tempo i kierunek zmian zachodzących nie tylko w Europie ale i na całym świecie.

Ekspozycja stanowi własność Muzeum - Zamku Zamoyskich w Łańcucie i to właśnie tam odbyła się jej premiera. Kościańskie muzeum było trzecią placówką muzealną w Polsce, w której te zdjęcia zaprezentowano.

LUKASZ URBANIAK

KARL RAHNER

Schriften zur Theologie

Fragment okładki dzieła Karla Rahnera.

www.kath-karlsruhe.de

Jasno-ciemne rozważania nad słowem „Bóg”

*O Panie, nasz Boże,
jak przedziwne Twe imię po wszystkiej ziemi!*
Psalm 8

Teologia apofatyczna, (czyli: negatywna) - oto imię tego prądu myślowego. Wyrasta on z przeświadczenia, że o Bogu możemy bardziej powiedzieć czym nie jest, niż czym jest. Zakłada ona, że nasze słowa nie mogą osiągnąć istoty Boga, ponieważ człowiek zawsze sprowadza rzeczy poznane do znanych już sobie skończonych rzeczywistości. Zatem podejmiemy rzetelny namysł nad ugruntowaniem teologii, którą będziemy rozumieć jako wiarę zrozumianą, jako refleksję nad jej treściami. Punktem wyjścia naszych rozważań będzie Boża niepojętość, to, że Bóg, jeśli jest Bogiem, musi nas nieskończenie przerastać. Głównym przekonaniem, które na wstępie wydaje mi się warte podkreślenia jest przeświadczenie, że teologia dopiero wtedy staje się godną swego szlachetnego miana, gdy prowadzi do przemiany życia w myśl aforyzmu wypowiedzianego przez św. Grzegorza z Nazjanzu: „Mówić o Bogu jest rzeczą wielką, lecz jeszcze lepiej jest oczyszczać się dla Boga”.

*

„Bóg” to pierwsze słowo, które przychodzi nam do głowy, gdy myślimy o teologii. Ponadto należy stwierdzić: musimy mówić w słowach, one w największym stopniu są w stanie uobecnić to, co chcemy powiedzieć. Niech nie zmyli nas pozorna banalność tego stwierdzenia. Musimy zapośredniczać to, co przeżywamy w słowa, gdyż nie

mamy lepszej formy komunikacji. Jednakże akurat w przypadku tego jedyngo w swoim rodzaju słowa „Bóg”, kwestia pozostaje w najwyższym stopniu niejasna, czy w ogóle wiemy o czym mówimy. Czy to, co jest niewyrażalną Tajemnicą naszego bytu, w ogóle daje się w ten sposób uobecnić?

Nie mamy żadnego doświadczenia Boga podobnego do doświadczenia sto-

łu, drzewa, innych ludzi i rzeczywistości, z którymi się stykamy, a które wymuszają ich nazwanie, by mogły w pełni zaistnieć. Wszystko, co pojawia się w zasięgu naszego doświadczenia i przeżycia, podsyca naszą ciekawość, nastraja do rozmyślań, które, gdy chcemy się nimi podzielić, przechodzą przez nieuchronność słów. Jednakże każda z doświadczanych

rzeczywistości nie jest oczywista sama przez się, jak to ujął poeta niemiecki Stefan George: „Nie będzie rzeczy, gdzie brakuje słowa”. Jeśli nie nazwiemy, nie określimy jakiejś rzeczy, będzie ona dla nas czymś innym niż w rzeczywistości, będziemy inaczej ją postrzegać. Dla przykładu: wiemy co znaczy „zazdrość”, ale dopiero kiedy nazwiemy nasze konkretne czyny jako przejawy zazdrości, zaczniemy inaczej je rozumieć; póki tego nie zrobimy, będziemy się ludzić, że nie ma problemu. Oto granice naszego napięcia: nie mamy doświadczenia Boga, jest On niewyraźalny, toteż lepiej byłoby o Nim milczeć, ale z drugiej strony nie możemy nie używać słów, bo „nie będzie rzeczy”.

Wróćmy do punktu wyjścia: nie mamy doświadczenia Boga. Istnieje jednak słowo „Bóg”, które nie mówi nic albo nic więcej o Bogu. Nie określa ono żadnego Jego przymiotu. Gdybyśmy nazwali Go „Ojcem”, „Panem” to te słowa wyrażałyby coś z tego, co się przez nie rozumie, nawiązywałyby do innych doświadczeń, które są komunikowalne. Bóg niewątpliwie, gdy się objawia, ukazuje coś ze swoich przymiotów. (W pełni, jak wierzymy, objawił się w Jezusie Chrystusie.) Zasadne jest nawet pytanie, czy „Bóg” w języku polskim wyraża tą samą rzeczywistość, co „Deus”, „Gott”, „El” w innych językach. Tak ujmując tę kwestię najwybitniejszy teolog XX wieku - Karl Rahner, do którego będę się niejednokrotnie odwoływał.

Współczesna filozofia języka bada kryteria sensowności wypowiedzi, chcąc odróżnić jałowe spory, czysto językowe od prawdziwych dywagacji. Wedle tego myślenia słowo „Bóg” nie może być ani orzecznikiem w zdaniu, ani jego podmiotem, skoro nie odnosi się do uchwytnego dla nas rzeczywistości. Opisywany termin nie spełnia kryteriów sensowności (co nie oznacza przekreślenia go). Zatem używając opisywanego słowa można odnieść wrażenie, że mówimy o pustym obliczu, które nie mówi nic o tym, co wyraża; nie wskazuje na nic poza sobą, jest słowem poprzedzającym całkowite milczenie wobec tego, co niewyraźalne i znajduje się na granicy między zrozumiałą mową, a nabożną kontemplacją.

*

Z tej perspektywy interesujące byłoby zbadanie w jaki sposób powstało owo słowo. Warto nadmienić o imieniu Boga w Biblii, które zostało nam dane (fakt niezwykle doniosły: dane, nie wymyślone, ale otrzymane - gdyby tak nie było wszystko, co odnosi się do Boga pozostałoby czystą spekulacją) w scenie, gdy Mojżesz ujrzał krzak gorejący. W języku hebrajskim nie zapisywano samogłosek, toteż imię brzmi: JHWH, tetragram. Imienia Boga nikt nie wypowiadał poza najwyższym kapłanem, który mógł to zrobić podczas najważniejszego święta tylko raz w roku. Z tego powodu nie wiadomo do końca, jak się powinno je wymawiać, skoro jego zapis jest bez samogłosek (i dlatego wzięła się też błędna forma wymowy 'Jehowa'). Imię Boga miało pozostać niewyraźalne. Jego rdzeń bierze się od słowa

być. W teologii interpretuje się je jako zapewnienie Bożej opieki, skoro pojawia się ono w kontekście wyzwolenia Izraela z Egiptu. JHWH tłumaczy się jako Jestem, który jestem, lub Będę, który będę, czyli nie zdradza ono niczego z istoty Boga, mimo że w ten błędny sposób interpretowano je dość długo. Bóg daje imię, które zapewnia nas o Jego trosce, a nie zaspokaja naszą ciekawość.

Istnieje słowo „Bóg”. Również ta oczywistość godna jest rozważenia. Istnieje to jedyne słowo, „nieme”, nic nie wyrażające, podtrzymywane w swoim istnieniu nawet przez ateistę, który chcąc zaprezentować swoje stanowisko musi go używać; pragnąc wyrazić swój protest wobec Boga, przyczynia się do trwania tego słowa. Jednakże, mimo braku oznaczoności, nie możemy powiedzieć, że to słowo niczego nie wyraża, że jest niepotrzebne. Nie mamy doświadczenia Boga, ale pojawia się w naszym języku słowo „Bóg”, które ma swoją, inną funkcję.

K. Rahner rozważa jak mogłaby wyglądać rzeczywistość bez tego słowa: „Człowiek nie byłby już postawiony twarzą w twarz wobec jednej całości bytu jako takiego i całości swojej egzystencji jako takiej. (...) Gdyby słowa „Bóg” rzeczywiście nie było, nie istniałaby dla człowieka owa dwoistość - pojedyncza całość rzeczywistości w ogóle i pojedyncza całość egzystencji ludzkiej, które się wzajemnie przenikają. Człowiek zapominałby o sobie zajmując się szczegółami swego świata i swojej egzystencji. (...) Nie dostrzegłaby, że stawia tylko pytania, ale nie stawia tego pytania, które dotyczy samych pytań.”

Dla cytowanego, niemieckiego teologa słowo „Bóg” jest wyjątkowe, ponieważ jako jedyne jest zdolne postawić nas wobec całego świata i naszego życia. Ono otwiera nas, bez niego człowiek utknąłby w ziemskim świecie, nie wiedząc nawet o tym, nie mógłby stanąć bezradny, milczący wobec świata i siebie samego. Istotną wydaje mi się u K. Rahnera owa dwoistość: całość świata i życia człowieka. Bez słowa „Bóg” człowiek nie może ogarnąć rzeczywistości, która go otacza. To nieuchwytnie w swej beztreściowości słowo wprowadza nas w ruch ku temu, co niepojęte, co jawi się jako nicość, co nas przeraża, co skupia jak w soczewce wszystkie nici naszego życia i stawia wobec najważniejszych pytań. Gdyby człowiek pozbył się na stałe ze swojego słownika słowa „Bóg” przestałby być człowiekiem,



Prof. Karl Rahner – jezuita, wybitny niemiecki teolog katolicki (1904 – 1984) i dom jego imienia w Karlsruhe.

Fot. Stephan Langer

zapomnialby o całości, o jej podstawie i zapomnialby o tym, że zapomnial. Wróciłby do poziomu pomysłowego zwierzęcia. Jeśli dobrze rozumiem K. Rahnera, abstrakcyjność myślenia decyduje o człowieczeństwie, a najwyższą sublimacją, zwornikiem powyższego jest jedyne w swoim rodzaju, poprzedzające całkowite milczenie słowo „Bóg”.

*

To słowo właśnie obarcza nas przytłaczającym brzmieniem, które jest ponad nasze siły, ponieważ stawia nas wobec całości, nad którą nie możemy zapanować. Wyznacza zakres naszych skończonych możliwości. Do tego słowa nie dochodzimy w trakcie aktywnego procesu myślenia i w ten sposób po raz pierwszy nie pojawia się „Bóg” w naszym języku; przeciwnie, my słuchamy tego słowa i cierpliwie je znosimy. K. Rahner posuwa się nawet do stwierdzenia, że to ono czyni nas ludźmi, a prawdziwe słowo „Bóg” (to znaczy to, które wiernie oddaje wyrażaną rzeczywistość) niezależnie od jego fonetyki, nie jest identyczne ze słowem „Bóg” zagubionym pośród tysięcy innych w naszym słowniku. To jest Słowo, którego, jak mówi Pismo Święte, można nie dosłyszeć uszami. Nasz „słownikowy” wyraz „Bóg” odsyła nas dopiero do owego prawdziwego Słowa, które ludzie mogą słyszeć i którego mogą nie rozumieć. To Słowo i jego nieskończona rzeczywistość jest obecna dla nas, przynajmniej w formie pytania.

Słowo „Bóg” zostało nam przekazane. Nie jest naszym wymysłem, ale przynależy do historii naszego języka i świata, współtworząc ją. Pochodzi z tych samych źródeł, z których pochodzi człowiek i może zniknąć tylko wraz z człowiekiem jako takim. To słowo otwiera nas i zawiera przyszłość, która nie podlega naszej kontroli. Jest jasno-ciemne: daje nam światło, które pozwala unieść głowę znad tysięcy drobnych gonitw codziennych i wzbicć ją ku horyzontowi świata, ale sprowadza także ciemność naszych niedomagań i słabości wobec tego, co niepojęte. Jest mową sprzeczną w swej istocie: wyzwala, ale wyzwala, ale ku nabożnemu milczeniu.

Dobrze jest mówić o Bogu, ale jeszcze lepiej jest o Nim milczeć.

KS. WOJCIECH WASIAK

*) Autor artykułu jako młody wikariusz w parafii Świętego Ducha w Kościanie skierowany został w tym roku przez władze duchowną na studia do Rzymu.



Hala w wieku 12 lat.

Ze zbiorów autorki artykułu

Siostra Joanna od Jedności (1)

Kilkanaście lat temu poznałam siostrę zakonną Joannę Lossow – Franciszkankę, Służebnicę Krzyża z Lasek, pochodzącą z Gryżyny. Siostra Joanna nie żyje, ale jej działalność na rzecz ekumenizmu jest kontynuowana. Ekumenizm, to ruch porozumienia i współpracy między różnymi kościo-

łami chrześcijańskimi. Śledząc losy rodziny siostry Joanny można uznać, że ekumenizm rodził się w Gryżynie.

„Zarówno wyjątkowa wielkość ducha, jak też żarliwość ekumenicznego dzieła domagają się literackiego wprost utrwalenia pasji życia naszej



▶ *słynnej Zakonnicy – Siostry Joanny Lossow. Jej egzystencja była naprawdę stale chrześcijańską proegzystencją w bardzo specyficznym środowisku. Żyjąc i pracując wśród niewidomych dzieci, nauczyła się ponadto >widzieć sercem<. Oto m.in. etiologiczny kontekst jej także ekumenicznej intuicji i wypracowanej mozolnie wiedzy na temat nieodzowności pracy na rzecz jedności Chrystusowego Kościoła...* – napisał abp A. Nosol, przewodniczący Rady Episkopatu ds. Ekumenizmu w przedmowie do książki siostry dr Marii Krystyny Rottenberg „*Aby byli jedno. Pasja życia siostry Joanny Lossow*”, wydanej w 2005 r.

Hala i przodkowie

Halina Gabriela Maria Lossow, nazywana w młodości Halą, urodziła się 10 lipca 1908 r. w Boruszynie, powiat czarnkowski, gdzie jej ojciec Józef Antoni (1874-1950) wraz z żoną Heleną z Szembeków (1874-1965) mieszkał i zarządzał rodzinnym majątkiem. Dwa lata później rodzice Hali, z czwórką dzieci, przenieśli się do Gryżyny, majątku odziedziczonego po przodkach, a przekazanego Józefowi Lossowowi przez ojca Aleksandra i matkę Joannę.

Aleksander Lossow był dobrym gospodarzem. Za jego czasu rozbudowa gryżyńskiego folwarku była imponująca, powstały też budynki dla pracowników, wzrosła produkcja rolna i hodowla, a dzieło jego życia – kościół pw. św. Barbary, który zbudował, sam będąc protestantem, stoi do dziś i służy parafianom. Nic dziwnego, że w pośmiertnym wspomnieniu napisano o nim: „...Był wzorem Polaka...Pokochał gorąco ziemię naszą żywicielkę, na której z niestrudzoną pilnością i bez chwili wytchnienia pracował 36 lat...Kochał Ojczyznę ciepłem gorącego swego serca... Niezwykłe obowiązki, niezwykłą też odznaczał się obowiązkowością...” Po latach wnuczka, siostra Joanna, napisała, że wspomnienie to przechowało się bez autora, ale był nim zapewne gryżyński proboszcz, z którym „dziadek harmo-

nicznie współpracował przy budowie kościoła...” Czyż to nie były początki ekumenizmu?

Józef Lossow, ojciec Hali, po ukończeniu studiów agronomicznych w Halle, gospodarował w Gryżynie umiejętnie i wzorowo. Pracowity i oszczędny, pomnażał odziedziczoną fortunę, unowocześniał majątek, meliorował pola i łąki, kontynuował mechanizację i był jej propagatorem na wsi. Służył często pracownikom swoją wiedzą medyczną, którą uzyskał, jako wolny słuchacz podczas studiów w Halle. Jego pasję, to hodowla koni i myślistwo. Po wojnie, w 1918 r. wstąpił do wojska i z właściwą sobie energią organizował 15. Pułk Ułanów Poznańskich, jako pierwszy jego dowódca. Będąc prezesem Koła Oficerów tego pułku, we wrześniu 1939 r. pozostawił cały swój majątek i konto w banku do dyspozycji 15. Pułku Ułanów.

Rodzina matki Hali – Szembekowie – to bogata rodzina hrabiowska o tradycjach katolickich. Dziadkiem Heleny Lossow – ze strony matki – był Wawrzyniec Engeström (1829-1910), który mieszkał w Poznaniu, a umarł w Gryżynie. Szwed z pochodzenia, uczony, długoletni sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, uczył dzieci ulicy języka polskiego i szerzył kulturę polską, za co był parokrotnie więziony przez Prusaków. Opiekował się ubogimi, organizował – jedne z pierwszych – kolonie dla biednych dzieci. Jego przodek był posłem króla szwedzkiego na dworze króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, ożenił się z Polką; król był ojcem chrzestnym ich syna. Później Engeströmowie osiedlili się pod Poznaniem.

Rodzina Lossowów była zasobna; Józefa Lossowa w 1929 r. umieszczono na liście najbogatszych ziemian woj. poznańskiego na trzeciej pozycji, ale we dworze żyło się raczej skromnie. Matką chrzestną Hali była rodzona siostra matki – Zofia, żona marszałka Wacława Niemojowskiego, właścicielka Marchwacza, wielkopolskiej rezydencji w stylu warszawskich Łazienek, z pięknym parkiem. Bezdzietni Niemojowscy zaproponowali Halę na dziedziczkę Marchwacza. Kiedy ta wstąpiła do klasztoru, usynowionym dzieckiem został brat Hali, Aleksander.

Rodzice Hali byli małżeństwem o różnych wyznaniach, stąd ona była

uwrażliwiona już w młodości na odmienną przynależność religijną. „*Moi rodzice byli małżeństwem o różnej przynależności kościelnej. Moja matka, z domu Szembek, pochodziła z rodziny katolickiej, z ośmioma biskupami w rodzinie (z tego dwóch było prymasami- przyp.T.W.), a ojciec był wyznania ewangelicko-reformowanego. Do dwunastego roku życia nie o tym nie wiedziałam... Nadto w każdą niedzielę widziałam go modlącego się w kościele. A gdyśmy byli dziećmi czuwał abyśmy regularnie i punktualnie przychodzili na nabożeństwa. Otrzymaliśmy także solidną edukację katechetyczną – uczyły nas najpierw domowe nauczycielki, a następnie indywidualnie ksiądz proboszcz... O różnicy wyznań moich rodziców dowiedziałam się dopiero w szkole średniej, studiując na lekcjach historii traktat o reformacji. Podając przy tej okazji nazwiska rodów polskich, które przyjęły protestantyzm, nauczycielka wymieniła również nasze nazwisko, a nawet osobę mojego ojca, jako żyjącego ich potomka...*” – napisała po latach siostra Joanna.

Ponadto Józef Lossow współpracował z księdzem w sprawach dotyczących kościoła w Gryżynie. „*We dług ówczesnego prawodawstwa w Wielkopolsce, mój ojciec jako właściciel tzw. dóbr rycerskich, w obrębie których mieściła się parafia, był patronem (kolatorem) katolickiego kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Barbary w Gryżynie... Jako patronowi kościoła przysługiwało memu ojcu tzw. „prawo prezenty”, czyli przedstawiania władzom kościelnym kandydata na proboszcza, a po zatwierdzeniu kandydatury, przywitanie go chlebem i solą na granicy parafii oraz uroczyste wręczenie kluczy kościoła. Na co dzień zaś byłam świadkiem stałej troski mego ojca o stan budynku kościelnego oraz cmentarza...*” – pisała siostra Joanna we wspomnieniach. Duch ekumenizmu – nienazwany, ale realizowany.

Dla ścisłości trzeba dodać, że ojciec Hali pozostał przy wyznaniu protestanckim do 1947 r., możliwe że przez pamięć dla swej matki Joanny (1850-1926), którą nazywano „świętą kalwinką”, a która w swoim testamencie

napisała: „*W życiu doczesnym dzielą nas ludzi pozorne różnice wyznania wiary. Z tego źródła popłynęły najostrejsze bóle mego życia. Ciało zlały, ducha nie pokonały... O ile nie stracę zmysłów i woli przez chorobę, wytrwam przy sztandarze, którego się trzymałam w życiu – jak wytrwał Ojciec Wasz...*”

Józef Lossow trzy lata przed śmiercią przyjął katolicyzm. Prawdopodobnie takie było pragnienie rodziny według zasady, że poza Kościołem nie ma zbawienia. Myśl ekumeniczna jeszcze nie kielkowała, większość ludzi, jako Kościół pojmowała tylko jeden – katolicki.

gistra. Jako studentka założyła w Gryżynie Stowarzyszenie Młodych Polek. Do koła należały dziewczęta z Gryżyny i okolicznych wsi. Halina należała także do wielkopolskiego Koła Młodych Ziemianek, którego członkinie organizowały rekolekcje, kursy i seminaria, uczyły czytania, pisania i historii Polski młodzież wiejską, zbierały odzież dla biednych, a także żywność i pieniądze na kolonie letnie dla niezamożnych dzieci. Hala dała się poznać jako osoba łatwo nawiązująca kontakty z ludźmi, dynamiczna i działająca skutecznie. Na rekolekcjach w Bolechowie spotkała po raz pierwszy ks. Władysława Kornilowicza. „*Przyznać*

Zakładu dla Niewidomych. Skutkiem tego pobytu było niesienie przez Koło pomocy Laskom: przepisywanie książek dla niewidomych, szycie ubrań dla dzieci itp., a u Hali – zamyślenie nad własnym życiem, tęsknota za życiem takim, jakie było w Laskach, co wyraziła w liście do Matki Elżbiety Czackiej.

„*Za moich szkolnych czasów i do opuszczenia Gryżyny w roku 1933 (gdy wstąpiłam do klasztoru) stał koło ruin kościoła św. Marcina, na dawnym cmentarzu, przepiękny, wysokiej wartości artystycznej, rzeźbiony duży krzyż... Chodziłam tam często na modlitwę, by wyprosić*



Kościół i szkoła ewangelicka w Racocie.

Pocztówka w zbiorach Muzeum Regionalnego im dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

Dzieciństwo i młodość

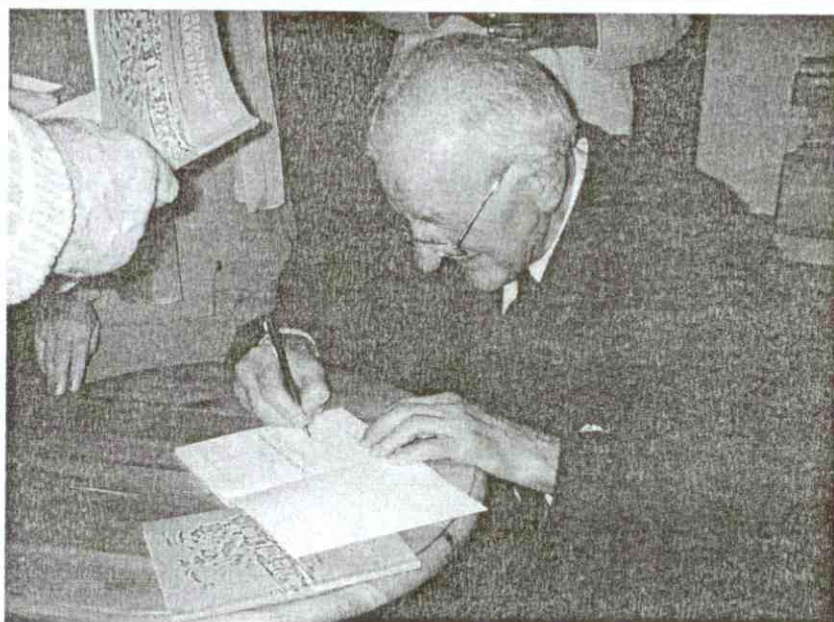
Zarówno Halę, jak i jej rodzeństwo, początkowo uczyły prywatne nauczycielki. W latach 1920-1926 Hala była uczennicą, najpierw Gimnazjum Państwowego w Poznaniu, później Prywatnego Gimnazjum Sióstr Urszulanek, gdzie zdała maturę. Studiowała filologię romańską na Uniwersytecie w Poznaniu; w 1931 r. uzyskała stopień ma-

muszę, że moje myślenie o Kościele jako instytucji, wyniesione jeszcze z czasów gimnazjalnych, było dość powierzchowne. Dopiero ks. Kornilowicz odsłonił przede mną całą głębię tajemnicy Kościoła...” - napisze później.

W ramach działalności Koła Młodych Ziemianek Hala spędziła w 1930 r. jakiś czas w Laskach pod Warszawą, pracując w grupie dziewcząt na rzecz

łaskę wyboru drogi zupełnego oddania się wyłącznej służbie Bogu...A miałam także taką drugą oazę, mianowicie, piękny ewangelicki cmentarz w Racocie przy grobach moich ewangelickich przodków. Tam był też piękny krzyż, który patronował całemu cmentarzowi...” – pisała do mnie siostra Joanna we wrześniu 2004 r. (cdn)

TERESA WIŚNIEWSKA



Autor w 2004 roku w czasie promocji swej książki „Poniżenie i poniewierka”.
Fot. Teresa Masłowska

Wigilie na wygnaniu

W grudniu 1939 r. Czesław Wenski z ukochaną matką i jedenaściorciem rodzeństwa został wywieziony do Generalnego Gubernatorstwa. Życie na wygnaniu opisał w książce „Poniżenie i poniewierka”. Drukujemy fragmenty, w których wspomina okupacyjne wigilie.

Doczekaliśmy pierwszej wigilii świąt Bożego Narodzenia. Inne od przeżywanych w Kościanie, gdzie – z rodzicami, dziadkami, dziećmi i pomocą domową – w nastroju poważnym, ale radosnym, zasiadaliśmy do stołu zastawionego potrawami wigilijnymi. W Wólce Rytelskiej stół zbity z desek sosnowych nakryliśmy białym prześcieradłem, podarowanym przez dobrych ludzi. Na stole pojawiły się blaszane i kamienne talerze, łyżki metalowe i drewniane oraz naczynia do picia. Na potrawy wigilijne składał się: kapuśniak, lepiej omaszczony tłuszczem, gotowane ziemniaki w mundurkach (dla oszczędności, bo mniej odpadów) oraz kawałek ryby złowionej przez

wnuka gospodarzy, do tego po kubku kawy zbożowej. Jedno było niezmiennie – opłatek wigilijny otrzymany z kościoła w Ceranowie. W kącie izby przycupnęła choineczka przybrana kolorowymi papierkami. Nastrój poważny i smutny. Brakowało ukochanego Ojca, który zawsze starał się, aby Święta były radosne, wypełnione śpiewaniem kolęd i bogate w praktyczne prezenty, które znajdowaliśmy pod choinką. Ale i tam cichuteńko zaśpiewaliśmy „Wśród nocnej ciszy” i próbowaliśmy pocieszać zrozpaczoną Matkę. Brak światła i wzmagający chłód szybko wygnał nas na podłogowe łoże. Pochlipując, układaliśmy się do snu.

Na pasterkę nikt się nie wybrał, choć wolno było ją odprawiać w kościołach.

Chciało by się pójść, ale droga daleka przez las, sześć kilometrów. Za to wykorzystaliśmy słoneczną pogodę w dzień Nowego Roku. Zabraliśmy się z gospodarzami saniami na nabożeństwo. Dzieci musiały zostać z Mamą. Kościółek w Ceranowie położony na wzniesieniu, okolony kamiennym murem i otulony starymi lipami, był przepełniony wiernymi z całej okolicy. Przy woni świec i kadzidel zanosiliśmy gorące modły i gromkie śpiewy do Pana Boga o ulotowanie się nad biednym narodem, zakutym w kajdany niewoli. Pokrzepieni modlitwą, wróciliśmy do domu dzieląc się wrażeniami z Mamą i rodzeństwem.

*

Wieś leżała niedaleko Bugu, stanowiącego granicę między dwiema okupacjami: hitlerowską i bolszewicką. Niemcy, w większych wsiach ulokowali posterunki graniczne licznie obsadzone strażą. Znajdowały się one w Rytelach na zachód od Wólki Rytelskiej, a na wschód od dużej wsi Długie Kamieńskie. Dojazd z komendy rejonu z Ceranowa do posterunków granicznych prowadził przez naszą wioskę. Mieszkańcy byli zobowiązani do utrzymania przejezdności dróg. Praca przy odśnieżaniu nie należała do lekkich. Miało to jednak i dobrą stronę. Dojazd do Ceranowa czy dalej do Kosowa Lackiego, w celu załatwienia urzędowych spraw w wójtostwie, zakupów lub zrealizowania przydziałów kartkowych, był wygodniejszy, niż przebijanie się nieprzetartymi drogami leśnymi.

Patrole często odwiedzały wieś. Żołnierze najczęściej przychodzili ze wsi Rytel, położonej bliżej niż Długie Kamieńskie, wstępowali do sołtysa, wypytując o rozmaite sprawy. Posługiwali się językiem czeskim. Byli to Niemcy sudeccy. Kiedy dowiedzieli się, że wysiedleni pochodzą z Wielkopolski, zwanej Warthegau i znają język niemiecki, sprawy urzędowe załatwiali w naszym mieszkaniu, posługując się Mamą jako tłumaczem. Wizyty te okazywały się kłopotliwe. Bez względu na porę dnia pukali do drzwi i zaraz wchodzili, nie bacząc czy byliśmy przygotowani, czy już leżeliśmy na posłaniach. Nie zawsze mieli powód, żeby nas odwiedzać, ale patrolując ten odcinek rejonu, zziębnięci chętnie wstępowali ogrzać się i porozmawiać. Jeden z patroli składał się z dość sympatycznych ludzi, ich nasze młodsze chłopaki się nie bały. Przyno-

sili po parę cukierków, kawałek wędliny, mydła czy konserwy – wszystko wyciągane z kozuchów tak, aby inni nie widzieli, że dzielą się z niewolnikami.

Zima pokazywała co potrafi. Zawieje śnieżne i trzaskający mróz utrudniały zdobycie gałęzi, a zapasy nagromadzone przeze mnie przed Gwiazdką raptownie się kurczyły. Z zazdrością patrzyliśmy jak przez wieś, co kilka dni, przejeżdżały sznury sanek załadowanych drewnem, przeznaczonym dla stacjonujących wojsk granicznych. W czasie jednej z wizyt Niemcy sudeccy zauważyli, że nasz piecyk, opalany ciągle dokładanymi cienkimi gałązkami, daje mało ciepła. Coś między sobą pogadali i zaproponowali: za dwa dni mają służbę przy konwojowaniu transportu drewna, obiecali przymknąć oczy; kiedy będą mijać nasz dom. Tak kilka razy udało się zdobyć trochę drewna, ale co dobre szybko się kończy. Wielu mieszkańców chciało tym sposobem zaopatrzyć się w opał, a puste sanie nie były mile widziane na posterunku granicznym.

*

Ruszyłem w świat. Boczny drogami i leśnymi ścieżkami dotarłem do [brata] Stefana. Odpocząłem parę dni, ale po dwóch dniach wieczorem, przyjechał rowerem brat Tadeusz z wiadomością, że jeśli chcę pracować w mieście to mam jeszcze dzisiaj jechać do Sokołowa Podlaskiego, bo jutro będzie za późno. Zbliżała się noc i godzina policyjna, do Sokołowa ponad dwadzieścia pięć kilometrów. Jedziemy. Jednym rowerem we dwóch. Takiej jazdy nie powstydziliby się Królak czy Szurkowski. Zdążyliśmy. Znaleźliśmy szefa. Po krótkim egzaminie zostałem przyjęty. Skoro świt zameldowałem się u pana S. – właściciela wytwórni wód gazowanych i rozlewni piwa – wysiedleńca z okolic Żnina na Pałukach. Przed wojną był restauratorem. Znał biegle niemiecki, dzięki temu zdołał przejąć skonfiskowany zakład żydowski. Skromny posilek był początkiem nowej paroletniej pracy. Myłem butelki do piwa i lemoniady. Nosilem w wiadrach wodę na nosidłach wodę z publicznej studni, oddalonej o około 400 metrów od zakładu. Widząc moją bystrość i pracowitość szef – po jakimś czasie – obarczył mnie obsługiwaniem maszyny do mieszania lemoniady i napełniania butelek.

*

Nadeszła pierwsza Gwiazdka w Sokołowie. Pracowałem intensywnie, żeby

zgrupować zapasy na święta. Dowiedzieliśmy się, że otrzymamy upominki gwiazdkowe. Co? Nie wiadomo. Wspólnik pana S. – Wasilewski poinformował nas, że wyjeżdża już w Wigilię rano do rodziców w Ostrołęce, bo dojazd jest skomplikowany. Prosił, byśmy solidnie pracowali i wyszedł. Nagle zjawił się szef – obaj mieszkali nad pomieszczeniem produkcyjnym – zawałał mnie, kazał przyprowadzić sobie dorożkę z rynku. Pojechał na dworzec. Tam między współnikami wywiązała się kłótnia. Zastępca wściekle wrócił do pracy i dopiero wieczorem mógł udać się do rodziców. Żałowaliśmy go. Wreszcie usłyszeliśmy polecenie: – Koniec pracy, myć maszyny, sprzątać i jazda do domów; Wenski niech „leci” po dorożkę i za dziesięć minut zamykamy zakład. Rozzłoszceni Wasilewski powiedział nam, że szef otrzymał dodatkowy przydział dla pracowników: trochę masła, cukru i drożdży, ale je sprzedał i dla nas została figa z makiem. Teraz to myśmy się zdernowowali.

Radowałem się, że za dnia będę mógł wyruszyć do rodziny do Węgrowa. Osiemnaście kilometrów w ziemie? Piechotą? Ale od czego kochani znajomi i przyjaciele. Po przeciwnej stronie ulicy mieszkała dwójka młodych ludzi wysiedlonych z Kościana. Byli to mój kolega gimnazjalny Zbinu Szłapka i student medycyny Rzekiecki, absolwent Gimnazjum św. Stanisława Kostki. Pracowali w starostwie w kolumnie sanitarnej i mieli służbowe rowery. Miałem czym dojechać. Na mój widok zapanowała radość. Jakże cieszyła się nasza kochana Matuchna. Przy choince spożyliśmy skromną wieczerną wigilijną; nieco bogatszą niż pierwsza na wygnaniu w Wólce Rytelskiej. Aż tu nagle, w drugi dzień Świąt poprzez policję otrzymałem wiadomość, że mam natychmiast stawić się w Sokołowie u szefa. – Co się stało – zastanawiałem się. Policjant nie znał powodu. Nie pozostało nic innego, jak pożegnać się z rodziną. Z błogosławieństwem matczynym wracałem do Sokołowa.

Stanałem przed obliczem szefa. W pokoju był już Wasilewski. Stał z pokorną miną i śladami lez na do tej pory uśmiechniętym obliczu. Krzyk, pretensje, okropny gniew uświadomił nam powód przerwania świątecznego odpoczynku. Pan Wasilewski naza-

jutrz winien opuścić wytwórnię i mieszkanie. Ze mną S. obiecał pogadać z rana. Pełen niepokoju wróciłem na kwatery. Po niespokojnym śnie w zimnym pomieszczeniu rychno rano stawilem się przed szefem. Na dzień dobry wydał polecenie: – Wenski, pobieraj w pokojach i kuchni z koszy na śmieci wszystkie blaszane kapsle od butelek do piwa. Zebraliśmy około sto sztuk. I wtedy rozpoczął się nade mną sąd. Przed wyjazdem szef obiecał kierownikowi referatu zaopatrzenia w starostwie, ma się rozumieć Niemcowi, że w wigilię poza przydziałem dostarczy mu skrzynkę piwa; to jest pięćdziesiąt butelek. Za to otrzymał dodatkowy przydział masła, cukru i drożdży dla pracowników. Przywłaszczył sobie te produkty. Po kłótni w wigilię, Wasilewski zapomniał o dostawie dla Niemca, albo z gniewu specjalnie nie zrealizował nakazu. Urzędnik – pan życia i śmierci – nie doczekał się prezentu, nie mógł należycie przyjąć gości. W gniewie ściągnął więc szefa z Warszawy i solidnie go zruzał. I pewno kazalby aresztować, gdyby nie brał łapówek np. gęsi, kaczek czy wyrobów mięsnych, które wysyłał do rodziny w Rzeszy.

Szef wykreślił się sianem i zwałił wszystko na Wasilewskiego. A więc – rozwiązanie spółki. Wasilewski tłumaczył, że nie mieliśmy kapsli do butelek, ale przecież znalazły się w koszach. – Wenski mógł pobierać te kapsle, rozlać piwo i dostarczyć skrzynkę – grzmiał szef. Wasilewski stanął w naszej obronie. Przy okazji wypomnieliśmy krzywdę – chodziło o prezenty, których nie zobaczyliśmy na oczy. Ale przed Nowym Rokiem Wasilewski musiał opuścić spółkę, zabierając swoje maszyny i urządzenia. Szef w tym czasie wrócił do Warszawy, a mnie obarczył odpowiedzialnością, aby odchodzący współnik nie zabrał jego majątku. Praca toczyła się w zwolnionym tempie. Pomogliśmy w rozmontowaniu urządzeń i załadowaniu na wozy majątku, po którym miał zjawić się ojciec Wasilewskiego. Serdecznie pożegnaliśmy się z tym młodym i bardzo sympatycznym człowiekiem oraz jego ojcem.

CZESŁAW WENSKI

Żołnierz dwóch konspiracji

Kapitan Mieczysław Wojciechowski mimo swoich 88 lat jest uśmiechnięty, energiczny. W czasie wojny był żołnierzem Okręgu Białostockiego Armii Krajowej, później żołnierzem wyklętym w tzw. drugiej konspiracji. Dziennikarce „Wiadomości Kościańskich” opowiada swoje wojenne losy.

Rodzina była z dziada pradziada zasiedziała na Białostocczyźnie. Stamtąd pochodzili rodzice, ich rodzeństwo i dziadkowie. Ojciec Tadeusz, rocznik 1900, urodził się w Grajewie - mieście powiatowym z długą historią, na przemian polską, pruską, rosyjską i znowu polską. Za młody na udział w I wojnie światowej, działał w „Strzelcu”, a później - jak jego bracia - bił się w wojnie polsko-bolszewickiej. W cywilu nie mógł znaleźć pracy, toteż długo się nie namyślał, kiedy nadarzyła się praca w służbie więziennej. Często go przerzucono. W 1929 r. został oddelegowany do zakładu karno-sledczego w Baranowiczach. W mieście stacjonowała znakomita Nowogródzka Brygada Kawalerii, której dowódcą krótko przed wojną został generał Władysław Anders. W areszcie przeważnie siedzieli Białorusini. Tych to się żarty trzymały. Jeden, który czasem pomagał w domu, nałapał wróbla do worka i kazał mi kilkuletniemu brzdącowi rozwiązać go w domu. Nie pamiętam jak to się skończyło, ale pewnie rozpętała się niezła awantura. W Baranowiczach urodziła się najmłodsza siostra Wiesława. Potem ojca przeniesiono do poprawczaka pod Warszawę, a stamtąd do Poznania, gdzie do września 1939 r. był strażnikiem w areszcie na Młyńskiej.

Jak Zawisza Czarny

Byłem zuchem, a potem harcerzem Poznańskiej Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego. Ostatnie beztrioskie lato spędziłem na obozie harcerskim w majątku Gołaszyn pod Obornikami. Miałem już

15 lat, więc wciągnięto mnie i kolegów do obrony przeciwlotniczej. Po powrocie z obozu na 1 września zapowiedziana była zbiórka. Wojna wojną, a my przed południem stawi-

domu już nie wróciłem. Rodzice odchodzili od zmysłów. Ale ja przecież byłem na wojnie.

Drugiego września wróciłem do domu. Rodzice z radości, że cały i



Koledzy z konspiracji, od prawej: Wojciechowski, Bykowski i Powichrowski.
Fot. z archiwum Mieczysława Wojciechowskiego

liśmy się w szkole. Rozpętało się piekło. Bomba uderzyła w naszą szkołę. Wybiegliśmy na ulicę, a tam człowiek z urwaną nogą, krew się lała. Zerwałem firankę z okna, gdzie bomba wybiła szybę i zawiązałem ponad raną, żeby zatamować krwawienie. Zanieśliśmy go do najbliższego szpitala. Tam już byli pozostali koledzy z harcerstwa. Razem ratowaliśmy rannych i zasypanych pod gruzami, transportowaliśmy do szpitala. Tego dnia do

zdrów, nawet wielkiej bury nie dali. Jako rodzina urzędnicza ewakuowaliśmy się na wschód kraju. Po wrześniowym epizodzie czułem się żołnierzem pełną gębą. Chciałem dołączyć do żołnierzy, ale ojciec dobrze mnie pilnował. Pod Warszawą nasz pociąg rozbito, dalej jechaliśmy furmanką. W stolicy przygarnęła nas i ugościła rodzina żydowska. Stamtąd do Białegostoku szliśmy chyba ze trzy tygodnie. Miałem najgorzej, bo dźwiga-

łem na plecach maszynę do szycia Singera, mojej starszej siostry Jadwigi. W Białymstoku zatrzymaliśmy się u krewnych ojca.

Wciąż rwałem się do wojaczki. W czerwcu 1941 roku jak Ruscy uciekali przed Niemcami, z kolegami poszliśmy „rozbijać” więzienie. Różne rzeczy tam zostały; jedzenie, mundury, ale mnie oczywiście interesowało tylko jedno – broń. Wyszedłem stamtąd jako właściciel sznaucera. Moja radość była jednak krótka. Ojciec odebrał mi broń i utopił w studni. Z żalu prawie płakałem. I tak tylko czekałem okazji, żeby przyłączyć się do konspiracji. Wreszcie w sierpniu 1941 roku przyłączyłem się do Bojowej Organizacji Wojskowej. Pracowałem w firmie instalacji hydraulicznej Nie-

du Białostok Związku Walki Zbrojnej Michał Dziejma, ps. „Boruta”, jej narzeczony, później mąż.

Rozbicie Arbeitsamtu

BOW w lutym 1942 r. przyłączyła się do AK. Wtedy pracowałem jako pomocnik ślusarza w rzeźni w Białymstoku. Zaprzyjaźniłem się tam z Czesławem Bykowskim, wciągnąłem go do AK. W wieży ciśnienia urządziliśmy mały arsenał; kilka zdobycznych granatów, jakieś pistolety. Wkrótce otrzymałem rozkaz utworzenia sekcji dywersyjnej AK. Niestety, pierwsza akcja - wypad po broń w okolicy Białegostoku - zakończyła się śmiercią kilku naszych żołnierzy i rozbitiem grupy. Tymcza-

śmy go, żeby nie został posądzony o współpracę z nami.

Budynek był chyba dwupiętrowy, z bańkami benzyny i nafty weszliśmy od podwórza. Każda sekcja otrzymała określone zadanie; chłopcy na ostatnim piętrze podpalali na początku, uciekali na niższe piętra i wtedy zapalali następni. Narobiliśmy niezłego bałaganu. Kartoteki, biurka, maszyny do pisania rzucone na stos paliły się aż miło. My na parterze czekaliśmy na wszystkich, żeby podłożyć ogień na końcu. Palił się już prawie cały gmach, zostaliśmy tylko my z kieszonką palącą się naftą. Nerwowe myśli. Co robić! Miałem kowbojskiego kolta z trzema nabojami, jak walałem w puszkę, taki płomień wystrzelił, że jednego z naszych poparzyło, a reszcie odcięło odwrót. Pobiegliśmy na zaplecze, wybiliśmy szybę i każdy prysnął w swoją stronę. Zadekowaliśmy się, gdzie kto mógł czekając, jak się sprawy potoczą. O dziwo, Niemcy nie mścili się za tę akcję, za to wielu młodych uniknęło koszmaru robót przymusowych.

U „Szarego”

W lipcu 1944 r. w czasie akcji „Burza” otrzymałem rozkaz przejścia do Puszczy Knyszyńskiej do batalionu „Hańcza”. Poszedłem z kolegami: Bykowskim, Kondraczkiem. W sumie kilkudziesięciu chłopaków nas szło do kapitana Stanisława Grygi – „Szarego”. Zostałem dowódcą sekcji dywersyjnej. Pierwsza akcja. Lipiec, gorąco. Ładne dziewczyny zrywają czereśnie z drzew. Śmieją się, częstują. Za jakiś czas łącznik przekazuje polecenie, żeby zająć się dziewczynami, które sympatyzowały z Niemcami. Okazało, że to były te od czerśni. Mnie przypadła nieprzyjemna rola „fryzjera”. Krzyk był jak cholera, ale nie dostały batów, tylko to ostrzeżenie.

W lesie nie mieliśmy namiotów, spaliliśmy na wiekowych rozłożystych gałęziach świerków. Zaraz drugiego dnia, miejscowy łącznik zaalarmował nas o taborze niemieckim idącym przez puszcze. Zgłosiłem się z



Kpt. Wojciechowski z Reginą Linkowską, prezes „Ostrej Bramy” SZŻAK na obchodach rocznicy powstania warszawskiego w Poznaniu 2012 r. Fot. Teresa Masłowska

wiadomskiego. Majstrem był tam Józef Rzędzin. Porządny chłop. Trochę mnie poobserwował, potem zaproponował wstąpienie. On też odebrał ode mnie przysięgę. Przyjąłem pseudonim „Krzemień”, że niby taki twardy jak kamień. Byłem kolporterem podziemnej prasy i wywiadowcą. W domu nie wiedzieli. Potem wyszło na jaw, że w rodzinie było nas takich więcej, tylko każdy cicho siedział. Siostrę Jadwigę wciągnął komendant Obwo-

sem, Niemcy dostawali popalić na wszystkich frontach i potrzebowali więcej niewolników do darmowej pracy. Ja także trafiłem na listę, ale zostałem wykupiony przez organizację. Wywózki nasilały się, więc padł rozkaz zniszczenia Arbeitsamtu, czyli niemieckiego urzędu pracy w Białymstoku. Z rozpoznania wiedzieliśmy, że strażnikiem był Polak, natomiast nie wiedzieliśmy, że także był w konspiracji. Po wejściu związali-

➤ chłopakami na ochotnika. Miałem – pamiętam jak dziś – starą parabelkę, którą mogłem rozkładać i składać z zamkniętymi oczyma. To była dobra broń, tylko wymagała bardzo starannego utrzymania. Patrzymy, jedzie szpica, trzech czy czterech na koniach. Wyskoczyliśmy. Dobrze uzbrojeni, ale jak barany zeszedli z koni, oddali i broń, i konie. Nasi ich zabrali, a myśmy poszliśmy dalej. Rozpętała się strzelanina. Tylko że my z pistolecikami naprzeciwko automatów. Pech chciał, moja broń zacięła się. W końcu nie udało nam się ich rozbić. Wycofaliśmy się. Po akcji wzbogaciłem się o automat i buty, co prawda za duże, ale napchałem słomy i jakoś chodziłem. Z wycofującymi się Niemcami stoczyliśmy jeszcze trochę potyczek, m.in. w Rybniku, Supraślu.

Do Rosjan chodziliśmy na rozmowy w obstawie komendanta „Szarego”. Wedle niepisanej umowy żadna ze stron miała być bez broni. W rzeczywistości i oni, i my byliśmy uzbrojeni po uszy. Najczęściej uzgadniano wspólne akcje przeciw Niemcom. Kiedyś w drodze na spotkanie w Sowieci, postanowiliśmy chwilę odpocząć w zbożu, bo strasznie gorąco było. Nagle zjawił się samochód z niemieckim wojskiem. Rozbiegliśmy się. Z kolegą wpadłem do drewutni, patrzymy idzie szwab, strzeliłem do niego. Traf chciał, że akurat na linii strzału znalazła się kobieta i ją w rękę zraniłem. Wycofaliśmy się, ale jak tu z powrotem trafić do oddziału? Błądząc spostrzeżliśmy bęben z przewodami do stanowisk niemieckiej artylerii. Prześciliśmy je, ale nie mogliśmy zostawić, bo znowu by je połączyli. Tachaliśmy je przez las i tak dotarliśmy do obozu. Otrzymałszy rozkaz zrobienia zasadzki na tych łącznościowców. Ale któremuś z naszych nerwy puściły i za szybko zaczął strzelać, więc szwabycy pouciekały.

Pod koniec lipca 1944 r. słyszeliśmy już strzały od Białegostoku. Rosjanie nacierali całą siłą. Z tą pierwszą linią mieliśmy kontakt, dali nam nawet granaty i naboje. Z

naszym dowództwem mieli się spotkać i ustalić kolejne akcje, ale padł rozkaz demobilizacji. Zakopaliśmy broń i każdy poszedł do domu, a dla mnie rozpoczął się właściwie czas drugiej konspiracji. Chciałem przedostać się na pomoc walczącej Warszawie, jednak nie udało mi się. Trafiłem do wspomnianego już „Boruty” Michała Dziejmy, zostałem łącznikiem w II Inspektoracie Mazowieckim AK. Byłem tam do listopada 1944 r. aż do jego aresztowania przez NKWD.

Rodzina bardzo wycierpiała od Sowietów. Najpierw przyszli po moją ciotkę Eugenię Foryś, której mąż Wincenty był w Korpusie Ochrony Pogranicza. W listopadzie 1944 r. aresztowali matkę z siostrami i osadzili w Ostaszku. Przeszły przez piekło.

Sekcja do zadań specjalnych

Po ich aresztowaniu wróciłem do Białegostoku, gdzie na polecenie komendanta Obwodu AK Białystok Czesława Hakke, ps. „Filip” utworzyłem i dowodziłem sekcją dywersyjną do zadań specjalnych. Tropiliśmy kolaborantów, zdrajców zarówno tych z 1939 r., którzy wydawali naszych Niemcom, jak i tych, którzy w 1941 r. wydawali naszych żołnierzy Rosjanom. Byliśmy doskonale wyposażeni w broń, bo nawiązałem z kontakt Franciszek Romejko ps. „Gotów”, który uzbrojenie i mundury „organizował” z karnej kompanii, gdzie przetrzymywano dezertersów od Berlina. Mało tego, od Romejki znaleźliśmy hasła Sowietów i berlingowców, i swobodnie się poruszaliśmy po mieście. Działaliśmy w nocy.

W styczniu 1945 r. Armia Krajowa została rozwiązana. Władysław Liniarski komendant Białostockiego Okręgu AK został komendantem Armii Krajowej Obywatelskiej. Przemieszkowałem u Czesia Bykowskiego, otrzymywałem żołd, około 20 dolarów miesięcznie. Ciągle myślałem, że wybuchnie trzecia wojna światowa. Coraz więcej słyszało się o aresztowaniach dowódców i kolegów. W lipcu 1945 r. w Brwinowie pod Warszawą wpadł komendant Liniarski. Także w lipcu bezpieka zabiła naszego dostawcę Romejkę. Dookoła za-

częło się robić gorąco. Dalsza walka stawała się beznadziejna. We wrześniu jako podporucznik złożyłem broń.

Z Czesławem Bykowskim i Henrykiem Powichrowskim wyjechaliśmy do Poznania, gdzie zaczęliśmy się w warsztatach samochodowych Cegielskiego. Dostałem powołanie do wojska, a że wcale nie uśmiechało mi się służyć komunistom, wyjechaliśmy na krótko do Ustki, potem do Gdyni. W końcu pojechałem do Heleny, mojej dziewczyny, do Szczecina. Zapisalem się gimnazjum dla dorosłych. W 1947 r. w Warszawie ujawniłem się. Przed ubekiem przeszedłem spowiedź powszechną, jak myśmy to nazywali. Kiedy mnie zapytali dokąd pojedą, odparłem dla zmyłki, że do Białegostoku. Potem mnie tam szukali. Siostra wychodziła za mąż to cały dom obstawili. Nie pojechałem. Białystok odwiedzałem zakamuflowany, z zabandażowanym okiem. Natomiast szczecińskie UB w nocy zaraz po powrocie z Warszawy przyjechało mnie aresztować. Już wiedzieli, że byłem w AK. Helenę też aresztowali. Po kilku godzinach nas wypuścili. W 1948 r. ożeniłem się z Helenką, a w 1958 r. przenieśliśmy się do Poznania, gdzie mieszkam do dzisiaj.

TERESA MASŁOWSKA

*

Kapitan rez. Mieczysław Wojciechowski ur. się 6 kwietnia 1924 r. w Białymstoku. Od 1941 r. działał w konspiracji, w Bojowej Organizacji Wojskowej, od 1942 r. w Okręgu Białostockim AK, jako dowódca sekcji Kedywu, następnie dowódca sekcji dywersyjnej w batalionie partyzanckim „Hańcza”. Od stycznia do września 1945 r. w Armii Krajowej Obywatelskiej. Ukończył konspiracyjną szkołę podchorążych „Inspektoratu Białostockiego”. Ważniejsze odznaczenia: Krzyż Walecznych (1944 r.), Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami (1945 r.), Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami (1944 r.). W 1948 ożenił się z Heleną z d. Greffling. Żona zmarła w 1998 r. Dwoje dzieci, córka i syn, troje wnuków i troje prawnuków.(tm)

Otwarto podwoje kościoła w Wilkowie Polskim

Z powodu grożącej budowlanej katastrofy, progów zabytkowego, gotyckiego kościoła w Wilkowie Polskim przez dobre dwa i pół roku przekroczyć nie było można. W tym czasie msze św. i wszelkie inne zgromadzenia wiernych, zastępczo odbywały się w salach i świetlicach wiejskich. Na szczęście stan ten mamy za sobą i wierni mogą teraz modlić się w swoim własnym kościele.

Według kroniki parafialnej, drewniany kościół w Wilkowie Polskim zbudowano już w 1298 r. W obecnym kształcie, z cegły, kościół powstał w 1540 roku, dzięki fundacji Piotra Ossowskiego. Wzniesiony został w stylu późnogotyckim, ale wewnątrz mieszczą się w nim liczne dzieła sztuki z okresu renesansu i baroku. Parafianie są bardzo przywiązani do swojej świątyni. Trudno im było odnaleźć nastroj do modlitwy i wyciszenia w świetlicach prowizorycznie przystosowanych do celów liturgicznych.

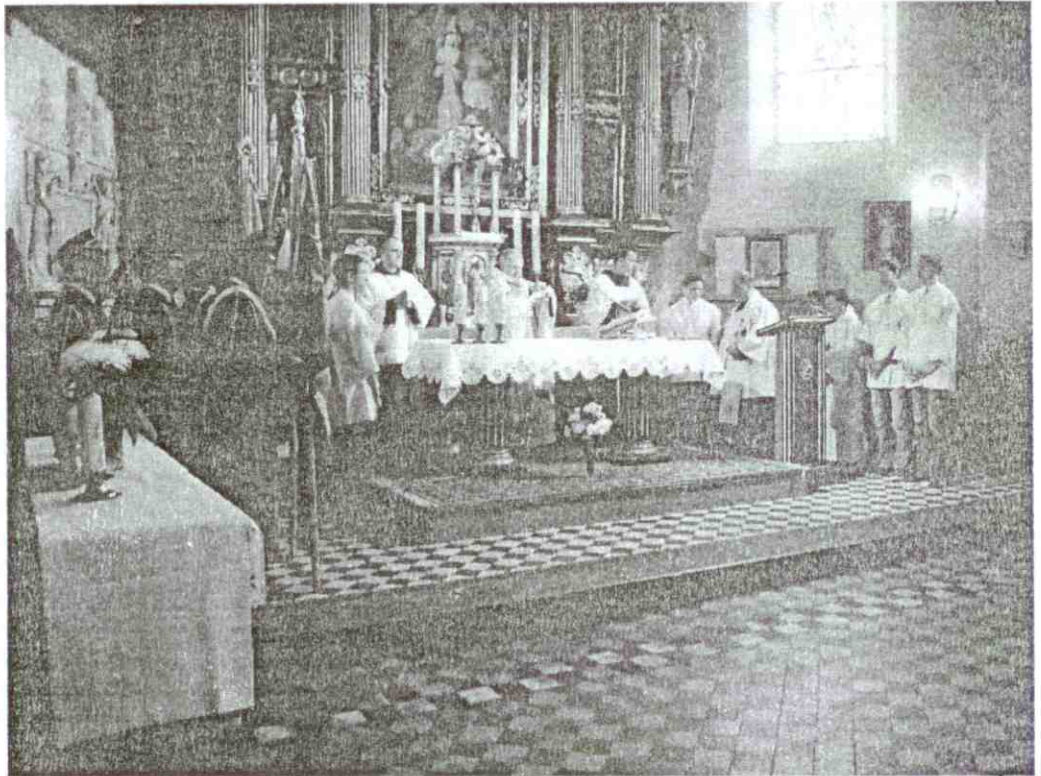
Oficjalne, ponowne otwarcie kościoła, wraz ze mszą św. w dzień patronki Świętej Jadwigi Śląskiej, uroczyście nastąpiło 21 października 2012 roku. Mszę św., wraz z zakończeniem odpustowej misji, poprowadził o. Jerzy Jesse, gwardian zakonu franciszkanów z Osiecznej. Asystował mu o. Albert, również fran-

ciszkanin z Osiecznej oraz ks. Marek Smólski, proboszcz miejscowej parafii. Co prawda, kościół dla wiernych swe podwoje otworzył już 3 sierpnia, wraz z uzyskaniem dokumentów zezwalających na użytkowanie obiektu, ale na oficjalne wejście wiernych poczekano do dnia patronki parafii – Świętej Jadwigi Śląskiej.

Na kościelnej uroczystości m.in. obecni byli: posłanka Małgorzata Adamczak (pochodząca z tej parafii), Aleksander Starzyński - wojewódzki konserwator zabytków, Antoni Kłak i Sławomir Górny - grodziszczy wice-

stwa i Społecznego Komitetu Ratowania Zabytkowego Kościoła z Heleną Łagódką, jego przewodniczącą, no i oczywiście miejscowa społeczność parafialna.

Remont przeprowadzono przy wielkim zaangażowaniu specjalistycznych ekip budowlanych i nakładzie potężnych środków. Na czym polegał? Mówiąc w największym skrócie: wzmocniono sklepienie zabytkowego kościoła specjalnymi kotwami, wymieniono da-



Uroczysta msza św. na oficjalne ponowne otwarcie zabytkowego kościoła p.w. Świętej Jadwigi w Wilkowie Polskim.
Fot. Tadeusz Jąder

starostowie, Adam Łaniecki i Wiktor Snela - burmistrzowie Wielichowa i Śmigła, była też Wiesława Poleszak-Kraczewska, zastępczyni burmistrza Śmigła. Z Poznania przyjechał inż. Grzegorz Ratajczak, inspektor nadzorujący przebieg remontu z ramienia Kurii Arcybiskupiej. Byli też radni, liczni przedstawiciele duchowień-

chówkę i część poszycia dachowego. Budowlę opasano stalowymi linami poprowadzonymi w murze kościoła, a wewnątrz wzmocniono kłami. Proboszcz Smólski wyjaśnia skąd uzyskano środki na remont:

– W 2010 r. - pierwszym roku remontu - udało się

uzyskać 90 tysięcy złotych. Solidarnie, po 30 tysięcy, dały: Kuria Metropolitalna w Poznaniu, Urząd Marszałkowski – Departament Kultury oraz gmina Wielichowo. W następnym, 2011 r., dokonano naprawy i wzmocnienia więźby dachowej oraz wymiany dachu. Tę część sfinansowały: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – 170 tysięcy zł, Kuria Metropolitalna – 50 tysięcy, Urząd Marszałkowski – 40 tysięcy i Starostwo Powiatowe w Grodzisku Wlkp. – 25 tys. zł. Na więźbę i dach otrzymaliśmy promesę PROW, czyli europejskiego Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich w kwocie 330 tysięcy, ale musieliśmy w tym celu wziąć kredyt bankowy. Wreszcie w bieżącym roku, przeprowadzając operację sklamrowania kościelnych murów na zewnątrz i wewnątrz obiektu spożytkowaliśmy 100 tys. zł dotacji z Ministerstwa Kultury, po 27 tysięcy ze Starostwa Powiatowego w Grodzisku i Urzędu Marszałkowskiego w Poznaniu oraz 77 tysięcy złotych dzięki wielkiej hojności miejscowych parafian zebranych przez Społeczny Komitet, czyli aż jedną trzecią tegorocznych wydatków. Łatwo się zorientować, że na remont wydatkowano już około miliona złotych.

Parafia pod wezwaniem Świętej Jadwigi Śląskiej w Wilkowie Polskim jest trochę nietypowa, gdyż jej obszar nie zgadza się z podziałem administracyjnym. Jest położona nie tylko w trzech gminach (Wielichowo, Śmigiel i Przemęt), ale również w trzech powiatach (Grodzisk Wielkopolski, Kościan i Wolsztyn). Dawniej był jeden powiat – powiat kościański i wszystko było prościej. Obecny stan powoduje pewne kłopoty, związane chociażby z niezbędną finansową pomocą dla kościoła. Wilkowo Polskie należy do powiatu grodziskiego, a już np. gmina Śmigiel, gdzie mieszka bodajże większość parafian, jest w powiecie kościańskim. Z tego względu śmigiełski samorząd nie mógł bezpośrednio, ze swego budżetu, dotować remontu. Ale znaleziono rozwiązanie. Otóż urzędnicy śmi-

gielskiej gminy skutecznie pomogli w opracowaniu wniosków (to dość skomplikowana procedura) umożliwiających wilkowskiej parafii skorzystanie z europejskich funduszy.

W przyszłym roku przewidziane są dalsze prace konserwacyjne i remontowe. Tym razem wewnątrz kościoła, zatem nie powinny one utrudniać zgromadzeń wiernych. Według planu, renowacja m.in. obejmie odkryte w latach 1969-1970 cenne średniowieczne freski na ścianach. Przedstawiają one sceny z życia Chrystusa, a powstały w XVI wieku. Znany jest już wstępny kosztorys prac, który opiewa na 530 tysięcy złotych. Do prowadzenia prac konserwatorskich została wybrana firma Daniela Nowackiego z Osiecznej. Cieszy się ona wielką renomą, a jej właściciel legitymuje się dyplomem mistrza rzemiosła artystycznego nadanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Odświeżone i pomalowane zostaną wszystkie ściany i sklepienie kościoła. W efekcie ma zostać przywrócona pierwotna estetyka i dawne kolory, komponujące się z naturalnym wystrojem zabytkowej budowli. Na pewno też zniknie olejna farba z chóru, bo nie dość, że raczej szpeci niż ozdabia, to jeszcze nie pozwala „oddychać” murom.

Ks. Smólski już rozplanowuje przyszłoroczne wydatki. Wnioski na odpowiednie fundusze zostały bardzo starannie opracowane i dobrze uzasadnione. Zostały skierowane do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków oraz Departamentu Kultury Wielkopolskiego Urzędu Marszałkowskiego.

Remont kościoła rozpoczął jeszcze poprzedni proboszcz, ks. Marian Derkaczewski. Za jego kadencji powołany został Społeczny Komitet Ratowania Zabytkowego Kościoła. Wyrażnego rozpędu prace nabrały jednak przy ks. Marku Smólskim, obecnym proboszczu, od ponad dwóch lat zawiadującym parafią. Mówią o nim, że jest uparty, że jak już do czegoś się weźmie, to nie odpuści. I chyba dobrze, bo to niewątpliwie to jego konsekwentne zabiegi, jego stanowczość, przyniosły oczekiwany efekt w postaci napływu odpowiednich środków i widocznego postępu.

TADEUSZ JĄDER

Niech

Z doktorem Zdzisławem Kościańskim o prawdzie historycznej, narodowej pamięci, mitach dotyczących kawalerii i zobowiązaniach moralnych

Co takiego jest w ułanach, kawalerzystach, co pana fascynuje najbardziej? Co z ich tradycji może być dla młodych ludzi dziś wzorcem?

- Ułani to broń, rodzaj walki, piękni chłopcy, w mundurach, na koniach, opiewani w pieśniach, wybiegające do nich dziewczyny... Malowniczy obraz. Z drugiej strony za tym malowniczym obrazem kryje się wiele trudów, ogromna praca i wysiłek. Ułan, ledwo przyszedł do swojej jednostki na 23. miesięczną służbę, musiał nie tylko zająć się sobą, swoim karabinem, oporządzeniem, ale i koniem – oczyścić, nakarmić, napić. Koń był bronią ciężką i wymagającą, uczył odpowiedzialności, dbałości o swojego towarzysza, odpowiedniego zachowania. Oddziały kawaleryjskie były nieco mniejsze, niż inne, panna tam wyjątkowa, rodzinna atmosfera. W szwadronie liczącym 125 koni i ludzi, był dowódca szwadronu, miał pomocników - dowódców plutonu. Bywało, że oni wszyscy się znali. Przenoszono ich też często, w ramach integracji państwa, z zachodnich kresów, na krańce wschodnie. Była to świadoma polityka państwa, by wyrównać poziom intelektualny między Polską A i Polską B. Polesiak, który przychodził na służbę na zachód, często pierwszy raz widział elektryczność...

Jest Pan autorem szeregu publikacji na temat Powstania Wielkopolskiego, jego dziejów i bohaterów. Jaki był stan wiedzy o Powstaniu, gdy zaczął Pan się nim zajmować i kiedy był ten początek?

- Początek to były spotkania kościańskie, kiedy byłem młodym człowiekiem i obserwowałem pracę historyków: wtedy jeszcze dr. Polaka i mgr. Bauera. Jesz-

pozostanie pamięć (2)

cze w latach 70. starali się robić ciekawe wystawy i spotkania itp. Oni mnie zainspirowali, żeby też się tym tematem zająć. Nawiązałem współpracę z prof. Bogusławem Polakiem już w czasie moich studiów i po studiach. Gdy rozpoczynałem gromadzenie materiałów i wiedzy, dochodziło do sytuacji kuriozalnych. Wydawało by się, że takie rzeczy w Wielkopolsce nie powinny mieć miejsca. Mianowicie, już w latach 80. ych udało nam się skonstruować i przygotować do druku „Słownik Biograficzny Powstańców Wielkopolskich”. Tylko, że nikt nie był zainteresowany jego wydaniem. Opracowałem do tego słownika około 50 biogramów. Wśród tych biogramów był też nasz Rost, Rożek. Pisałem wtedy „zmarł w roku 1940”, bo nie mogłem pisać w Katyniu, czy Miednoje – zresztą o Miednoje jeszcze wtedy mało kto wiedział. W każdym razie słownik był gotowy w 1984 roku i od tamtej pory w kółko poprawiany, wożony do wydawnictw. Rodziny powstańcze miały nadzieję, że „ta rzecz” się ukáže, ale wielu nie doczekało. Tymczasem upadło Wydawnictwo Poznańskie, na jego miejsce powstała Fundacja Wydawnictwa Poznańskiego i jako spadkobierca wydała ten słownik. W 2002 roku! Teraz wydajemy coś takiego, co się nazywa: „Powstańcy Wielkopolscy. Biogramy uczestników. Słownik Uczestników” – wydaliśmy już 6 pozycji, przygotowujemy 7. I to od 2005 roku. W małym nakładzie, ale słownik się ukazuje. Staraliśmy się propagować wiedzę o Powstaniu w jak największej ilości publikacji.

Jest Pan jest przewodniczącym Komisji Historycznej Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego. Jaką działalnością zajmuje się Towarzystwo, prócz tworzenia publikacji i pomagania osobom poszukującym informacji o powstańcach?

- Organizujemy spotkania, sesje naukowe, lobbujemy w gminach na rzecz pamięci o powstańczych mogiłach. Towarzystwo liczy ok. 2 - 2,5 tys. osób w skali Wielkopolski, ale mamy też sym-



W czasie sesji naukowej w Wielichowie.

Fot. Archiwum rodzinne

patyków na Kujawach, w Lubuskiem i także koło w Warszawie. Działalność powinny prowadzić głównie te koła, które nadzoruje zarząd z siedzibą w Poznaniu. Z jego inicjatywy zaczął się ukazywać wspomniany słownik powstańców. Autorzy, którzy publikują w naszym słowniku, u siebie w regionie wydają również lokalne słowniki biograficzne. 90. rocznica powstania zrodziła wiele publikacji i mam nadzieję, pojawiać się będą coraz to nowe. Zostało tylko słowo pisane, bo nie mamy już żadnego żyjącego powstańca, ostatni – Jan Rzepa, zmarł w 2005 roku, we Wronkach, w wieku prawie 106 lat. Ostatnio przeprowadzono ankietę na temat Powstania Wielkopolskiego i na

pytanie z kim walczyli powstańcy, często padała odpowiedź „z Rosjanami”, że było zwycięskie, to nie każdy pamiętał, a o postaciach już w ogóle nie wiadomo. A więc wiele pracy jeszcze przed nami.

Zajmując się przez tak wiele lat powstaniem Wielkopolskim wymarzył pan sobie jakiś sposób jego upamiętnienia? Dla mnie ideałem miejsca pamięci o historii, żywego i sugestywnego jest Muzeum Powstania Warszawskiego. Czy i wielkopolski zryw mógłby zostać tak pokazany?

- Oczywiście, że mogłoby. Tylko my, Wielkopolanie nie zawsze potrafimy się dogadać... Istnieją animozje różnych instytucji. ➤

➤ Gdyby się zebrać, można by było powstanie pokazać w jakiś wizualnie ciekawy sposób. Ostatnio zresztą powstała taka pierwsza próba, w Muzeum Powstania Wielkopolskiego na starym rynku w Poznaniu. W podziemiach Odwachu wykonano część ekspozycyjną, wykorzystując elementy okopowe, tak jak w angielskich czy francuskich muzeach. Są też telefony przez które, po podniesieniu słuchawki, możemy uzyskać jakieś informacje. Wchodzimy więc też w nowy typ muzeum. Podobnie jest w Muzeum Poznańskiego Czerwca w CK Zamek. Taka była wizja dyr. Lecha Dymarskiego, który jest jednocześnie przewodniczącym sejmiku wielkopolskiego. Chwała mu za to, że to muzeum przybiera nowe formy, bardziej odpowiednie dla współczesnego odbiorcy, mniej czytającego, bardziej „wizualnego”. Może z okazji stulecia ktoś wpadnie na pomysł stworzenia jednego, dużego muzeum. A może ja tak myślę, bo po prostu jestem obciążony historią. Nie każdy ma takie wzorce i poszukiwania. Zawdzięczam to też temu, że spotkałem na swojej drodze wielu wspaniałych ludzi, którzy wyraźnie zaznaczyli swoją obecność w moim życiu.

Pułkownik Kukielka był na pewno dla Pana taką osobą – kto jeszcze?

- To jest trudne pytanie, bo takich osób było bardzo wiele. Ważne były rozmowy z Czesiem Krolkiem, który miał swoje zapatrywania i polityczne, i różne inne. Wspominam picie herbaty owocowej ze Zbyszkiem Pięknym, rozmowy o przeszłości, o Wyszynskim z panią Krysią Preisler, z Gracjanem Matusiakiem, powstańcem. Generał Klemens Rudnicki bardzo dużo pomógł mi w czasie mojej wizyty w Londynie, gdzie miałem okazję być w latach 80., gdzie wtedy działał jeszcze rząd i prezydent na uchodźstwie. Ważne dla mnie było też spotkanie z Michałem Gutowskim – olimpijczykiem, Januszem Komorowskim – kawalerzystą i olimpijczykiem. Cenię przebywającego w Londynie, najstarszego obecnie, bo 101. letniego uczestnika wojny polsko – bolszewickiej gen. Kazimierza Draczyńskiego, który w tej wojnie uczestniczył jako młody chłopak. Korespondencja z nim, to że dzwoni i pamięta o

mnie, choć ma tyle lat, są dla mnie bardzo budujące i ja też staram się pamiętać o nim. Ma uwagi do moich prac, napisał wstęp do mojej książki o kawalerii. Inne osoby, to pan Lesław Kukawski z Trzcianki Lubuskiej, mój wspinały, na mojej drodze na ścieżce historycznej, mistrz - profesor Bogusław Polak, koledzy: prezes Stefan Barłóg, prof. Janusz Karwat, dr Bogumił Wojcieszak, Zenon Józwiak, Grzegorz Krogulec, Marek Kędzierski, Eligiusz Tomkowiak, Antoni Fornalski, dr Krzysztof Błaszczak i, Ania Formaniewicz - dyrektor muzeum w Rakoniewicach, wspaniała osoba, która często inspiruje moje działania regionalne czy lokalne, jak choćby wystawa w Rakoniewicach o Giedroyciu, generale Andersie, czy Powstaniu Wielkopolskim. Minister dr Jan Ciechanowski uznał wystawę moich zbiorów na temat Andersa za jedną z ciekawszych w Roku Andersa i w księdze pamiątkowej napisał: ...wystawa robi wielkie wrażenie i stwarza przykład, jak można, opierając się na głębokiej wiedzy historycznej i pasji muzealnej, a jednocześnie przy niewielkich środkach stworzyć wystawę, która jest jedną z najbardziej cennych ekspozycji Roku Andersa. Dla mnie taka opinia była bardzo budująca i mobilizująca do dalszej pracy, bo wiadomo, że człowiek zawsze ma różne obowiązki, zobowiązania, rodzinę. Mnie udało się przez te wszystkie lata realizować dzięki wyrozumiałości żonie. Inaczej nie byłoby tej szansy.

Teraz, jako emeryt ma pan sporo czasu na współpracę ze wszystkimi instytucjami pamięci i naukowymi, instytucjami i stowarzyszeniami...

- W dziwny sposób mam mniej czasu, niż miałem. A żyłem nadzieją, że na emeryturze będzie inaczej. Plany, jakie mam są bardzo szerokie. Jeżeli chodzi o działkę wojskową, to cały czas interesuje mnie II Korpus Andersa, bo szereg publikacji na ten temat popeliłem. Przez wiele lat zgromadziłem pewne materiały archiwalne, niektóre otrzymałem w spadku od tych, którzy historią się zajmowali, a już ich nie ma. To jest moralne zobowiązanie. Tak samo jeśli chodzi o Powstanie Wielkopolskie. Coś ciągle próbuję robić. W ostatnim czasie ukazały się kolejne moje publikacje będące podsumowaniem moich badań naukowych t.j.: nad kawalerią pt.: Organizacja i działania wojenne samodzielnej kawalerii polskiej w 1939 roku. Wybrane przykłady dzia-

łań bojowych samodzielnej kawalerii polskiej w 1939 roku oraz zbrodnią katyńską w ujęciu regionu nowotomyskiego p.t. "Nowotomska lista katyńska. Historia i pamięć". Ks. Władysław Kasprzak prosi mnie o publikację na temat parafii Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i jej proboszczów. Była też w planach historia wodociągów. W tej chwili realizuję drobne rzeczy związane z gminą Kuślin, Rakoniewice i Dopiewo. Nie daje mi też spokoju kawaleria w 1920 roku, o której pisałem przed laty w pracy magisterskiej. Chciałbym tę pracę przystosować do publikacji dla szerszego grona czytelników. Cieszy mnie, że przez tyle lat znalazłem zrozumienie w rodzinie i u żony, która te moje pasje toleruje, wyjeżdża ze mną nawet. Teraz wybieramy się znów pod Krojanty. Ważne jest to, że i córka i synowie są też zainteresowani historią... Mam jeszcze wiele planów i oby udało mi się je zrealizować. Czuję się zobowiązany wobec tych, którzy powierzyli mi swoje wspomnienia, a odeszli, wobec powstańców, wobec kawalerzystów, których znam, a którzy mają po 95 lat. I oni odejdą, potem odejdą i ci z Czerwca, i ci z Sierpnia. Niech pozostanie o nich pamięć. (Koniec)

SYLWIA KUPIEC

*) Tekst jest wyborem fragmentów obszerniejszej rozmowy, jaką przeprowadziła z dr. Zdzisławem Kościńskim Sylwia Kupiec, pracownica Miejskiej i Powiatowej Biblioteki w Nowym Tomyślu. Całość zamieszczono w kwartalniku "Przegląd Nowotomyski" nr 2/14 z 2010 roku.

**) Zdzisław Kościński urodził się w Kościanie. Od 1983 roku związany z Nowym Tomyślem, gdzie po ukończeniu wydziału historycznego UAM i służbie wojskowej, podjął pracę jako nauczyciel historii w Szkole Podstawowej nr. 1. W latach 1990 - 2008 pracownik Kuratorium Oświaty w Poznaniu. W 2000 r. na podstawie rozprawy pt.: Organizacja i działania wojenne samodzielnej kawalerii polskiej w 1939 roku uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii. Na zaproszenie kawalerzystów II RP, prowadził kwerendę archiwalną w Wielkiej Brytanii, gdzie publikował w „Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancernych”. Przez lata organizował na terenie Nowego Tomyśla, Lwówka, Opalenicy, Zbąszynia, Wolsztyna, Stęszewa i Rakoniewic sesje popularno-naukowe oraz wystawy o tematyce historycznej. Od lat 80. niestrudzony badacz dziejów i twórca biogramów uczestników Powstania Wielkopolskiego. Przewodniczący Komisji Historycznej Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919, członek Klubu Miłośników Dawnych Militariów Polskich w Warszawie.

Pożegnanie

Wwieku 94 lat w Poznaniu zmarł Henryk Zięba. Jeden z ostatnich prawdziwych kolejarzy, autor monumentalnej „Monografii Dyrekcji Okręgowej PKP w Poznaniu”, twórca i wieloletni opiekun kolejowej Izby Pamięci. Przed wojną mieszkał w Kościanie, po wojnie przez długie lata przyjaźnił się z nim nasz współpracownik Jan Pawlicki.

Pana Henryka Ziębę znałam kilka do-
brych lat. Jednak chociaż dużo i chętnie opowiadał o kolei oraz swoich pasjach, to kiedy usiadłam do pisania o nim, zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę niewiele wiem, jeśli chodzi o twarde fakty z życiorysu. Jeszcze kiedy pracowałam „na kolei” i dość często odwiedzałam go w izbie pamięci, pisałam wiele razy o jego bieżących inicjatywach. A tych było wiele. Ale na wielokrotne prośby o spisanie lub podyktowanie życiorysu reagował niechętnie, jakby obawiał się, że podsumowanie życia wiąże się nieuchronnie z jego końcem, a może to nie tak, może nie chciał wracać do biednych przedwojennych lat albo komunistycznych czasów PRL. Tego już się nie dowiem.

Urodził się na Kielecczyźnie. Nie wstydił się przyznać, że panowała tam okropna bieda. Po skończeniu szkoły zawodowej starał się bez powodzenia znaleźć pracę. Przyjechał do Kościana, w którym mieszkał jego wujek – jeden z udziałowców tutejszej cukrowni. Zakochał się w wielkopolskim porządku i pracowitości – zawsze podkreślał, że w Kościanie zobaczył inny świat. Okupację spędził pracując w parowozowni w Skarżysku-Kamiennej, potem w Jędrzejowie na kolei wąskotorowej, ale zaraz po wojnie w 1945 r. znowu przyjechał do Wielkopolski. Osiedl w Poznaniu. Tam ukończył gimnazjum, zdał maturę, a potem zdobył wyższe wykształcenie studiując na Politechnice Poznańskiej.

Całe życie przepracował na kolei. Wy-soko zaszedł. Od stanowiska pomocnika technicznego w biurze do Naczelnika Zarządu Wagonów w ówczesnej Zachodniej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych. W 1980 r. przeszedł na zasłu-

zoną emeryturę. Jego największą pasją stała się Izba Pamięci, którą utworzył w 1986 r. na bazie eksponatów DOKP. Stało się to przy zachęcie i akceptacji – bardzo szanowanego przez kolejarzy - dyrektora DOKP Zbigniewa Pajdaka. Około 1990 r. izba otworzyła podwoje dla zwiedzających. Pan Henryk codziennie w niej dyżurował do 13.00. Każdego chętnie oprowadzał i opowiadał, a znał historię każdego przedmiotu. Wiele z nich zdobył osobiście, wiele podarowali kolejarze i ich rodziny. Uzbierało się tego ponad tysiąc sztuk. Wśród nich rarytasy, jak jedyny w Wielkopolsce duży kolejowy aparat fotograficzny do powiększania rysunków geodezyjnych, zbiór lamp karbidowych i naftowych, pierwszy w Poznaniu kolejowy rozkład jazdy, bogata kolekcja archiwalnych zdjęć. Zamartwiał się, co będzie z izbą, kiedy go zabraknie. Teraz izba jest zamknięta na glucho. Ktoś gdzieś planuje remonty, które trwają już kilka lat...

Na emeryturze odkrył w sobie nie tylko pasję muzealnika, ale także rzeźbiarza. Tworzył w drewnie płaskorzeźby Orła Białego z herbów królów polskich, odznak wojskowych itd.

- Nigdy przedtem nie miałem do czynienia z drewnem, z wykształcenia jestem inżynierem mechanikiem, specjalność pojazdy szynowe, ale zabrałem się do rzeźbienia, i spodobało mi się. Największą radość odczuwam, kiedy spod dłuta wylaniają się stopniowo kontury rzeźby – opowiadał mi podczas jednej z pierwszych rozmów w 2005 r.

Kolekcja orłów Zięby była prezentowana m.in. w Poznaniu, Krotoszynie, Rogoźnie, Gdańsku, Ostrowie Wlkp., Kępnie, Kórniku. W 1996 r. orły pokazano także w kościańskim muzeum. Wizerunków orła wyrzeźbił - z tego co wiem - 91. Wszystkie zostały sfotografowane i opisane, a następnie wydane drukiem w 2007 r. w albumie pt. „Orły Polskie 1222 – 1993. Rzeźby w drewnie”. Nie tylko wiernie i z detalami odtwarzał wizerunki tych królewskich ptaków. Potrafił opowiadać ze szczegółami o każdej płaskorzeźbie, bo za każdą kryje się historią, którą on dobrze znał.

- Proszę spojrzeć na Orła Korybuta-Wiśniowieckiego z 1669 roku, wyhaftowany na kapie koronacyjnej. Pierwszy raz użyto insygniów królewskich, albo orzeł Mary-



Henryk Zięba na Paradzie Parowozów w Wolsztynie w 2007 r.

Fot. Teresa Masłowska

narki Wojennej z 1993 roku, widać tu zwiniętą linę w kształcie litery „S”, niektórzy myślą, że to oznacza „Solidarność”, a to „S” zostało umieszczone na cześć Zygmunta Starego i Augusta. Za ich panowania bowiem, zaczęto tworzyć flotę morską. Kilka lat temu toczył się spór o gwiazdki na skrzydłach Orła Białego. Uważano je za spuściznę po komunizmie, a to przecież w uznaniu dla marszałka Piłsudskiego, który pierwszy wprowadził gwiazdki w dystynkcjach wojskowych.

Był autorem trzytomowej „Monografii Dyrekcji Okręgowej PKP w Poznaniu” obejmującej lata 1848 do 2000. Zawdzięczam mu wiele tematów. To on podsunął mi kronikę pań zajmujących się dobroczynnością przy przedwojennym Polskim Związku Kolejowców, pokazał stare gazety z relacjami z zawodów sportowych KPW-iaków – czyli Kolejowego Przystosobienia Wojskowego. Pożyczył płyty z odcinkami Kolejowej Kroniki Filmowej. W rocznikach kolejowych wydawanych przez Związek Prawników i Ekonomistów Kolejowych II RP znajdowałam informacje o zarobkach przedwojennych kolejarzy.

2 września 2012 r. odszedł człowiek, który kochał życie, kochał kolej. Pochowano go na Cmentarzu Górczyńskim. Odszedł jeden z ostatnich prawdziwych kolejarzy. Będzie mi go brakowało.

TERESA MASŁOWSKA

Dzienniki Macieja Morawskiego (XIII)

Na horyzoncie gromadzą się chmury

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy jedenasty odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2012 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

17 sierpnia

Ciekawa rozmowa z młodym człowiekiem z Wielkopolski, który na wakacje przyjechał do wujostwa, do Francji. Jest pod wrażeniem faktu, iż teraz zabiegają oni, o zmianę mieszkania, chcą za wszelką cenę opuścić podparyską miejscowość, w której mieszkają od 30 lat! Rzecz w tym, iż w ciągu owych lat, to miasteczko nabrało innego charakteru! Teraz „dominują w nim” (jak ponoć mawia ciotka mego rozmówcy) imigranci z Afryki. Wiele sklepów zamkniętych! Bezrobotna młodzież na ulicach „rozrabia” - ludzie się ich boją!

Mój rozmówca był już u tych wujostwa przed 5 laty. Jest zdania, że od tego czasu sytuacja bardzo się pogorszyła. Mówi: my w Polsce nie zdajemy sobie sprawy, iż w niektórych miasteczkach Francji i ponoć Belgii tak narasta problem z tymi chuliganami wyznania islamskiego, że są oni „pełni pretensji, aroganccy, agresywni i rozgoryczeni”. Do tego ponoć ostatnio szerzy się wśród nich przekonanie, że nadejdą czasy prawdziwej „wiosny arabskiej”. Są pod wpływem pewnych telewizji czy radiostacji bliskowschodnich. Rozmówca stwierdza, iż na jego wujostwu duże wrażenie zrobiły poniedziałkowe rozruchy w mieście Amiens. Są zdania, że takie zamieszki będą się powtarzać także w innych miastach.

18 sierpnia

„Le Figaro” w dużym pierwszoplanowym tytule dowodzi: „Izrael przygotowuje się do wojny z Iranem”. Podtytuł precyzuje, iż państwo hebrajskie bierze pod uwagę możliwość konfliktu militar-

nego trwającego 30 dni „równocześnie na kilku frontach”. Pismo jest zdania, że o dużym rozmiarze niepokoju społeczeństwa świadczy fakt, że Izraelczycy dosłownie oblegają centra dystrybucji masek przeciwgazowych. W tymże „Le Figaro” w artykule wstępnym zatytułowanym: „Niebezpieczeństwo, które należy brać na serio”, Pierre Rousselin, wicedyrektor owego dziennika, i zawsze świetnie poinformowany spec w dziedzinie polityki międzynarodowej - podkreśla, iż nie od dziś rządzący Izraelem grożą atakiem na irańskie instalacje nuklearne. Ale od dni kilku przecieki (dotyczące możliwości takiego ataku) stają się bardziej precyzyjne i (co w mym pojęciu wielce symptomatyczne!) przyspieszono przygotowania mające zapewnić ochronę ludności Izraela przed ewentualnymi akcjami odwetowymi. Jedno też trzeba brać pod uwagę. Za jakiś czas irańskie instalacje nuklearne - stale „umacniane” - będą niemożliwe do zniszczenia przez atak lotnictwa izraelskiego. Istotne także, że obecni władcy Iranu nadal z uporem powtarzają, że życzą sobie „zniknięcia” Izraela.

Jednym słowem „na horyzoncie gromadzą się chmury”. Na Bliskim Wschodzie może rozpętać się burza, czy mogą rozpętać się burze (jak wiadomo, sytuacja jest tam niesamowicie skomplikowana i coraz to bardziej „z wielu stron wybuchowa”). Dodam, iż w mym odczuciu kierownictwo polskiej nawy państwowej, np. prezydent Komorowski, człowiek o jasnym spojrzeniu na świat (ceniony np. przez Prezydenta Hollande'a) oraz świetny znawca - także problematyki Bliskiego Wschodu - minister Sikorski - na pewno dobrze orientują się w tym niebezpiecznym a skomplikowanym sta-

nie rzeczy. Ponoć gorzej z naszą prasą i opinią publiczną, które nie dostrzegają(?), w jakim stopniu wszystko to może zaciążyć na losach całej Europy, w tym Polski...

22 sierpnia

Godna uwagi rozmowa z przebywającym w Paryżu na wakacjach polskim studentem - katolikiem. Jest zdania, że młodych Polaków „irytują pyskowi i rozróby - nagminna w telewizji, brutalna, chamska tonacja sporów, rzucający się w oczy brak wyrozumiałości i poszanowania poglądów bliźniego”. Podkreśla on, że niestety rodacy starszego pokolenia i różnych orientacji, nieraz lekkomyślnie szafują - gdy idzie o ich przeciwników politycznych - tezą, iż ten czy ów nie jest prawdziwym katolikiem; nie wahają się czasem ubliżać kapłanom i nawet biskupom... Wszystko stoi w jaskrawej sprzeczności z nauką Ewangelii. Niektórzy Polacy „głośno podający się za katolików” zdają się nie wiedzieć, iż nasza wiara opiera się na miłości bliźniego, iż „należy spotykać Chrystusa w pracy, w życiu codziennym i społecznym, że wszyscy winni stale się doskonalić, iż powołanie do świętości winno być powszechne”. Rozmówca zaznaczył również, że zbyt wielu rodaków zapomina nauki Jana Pawła II, jego wezwania do wcielania w życie postaw miłosierdzia i rzeczywistego poszanowania społecznego nauczania Kościoła.

Rozmówca następnie podkreślił, iż chce uszanować każdego. Potępia zjawisko kłótności, a nie rozrabiaczy. Dodał, iż jego przyjaciele (i on) z ufnością patrzą w przyszłość, umacnia ich wiara: wszak święty Mateusz - apostoł w swej Ewangelii napisał: „jeśli będziecie mieć wiarę - jak ziarno gorczycy, nie niemożliwego dla was nie będzie”.

23 sierpnia

W końcu lat pięćdziesiątych przekazywałem Zygmuntowi Michałowskiemu - ówczesnemu świetnemu korespondentowi informacyjnemu Roz-

głośni Polskiej RWE w Paryżu pogłoski, iż Chruszczow ponoć miał zaproponować Gomulce ujawnienie, że mord katyński, to dzieło Stalina i Berii. Gomulka miał odmówić, bojąc się reakcji polskiego społeczeństwa na takie przyznanie się. Ta pogłoska dotarła do mnie via posłowie koła ZNAK, w pierwszym chyba rządzie przez Jerzego Zawieyskiego. Pamiętam dokładnie moją własną reakcję. Otóż z miejsca odniosłem wrażenie, że takie ujawnienie prawdy jest mało prawdopodobne, bo narobiło by wiele kłopotów zachodnim komunistom (także francuskim) i różnym „towarzyszom drogi” komunizmu. Wszak owi „czciciele ZSRR” niesłychanie mocno zaangażowali się w niekiedy wręcz histeryczne głoszenie, że Katyń to zbrodnia Hitlera, że oskarżenia pod adresem Związku Radzieckiego, „tego kraju proletariackiego humanizmu” - są dziełem „polskich zdrajców i bandytów spod znaku Andersa”, „bandy eks-obszarników i reakcjonistów”, „przedwojennych dygnitarzy faszystowskiej Polski, „zdegenerowanych awanturników na służbie światowej reakcji”, „agentów imperialistycznych wywiadów”, „mętnych, niemoralnych typów”, itd., itd.

Ostatnia sprawa: przed laty mówiło się tu, że „sowieciarze” w zakłamywanie Katynia angażują ogromne środki w dewizach.

27 sierpnia

Prasa donosi, iż Kanclerz Angela Merkel mocno wypowiedziała się za wzmocnieniem politycznej i gospodarczej współpracy w ramach UE. Ta wiadomość ucieszyła mnie! Wszak jasne, że z obliczu już długotrwałego kryzysu i biorąc pod uwagę zagrożenia związane np. wybuchową sytuacją na Bliskim Wschodzie Unia musi stać się bardziej prężną i zwartą. Rzecz w tym, by z jednej strony móc nakręcić europejską koniunkturę, a z drugiej - wyposażyć Unię w cieszącą się autorytetem politykę zagraniczną, w możliwość m.in. rozsądnego rozładowywania np. bliskowschodnich napięć...

Przed laty zasiadając przy boku Stanisława Gebhardta - czołowego działacza (a od roku 1962 sekretarza generalnego) w radzie Międzynarodówki Młodych Chrześcijańskich Demokratów - w pełni popierałem politykę Roberta Schumana. Już o wiele wcześniej

mój ojciec „ambasador wolnej Polski” w Paryżu utrzymywał bliski kontakt z otoczeniem tego wielkiego Europejczyka. Do ojca i Józia Czapskiego najbliższych przyjaciół zaliczał się Robert Rochefort - szef gabinetu Schumana, gdy ten był premierem (przełom lat 1947-48) a następnie ministrem spraw zagranicznych (1948-53). Rochefort dokonał wiele dla polskich emigrantów politycznych, np. walnie się przyczynił - będąc w połowie lat pięćdziesiątych w Genewie doradcą dyplomatycznym jednej z instytucji bliskich ONZ-towi - do uzyskania przez mego ojca od wysokiego komisarza ONZ dla spraw uchodźców - subwencji na zakup naszego Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val. Sporo też dla nas zrobił inny z przyjaciół Schumana, Ojciec Charles Huvenne SJ. Robert Schuman, będąc francuskim ministrem spraw zagranicznych, 4 kwietnia 1952 r. przyjął mego ojca. Jak pisze profesor Krzysztof Tarka w swej świetnej książce pt.: „Emigracyjna Dyplomacja”, wtedy to, po raz pierwszy od siedmiu lat ambasador K.M. był przyjęty przez szefa francuskiej dyplomacji. Prof. Tarka stwierdza: „Spotkanie wyznaczono na nieco „konspiracyjną” porę, o siódmej wieczorem, by Morawski na ministerialnych kojarzeniach nie spotkał przypadkiem któregośkolwiek z zagranicznych dyplomatów”. Jedno pewne. Robert Schuman w pełni rozumiał postawę Wolnych Polaków, starał się im pomagać, wierzył, że Polska prędzej czy później będzie mogła „doszłusować” do zjednoczonej Europy.

Ostatnia sprawa. Jak się dowiaduję, Rada jakże mi drogiego Kościana podjęła uchwałę o nadaniu mi godności obywatela honorowego tego miasta. Z miejsca stwierdzam, że taka decyzja nakłada na mnie obowiązek aktywnego służenia Kościanowi i jego mieszkańcom, reklamowania w miarę mych możliwości tego grodu oraz jego zalet, we Francji i w innych krajach Unii. Żywo interesują mnie: Klub Europejski oraz Klub Kultury Francuskiej przy liceum im. Oskara Kolberga.

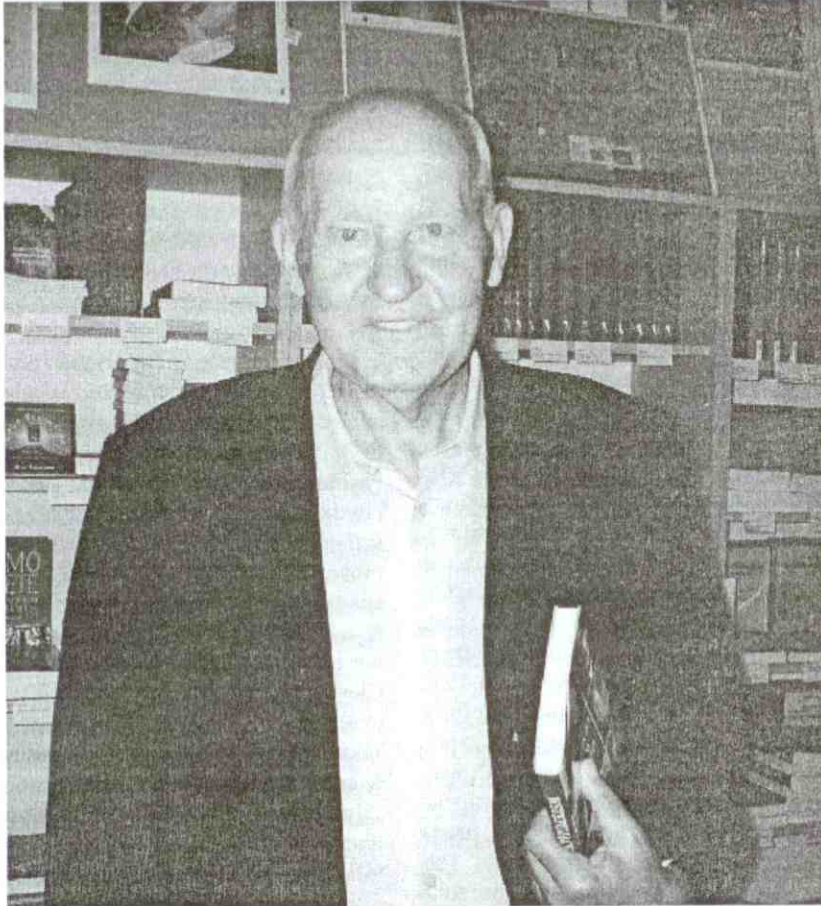
I jeszcze jedno słowo. Korzystam z okazji by niezwykle serdecznie pozdrowić Jana Pawłaka z Kościana i całą jego rodzinę! Pan Pawlak to zasłużony ogólnopolski działacz naszego rzemiosła! To bardzo szlachetny człowiek! A o ile się nie mylę, jego

wnuk zamieszczał niegdyś ciekawe artykuły w biuletynie klubu europejskiego przy Liceum im. Kolberga. Gdy mowa o tym liceum, to pozdrawiam również p. Wojciecha Morawskiego (o ile się nie mylę, wnuka p. Franciszka Prędkiego), który naucza w tymże liceum...

28 sierpnia

Dowiaduję się od Marcina Libickiego, że jego syn (od siebie dodam - cieszący się wielkim prestiżem, ofiarny i odważny), senator Jan Filip Libicki - jest przewodniczącym Parlamentarnego Zespołu ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji Chrześcijan na Świecie. To dobra wiadomość. Otwiera Polsce możliwość spełnienia swej katolickiej powinności i odegrania wielce pozytywnej roli w walce o los wyznawców Chrystusa, od czasów Apostołów, obecnych na Bliskim Wschodzie! Jak już w tym dzienniku pisałem, wierzę, iż w oparciu o polski - jakże szlachetny Episkopat, rozwinie się wychodząca z Polski, wspólna katolicko-prawosławna akcja międzynarodowa pod znakiem troski o wiernych (i o ich świątynie) z Syrii, Cypru, Egiptu itd. Stawiam tu na Jana Filipa Libickiego, na prawosławnego posła Eygenusza Czykwina, na ks. profesora Marka Starowieyskiego, słynnego patrolologa i znawcę chrześcijaństwa antycznego. Liczę też na zawsze dynamiczny UKSW. Teraz na kilkanaście dni przed jakże potrzebną, lecz ryzykowną (niewielkie, lecz ruchliwe grupy Islamskich fanatyków i terrorystów mogą stanowić zagrożenie) podróżą Ojca Świętego do Libanu (14-16 września br.) sprawa jest szczególnie aktualna. Wszak Polacy nie od dziś zawsze wiernie stoją przy Papieżu. Ta papieska wizyta, która przebiegnie także w atmosferze dialogu międzyreligijnego, winna zaowocować wiedzioną przez polskich katolików w porozumieniu z Patriarchą Cyrylem, akcją wzmoczonego i czynnego zainteresowania się losem chrześcijan Bliskiego Wschodu. Dorzucę tu, iż ci chrześcijanie to na ogół ludzie wysoce uzdolnieni i bardzo sprawni.

Wybr. i oprac.
TERESA MASŁOWSKA



Ks. red. Florian Kniotek (* 1935 Kroczywo Male † 2012 Poznań).

Fot. Teresa Masłowska

Los samotnika

Z Czesławem Miłoszem rozmawia ks. Florian Kniotek

„W centrum Paryża, niedaleko Pałacu Inwalidów mają swoją siedzibę polscy pallotyni. Przy ulicy Surcouf jest dom zakonny z kaplicą, pełniącą funkcję sali odczytowej. Znają ją wszyscy zainteresowani kulturą Polacy przebywający w stolicy Francji, a także wielu twórców kultury z Polski” – pisał przed laty jeden z polskich krytyków literackich. W paryskim domu odbywały się jednak nie tylko „dialogowe” debaty i spotkania. Przez 40 lat działało wydawnictwo, 55 lat istniało pismo „Nasza Ro-

dzina”, na której łamach wypowiadali się również pisarze i poeci. W roku 1979 z czytelnikami pallotyńskiego miesięcznika swoimi refleksjami podzielił się autor „Doliny Issy” i nowych bliźnich przekładów.

– Zetknąłem się z twórczością Pana przeszło 15 lat temu. Byłem wówczas kapelanem szpitala w Poznaniu. Na oddziale dermatologicznym wyrywano sobie z rąk mocno zużyty egzemplarz „Doliny Issy”, przepisany przez kogoś na maszynie. Czytelników szpitalnych urzekła Pana osobliwa znajo-

mość roślin, drzew, zwierząt i ptaków leśnych. Zachwycono się barwnymi opisami przyrody tamtych stron. Mnie osobiście zachwyciły w tych krótkich rozdziałach, gdzie ciągle zmienia się tło i nastrój, archaiczne formy religijności obrządku rzymskokatolickiego. Odbieram tę powieść jako poniekąd autobiograficzną. Mam wrażenie, iż tamte strony i tamte lata wywarły swój wpływ na Pana życie i twórczość.

– Wielu czytelników uważa „Dolinę Issy” za wspomnienia z dzieciństwa ubrane w formę powieści. Może tak jest dobrze, bo więcej wtedy „wierzą” w autentyczność osób i zdarzeń. Ostatecznie czytelnik zawsze chce wierzyć, że „tak było naprawdę”. Ale „Dolina Issy” częściowo jest tylko autobiograficzna. Jeżeli wziąłem modele z życia, to jednak zostały one poddane dużej przeróbce. Nie jest też pewne, że Tomasz, ten mały chłopiec, to ja sam, bo autor bywa wszystkimi postaciami równocześnie. Jest w tej powieści silny symbolizm, on chyba jest najważniejszy, choć ukryty. Mnie samego ta książka dziwi, odnajduję w niej przeżycia niespodziewane, nie rozumiem jak ją napisałem, jakby pod czyjeś dyktando. Opisy przyrody są wierne. Polowania, obyczaje — to jest rzeczywistość strona autentyczna. Tak samo jak cała historia Magdaleny, która otruła się z miłości do proboszcza, i wszystkich brewerii, jakie wyprawiała po śmierci. To zdarzyło się w 1922 czy 1923 roku.

– W „Ziemi Ulro” rozprawia się Pan z różnymi ideologiami, z „różnymi izmami, które występują jako okrutni nowi bogowie”. Wierzy Pan — za wielkimi myślicielami — w „cywilizację odnowioną” na bazie religii. I dalej — mimo że Pan nie „uginą kolan przed boginią, której na imię polskość” — stwierdza Pan: „Myślę, że katolicyzm, nawet przy znacznie zmniejszonej liczbie wiernych będzie w Polsce gruntem albo przynajmniej tłem wszelkich umysłowych przedsięwzięć i że w nim zawiera się obietnica polskiej kulturalnej oryginalności”. Zostało to napisane prawie 10 lat temu, kiedy jeszcze w świecie nie przewidywano, iż na Stolicy Piotrowej zasiądzie Polak. Czy nie sądzi Pan, że wpływ kulturowy polskiego katolicyzmu będzie obecnie silniejszy nie

tylko w Kraju, ale w całym dzisiejszym świecie?

– Katolicyzm polski był dotychczas mało uniwersalny, to znaczy oddziaływał na kulturę polską, ale nie wydał dzieł ani ruchów, które by zaważyły na dziejach cywilizacji zachodniej. Ani ludzi, by zaważyli. Myśl katolicka była do Polski importowana. Jest paradoksem, że nie katolicy ale protestanci byli z Polski importowani do Europy zachodniej. Myślę o Arianach. Ich dzieła, drukowane po łacinie w ich drukarni rakowskiej w początku XVII wieku były bardzo czytane na Zachodzie i należą do dzieł zachodniego deizmu czy wręcz ateizmu, na co wywarły niemały wpływ. Osobiście nie sądzę, żeby Polak mógł zostać wybrany papieżem, gdyby katolicyzm polski nie uległ w ostatnich kilku dekadach głębokim przemianom. Co z tego wyniknie w samej Polsce, nie wiem, „Obietnica polskiej kulturalnej oryginalności” łączy się według mnie z możliwością przemyślenia tych problemów dwudziestego wieku, o których Zachodnia Europa wie tylko z drugiej ręki. Te problemy są znane Janowi Pawłowi II, ale nie trzeba nim się zasłaniać, tutaj jest miejsce na wiele indywidualnych wysiłków. Tradycyjny, sarmacki katolicyzm miał cechę może miłą i rozrzucającą: jakąś dziecięcą ufność do świata – jednak ta cecha nie dostarcza obrony w kraju tak tragicznym jak Polska. I wydaje mi się, że powołaniem myśli polskiej będzie przejście od tego wielowiekowego dziecięctwa do dojrzałości. A to oznacza ciągłą refleksję nad wszystkim co się stało w ciągu ostatnich dziesięcioleci na ziemiach polskich, taką refleksję, która nie będzie niczego ukrywać ani łagodzić. „Bogini, której na imię polskość” jest moim zdaniem bóstwem pogańskim. W obecnych warunkach kult tej bogini jest największą pokusą i niebezpieczeństwem. Niewątpliwie religia nie istnieje w oderwaniu od ludzkiej społeczności, wyznaje ją nie jakiś abstrakcyjny człowiek, ale zawsze człowiek należący do danego miejsca i czasu, danego języka i obyczaju. Tym niemniej nacjonalizm może wynaturzać te oczywiste związki i wtedy religia spełnia funkcję służebną, choć trudno nieraz rozróżnić gdzie zaczyna się i gdzie kończy się takie plemienne przywiązanie uznane za wartość najwyższą.

– Znalazł Pan uznanie wśród obcych przede wszystkim ze względu na własną twórczość, ale i przez popularyzację polskiej poezji w strefie języka angielskiego. Książki Pana są czytane nie tylko przez czytelnika polskiego na obczyźnie, lecz i gorliwie poszukiwane przez młodzież krajową. W związku z tym przychodzą na myśl Pana wypowiedzi sprzed 25 laty. Między innymi swoje przejście na status emigranta określił Pan jako „Skazanie się na jałowość i pustkę, które są cechą każdego wygnania”. Czy obecnie podtrzymuje Pan ten osąd?

– Moje wypowiedzi, żeby być ścisłym, pochodzą z 1951 roku [...]. Tak wydawało mi się wtedy: że „skazuję się na jałowość i pustkę”. Patrząc wstecz, na pracowite życie, muszę przyznać, że się myliłem. Gdyby jednak nie ten skok w pustkę, to przyjęcie losu samotnika, bez nadziei, że znajdę odbiorców, niczego bym pewnie nie dokonał. Przez wiele lat pracowałem na przepaści. Były okresy, kiedy chciałem do siebie pisać listy, żeby coś przynajmniej było w skrzynce pocztowej. Sukcesy moich książek tłumaczonych na obce języki nie bardzo mnie pocieszały. A jako poeta piszący po polsku nie znajdowałem na emigracji zrozumienia. Tak, że myliłem się tylko częściowo, nie umiając przewidzieć, że dorosną w Polsce nowi moi czytelnicy, dla których przestanę być autorem niezrozumiałym.

– Ostatnio ubogacił nas Pan przekładem Księgi Psalmów. Urzeka nas niezwykle, a szczęśliwe spotkanie nowoczesnego języka polskiego z wielką wrażliwością na dostojność tekstu biblijnego. Czy zostaniemy obdarzeni dalszymi przekładami Ksiąg Biblijnych?

– Z greckiego przetłumaczyłem Ewangelię według Marka i Księgę Mądrości (której oryginał został napisany po grecku, nie po hebrajsku). Ale teraz mam zamiar przetłumaczyć z hebrajskiego Księgę Hioba.

*) Ks. Florian Kniołek był w latach 1977 – 1983 redaktorem pallotyńskiego pisma „Nasza Rodzina” w Paryżu. Żegnamy Go przedrukiem wywiadu, jaki przeprowadził z Czesławem Miłoszem („NR” 10 /421/ 1979, s. 21-23). Ksiądz redaktor – nasz wierny przyjaciel – zmarł 26 października 2012 roku w Poznaniu i spoczął w kwaterze palotyńskiej na Cmentarzu Junikowo. Jest nam Ciebie brak. Wieczny odpoczynek racz Ci dać Panie.

Zew jednej krwi (2)

Książki Adama Tomaszewskiego są dla mnie czymś więcej aniżeli tylko „literaturą”. Są czymś osobistym, niepowtarzalnym i niezastąpionym. Choćby „Młodość została nad Obrą”. Jakby to ująć. Zaraz, zaraz... kiedy to było? Nie ostatnio, nie w 95, już wiem, tak to było w roku 1992. Siedziałem gdzieś w trzecim rzędzie. Było już po oficjalnej części wręczenia corocznych nagród „WK”.

Od razu, z pierwszym zdaniem pojawiło się wzruszenie. Szło gdzieś z mojej głębi, dusiło za gardło. „Może schodzą się tam na konferencję radzić nad dobrem młodzieży, rozstrzelany na rynku Kościana...” W kątku mego oka zatrzymała się łza. Za wszelką cenę chciałem ją powstrzymać. Powtarzam sobie. Przestań słuchać, zwróć uwagę na jakiś szczegół – nie możesz publicznie beczeć. Gole ramiona pianistki, nerwowym gestem poprawiającej bez przerwy suknię. Silny, aktorski głos Janusza Dodota rozsadza salę. Nie pozwala uciec myślom... „Walą gromadą poległ na polach września...” Nie daję rady. Łza wolno spływa mi po policzku... „I młodsze roczniki... i dziewczęta... Pochylone plecy...” I nazwiska, nazwiska... Nie znałem, bo znać nie mogłem nikogo z nich. A mimo to byli mi najbliżsi, swoi, krew z krwi, moi.

Pojawia się druga łza. Wydaje mi się, że wszyscy patrzą na mnie, że wszyscy widzą, jak stary, gruby dziad się maże... Kątem oka, spoziaram na siedzącego obok Antosia Kaźmierczaka. Jego siwe wąsy mokre są od łez. Śmieiej już rozglądam się po sali. Chyba wszystkim dziwnie błyszczały oczy. A niektórzy, no na przykład naczelny „WK”, potężne chłopisko uosobienie racjonalizmu i twardości cha-



Z cyklu: *Fascynacja dawnym Kościanem. Wiatrak w Kielczewie.*

Ze zbiorów Z. Wojtczaka

► rakteru, jak czasem o nim żartobliwie mówię – wydawca z duszą bezwzględniego lichwiarza, wcielenie mocnego faceta, a beczał jak dziecko.

I nic dziwnego w tym, bo to książka o nas, o naszym życiu i o naszym świecie. A to zawsze wzrusza. Wielkość tej książki dla kościaniaka, takiego jak ja, z dziada pradziada, polega jeszcze na czymś innym. Ta książka, podobnie zresztą jak „Gorzko pachną pioluny” i „Gdzie jesteś Itako?” to nie tylko wspomnienia i wzruszenia. To coś jeszcze znacznie większego.

Jakby to ująć? Może tak. Jeżeli przystanąć, gdzieś pod naszym mia-

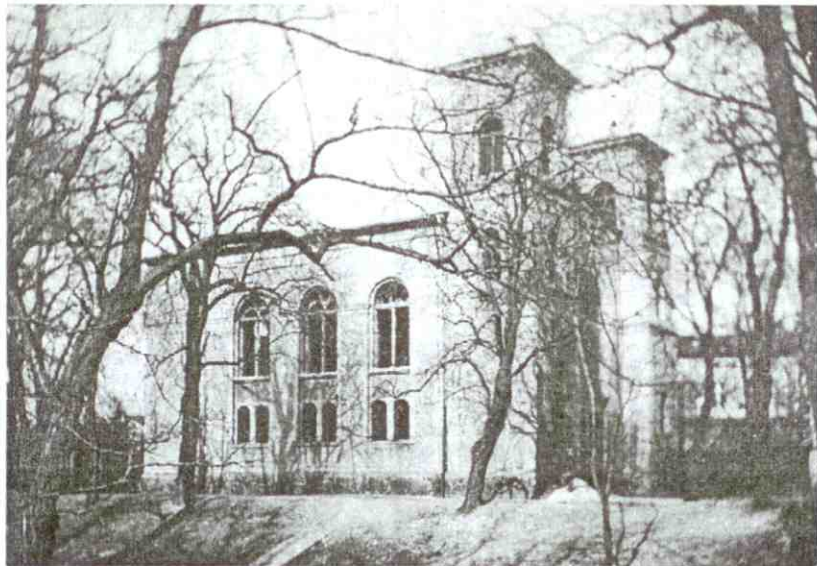
stem i rozejrzeć się wokół to coś zrazu, na pierwszy rzut oka widzimy? Płaska, niezbyt ładna kraina. Tam jakieś drzewo, gdzieś indziej krzewy. Pola, łąki, jakieś rowy. Nic urokliwego. Pisarz patrząc na to samo powiada: „Szafirem, szmaragdem, złotem mienią się nadbrzańskie okolice. Prześwietlone słońcem...” On patrzy inaczej. I nas uczy patrzeć inaczej. On w swoich książkach, na każdej ich stronie, dostrzega piękno tej Ziemi. I my Jego oczyma to piękno dostrzegamy, widzimy jak na dłoni.

Czasem, gdy zasiadam samotnie na myśliwskiej ambonie w okolicach tzw. przepompowni, pomiędzy kościański-

mi kanałami, daleko za Szczodrowem i Kokorzynem to Jego oczyma patrzę na bezmiar łąk, z żurawiami, z nieodległą linią lasu, z zawieszonym pod niebem mysołowem. I jestem zauroczony pięknem tej Ziemi, mojej Ziemi. Przed zmierzchem z traw podnoszą się sarny; czasem „szczeknie” spłoszony czymś rogacz. Zdarza się, że z zarośli wylania się chmara łań. Zwolna żdźbła traw zaczynają rzucać cień, a potem mrok idzie od ziemi ku górze. Wysoko, bezszelestnie sunie, jakby srebrny, cały lśniący w ostatnich promieniach słońca samolot ciągnie za sobą białą linię. Podziwiam go przez lunetkę. To jakiś pasażerski odrzutowiec. Często tu przelatuje. Później cisza pierwszych chwil nocy. Daleko za kanałem zapalają się światła wsi. To Łęki Wielkie. Wyobrażam sobie znajdujące się tuż obok niej pradawne kurhany. Ciemność, nic już nie widać, a mimo to siedzę dalej, oddycham, oddycham zapachem tej Ziemi.

Jak to ująć? Może tak. Kościan – dwudziestopięciotysięczne, zapyziałe, wielkopolskie miasteczko, jak dziesiątki innych małych miasteczek, zwyczajne, niczym nie wyróżniające się. A przecież On – Syn i Piewca tej Ziemi dostrzegł jej historyczną wielkość. Czy można piękniej, aniżeli On opowiedzieć o Basi z naszego hymnu, stąd się przecież wywodzącej. Czy można piękniej, barwniej, ładniej, śliczniej aniżeli On rzucić na kartkę drukarskie znaki i stworzyć obrazek, szkic, miniaturę noszącą tytuł – książę Pepi w racockim pałacu. Posłuchajmy raz jeszcze: „Któryś z pokojów od frontu. Głęboka noc. Czasem wsunie się milczący kamerdyner i obetnie szczypcami kopące światło. Rozjaśni się na chwilę komnata... Nerwowo obraca w zębach dawno wygasłą lulkę. I skrzypi gęsie pióro...”. Prawda, że wystarczy przymknąć oczy i od razu usłyszymy delikatny szelest pióra sunącego po papierze...

Jako kilkuletni chłopak jeździłem do mego kuzyna, do Racotu, na wakacje. Wujostwo zamieszkiwali w oficynie, tuż obok pałacu. Wuj, Wład, jak mówiła Ciocia, dawny kamerdyner hrabiego Żółtowskiego z Jarogniewic pracował już wtedy w Stadninie. Czasem dawał nam, to jest memu kuzynowi Stefusowi i mi, klucz od pałacowych komnat. Intrygował nas naturalnej wielkości kościec konia, intrygowały też dziesiąt-



Z cyklu: *Fascynacja dawnym Kościanem. Kościół ewangelicki, obecnie Miejska Biblioteka Publiczna im. Adama Tomaszewskiego.* Ze zbiorów Z. Wojtczaka

ki innych zabytkowych przedmiotów ale niezmiennie najpierw pędziliśmy do wiszącej na ścianie szabli. Opowiadało, że kiedyś należała do księcia Józefa Poniatowskiego. Nie wiem czy miało to coś wspólnego z prawdą, tak jednak mówiono. Niestety szabla była tylko jedna. Nasz pojedynek ze Stefusiem wyglądał więc w ten sposób, że jeden z nas musiał mieć, cóż z tego, że bogato inkrustowaną, ale tylko pochwę. Myślę, że widząc nasze podrygiwania i podskakiwania książkę Pepi, gdzieś tam z zaświatów uśmiechał się z pobłażaniem. Ciotka i Wuj, Maria i Władysław Krauzowie, wspaniali ludzie, jakże mi życzliwi, niestety, nie żyją. Opowieść o nich to całkiem jednak inna historia.

Wracając zaś do głównego wątku tego eseju. Czy można piękniej i ładniej aniżeli On przypomnieć, że spór o Sokoła i Kusego to też z tej Ziemi, a

najcudowniejszy sznur koralu. On to zrobił, On powiedział poprzez swoje książki – Spójrzcie gdzie żyjecie, popatrzcie skąd idziecie...

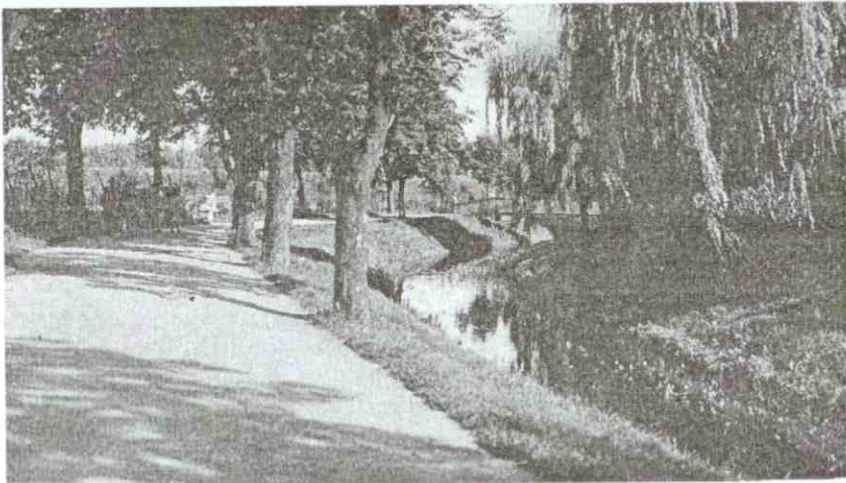
Jak to ująć? Może tak. Maciej Morawski. Korespondent i dziennikarz „Wolnej Europy”, człowiek o najlepszych parantelach, światowiec w całym tego słowa znaczeniu, Europejczyk o znakomitych koneksjach, wywodzący się z podkościańskiego Jurkowa, zresztą absolwent naszej Szkoły, publicznie mówi – „Jestem dumny z Kościana”. To zderzenie „wielkiego świata” i „dumy Kościana” zdawało mi się czymś nieprawdopodobnym. Jakiegoś tam razu, siedząc z Zielonym w „Piekielku”, u państwa Nowaków, na styku Wodnej i Garbarskiej, w samym centrum „starego Kościana” opowiedziałem mu o tych swoich wrażeniach. A wtedy Jurek spojrzał na mnie i wyraził się jakoś tak: – Rozma-

dzie i plindze, szneki z glancem i ślepe ryby, funty i glapy. A tych co próbowali rozmawiać inaczej, bo przecież tacy byli, z pańska, jak powiadaliśmy przedrzeźniało się. – Wiysz, jak powiadał – glapa siedzi na płacie i dziabie lańt... Przecież jednak, gdzieś tam nurtowała mnie czasem myśl, że mówię „płatową”, że jestem czymś gorszym od jakiegoś typu z Kongresówki, czy Galicji. A tu Pisarz wali wprost: „Mowo szorstka z grubsza ciosana, daleka od poezji, romantyki, sentymentalizmu... nieoszlifowany dotąd na literackim warsztacie klejnot gwar...”

Czytałem te słowa Pisarza po wielokroć. Po wielokroć kartkowałem stronice Jego książek szukając „kościąnszczyzny”. A odnaleźć ją tam nietrudno. Obecna jest, jak powiada Sterna-Wachowiak i w nazwach, i w zwrotach, i w dialogach... lotają bociony, bymbny, som nicpote, świgają pieniundzmi itd. itd. Powoli, z wolna docierało do mnie, że język mego dzieciństwa, to żadna płatowa, a posługiwanie się nim, to nie ujma, bo ten język to „Pomost łączący łańcuchy pokoleń. Przymierze mówiące żywym o czynach ojców i dziadów...” I wstydzilem się tamtych, sprzed lat, moich myśli, moich prób zaparcia się i oderwania od języka moich przodków. Uczy nas Pisarz dumny. Nie na tym jednak koniec. Przecież i my jesteśmy dumni. Z Pisarza. Z tego, że w tym prowincjonalnym, zapyziałym, ale przecież naszym, miasteczku, stawał pierwsze kroki, że tu chodził do szkół, że tu pozostawił młodość, i że do tej młodości, do tego miasta i do tej Ziemi powrócił w swych książkach.

Jak to ująć? Może tak. Do redakcji „Wiadomości Kościąńskich” już sporo lat temu nadszedł list z Chicago, od pana Stefana Marcinkowskiego. A w nim m.in. takie słowa: „W Kanadzie, w Toronto żyje pisarz, kościąniak – Adam Tomaszewski. Mam bodaj wszystkie jego książki, jedna przepiękna...”. Z tego listu promienieje duma, bije wręcz jakiś ton triumfu. A padające w nim nazwisko Pisarza brzmi jak zawołanie dawnych rycerzy, zawołanie skupiające wszystkich z rodu, wszystkich tej samej krwi...(Koniec)

ZDZISŁAW WOJTCZAK

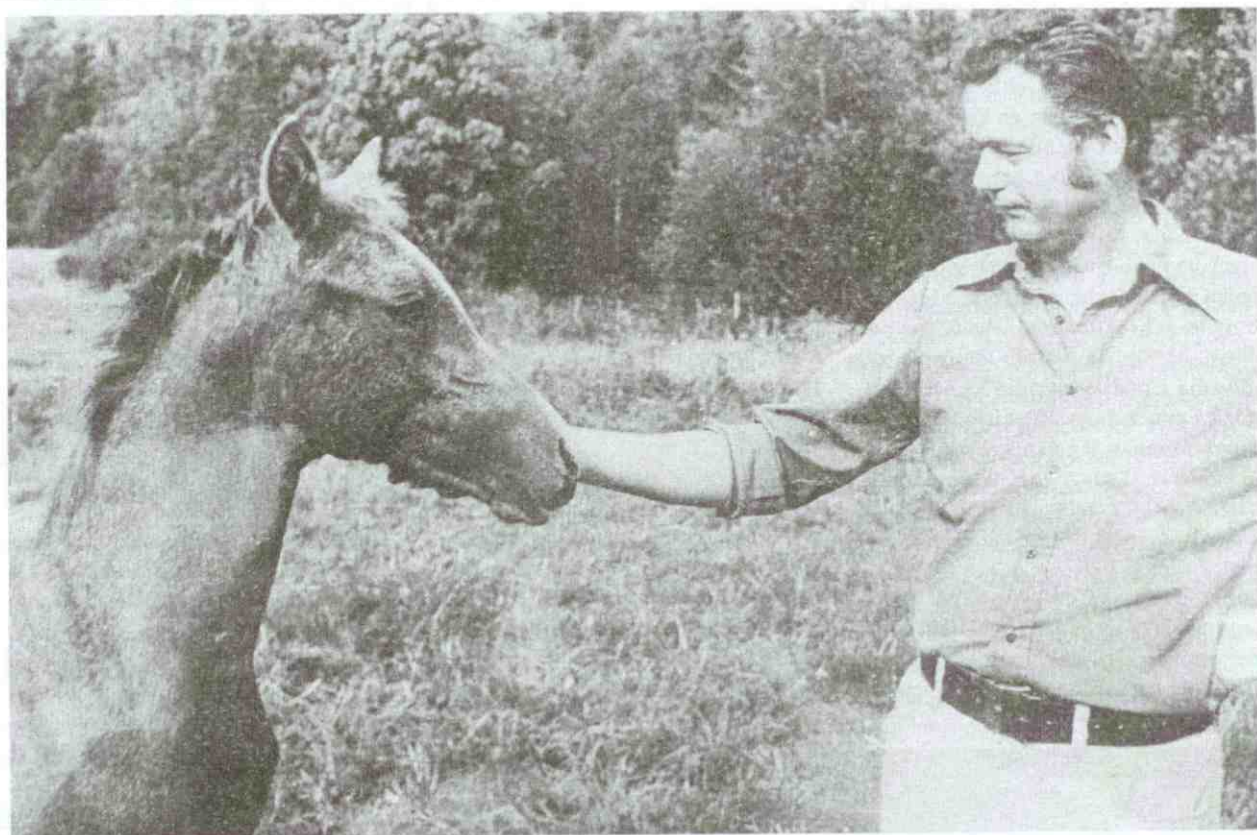


Z cyklu: *Fascynacja dawnym Kościanem. Nad Obrą. Ze zbiorów Z. Wojtczaka*

przeniesiony przez Wieszcza w nadniemeńskie realia. Wczytajmy się, wsłuchajmy się w słowa Pisarza, a wtedy patrząc na jakże codzienną podkościańską rzecz, zwykle pokraczne wierzby na miedzy, pomyślimy o nich słowami z Inwokacji „Pana Tadeusza”. Czy można piękniej i ładniej aniżeli Tomaszewski pokazać dziesiątki zdarzeń z historii tego miasta i tej Ziemi. Od czasów, gdy chodzili tutaj rycerze Bolesławowych druzyn, aż po lata okupacji. I co więcej o nich mówić najpiękniejszymi i najczulszymi słowami. Nizać te zdarzenia i fakty, jedno po drugich, ażeby w końcu pokazać je mieszkańcom tej Ziemi, jak

wiałem o tym z Morawskim, i wiesz co mi powiedział, że swój powrót do „Małej Ojczyzny”, do kościąnskości, zawdzięcza m.in. książkom Tomaszewskiego. No właśnie, to przecież oczywiście. Pisarz nie tylko pokazuje nam piękno i wielkość tej Ziemi. On jest po prostu i zwyczajnie dumny, że wywodzi się stąd, z tego prowincjonalnego miasteczka, że tu chodził do szkoły i kończył gimnazjum. Manifestuje to na każdym kroku. I ta jego duma, udziela się i nam.

Jak to ująć? Chyba tak. Na moim podwórku, na końcu Poznańskiej mówiło się zwyczajnie, po kościąnsku. Były wymborki i ryczki, sklepy i składy, mło-



Wojciech Smudziński kocha konie.

Fot. zbiory rodzinne

Z końmi za pan brat

Wojciech Smudziński znawca i miłośnik koni. Ponad dwadzieścia lat przepracował w racockiej stadninie jako hodowca. Praca z końmi pochłonęła go bez reszty. Miłość do koni narodziła się już w latach młodości. Trwa do dzisiaj. Razem z żoną mieszka tuż przy lesie, nieopodal racockiego hipodromu. Dawny ambulans, w którym znajduje się ich mieszkanie sąsiaduje z małą stajnią. Wspaniasty gawędziarz opowiada o życiowej przygodzie z końmi, doświadczeniach hodowcy i dziejach racockiej stadniny.

Urodził się 28 sierpnia w Poznaniu. Jego ojciec, Roman, był urzędnikiem gospodarczym. Zarządzał majątkami na terenie powiatu Nowy Tomyśl oraz Grodzisk Wlkp. Od 1934 r. kierował majątkiem Separowo koło Grodziska. Nadzorował pracowników. Pomagała mu żona, Teodora z domu Wohlegemut. Pochodziła z okolic Jarocina. Z zawodu nauczycielka. Ukończyła Seminarium w Poznaniu. – W czasie okupacji uczyła mnie czytać i pisać – wspomina pan Wojciech. Dzięki niej dwa pierwsze lata szkoły podstawowej ukończyłem w trybie przyspieszonym. Była ciepłą, mądrą życiową osobą. Wiele jej zawdzięczam.

Zaraz po wojnie

W Separowie, które po wojnie weszło w skład zespołu PGR Kotowo, po-

znał konie. Mieszańce, rzadko który z nich był szlachetny.

– Zachwyciłem się tymi zwierzętami. Rozpoczęły się pierwsze próby jeździeckie. Miałem dwanaście lat. Testowałem jazdę na oklep i w siodle. Próbowałem nawet zaprzęgów. Pewnej surowej, śnieżnej zimy postanowiłem zorganizować kulig. Przygotowałem cztery konie i przywiązałem je do prostych, drewnianych sanek. Do dzisiaj nie mogę wyjść z podziwu jak tego dokonałem – śmieje się pan Wojciech. To były moje pierwsze spotkania z koniem. Już wtedy wiedziałem, że nie ostatnie – dodaje.

W roku 1954 nastąpiła „czystka” w PGR-ach. Przedwojennych administratorów majątków zwolniono. Ojciec pana Wojciecha został bez pracy. Szukał jej długo. W końcu dzięki wytrwałości i sile charakteru,

udało się. Rodzina przeniósła się w okolice Pleszewa. Mieściła się tam baza bydła opasowego. Podlegała zakładom mięsnym. Filozofia działania była prosta, co w tym przypadku, nie oznacza mądra. Tuczo starsze krowy, które nie dawały już mleka. Dziś, doświadczony hodowca, nazywa pomysł całkowitym nonsensem. Zarówno ze względów ekonomicznych i hodowlanych.

Studia w Poznaniu

Z wyborem studiów nie miał problemu - Wyższa Szkoła Rolnicza w Poznaniu, kierunek zootechnika.

- Złożyłem papiery. Miałem podchodzić do egzaminu z końcem czerwca. Na studia przyjechałem 28 czerwca 1956 roku. Zabrano nas prosto z dworca i odwieziono do akademików. To był jeden z pierwszych

akademików na Dożynkowej. Nie chcieli abyśmy przyłączyli się do protestu robotników z „Cegielskiego”.

I tak egzamin wstępny zdawał dopiero 2 lipca. Rektorem WSR był wówczas prof. Kazimierz Gawęcki; grono wykładowców wyśmienite: prof. Jan Sokołowski – biolog, pasjonat, znawca ptaków; prof. Lech Działoszyński, prowadzący Katedrę Fizjologii i Hodowli Zwierząt; prof. Zbyszko Tucholka – specjalista chemii organicznej; prof. Jerzy Szuman – znawca hodowli zwierząt futerkowych; prof. Tadeusz Puchalski, statystyk, znakomity leśnik, fotografik i erudyta.

O każdym z nich pan Wojciech mógłby opowiedzieć jakąś anegdotę. Profesor Smosarski bardzo nie lubił się ze swoim asystentem – wspomina. - W trakcie wykładów nie rozmawiali ze sobą. Porozumiewali się na piśmie. Co nieraz bardzo utrudniało przeprowadzenie zajęć. Siedziałem na jednym z wykładów, a tu nagle profesor woła mnie: - Chodź i proszę przekaz te kartkę asystentowi. Biegnę do asystenta, który siedział w drugim końcu sali. Czytam: - Panie asystencie, gdzie są termometry maksymalne? Dostaje odpowiedź i pędzę z nią do profesora. Czytam: - Panie profesorze termometry maksymalne są zamknięte w szafie pancernej. Kolejna runda na drugi koniec sali. Czytam: - A gdzie są klucze do szafy pancernej? Odpowiedź na kartce: - Klucze do kasy pancernej są w prawej szufladzie. Profesor w końcu otworzył szufladę, kasy pancernej nie zdążył, bo godzina minęła i trzeba było kończyć zajęcia.

Pracę magisterską pisał pod kierunkiem ówczesnego docenta Jerzego Zwolińskiego. Temat nie mógł być inny: „Koszty wychowu konia do lat trzech na przykładzie zakładu doświadczalnego w Złotnikach”. Zakład należał do uczelni. Na ostatnim roku studenci odbywali tam praktyki. Młody zootechnik zbierał materiały i poszerzał swoją wiedzę teoretyczną. Tam ugruntował się też w przekonaniu, że to co w życiu chce robić, to pracować z końmi. W Złotnikach zetknął się z hodowlą koników polskich. To właśnie ta rasa koni jest mu szczególnie bliska. W późniejszej pracy hodowlanej stanowiła jedną z głównych gałęzi jego zainteresowań.

Do Zielonej Góry

Już jako magister inżynier rozpoczął pracę w Stacji Oceny Zwierząt w Poznaniu. Stacja podlegała pod Urząd Wojewódzki.

- Stażu nie skończyłem – opowiada pan Wojciech. - Przyszedł do mnie dobry zna-

jomy i powiedział, że jest praca w Związku, to od zaraz. Nie zastanawiałem się. Poznański Związek Hodowców Koni zajmował się końmi hodowli terenowej.

Świeżo upieczony magister przypuszczał, że nie będzie łatwo. Obszar, którym miał się zajmować obejmował stajnie na terenie jedenastu powiatów. Nie przestraszył się. Wiedział, że jest to szansa. Chciał pracować z końmi. W styczniu 1966 roku przeniósł się w Zielonogórskie. Zaproponowano mu stanowisko kierownika tamtejszego oddziału Związku. Pracował tam dwa lata.

Po powrocie do Poznania rozpoczął pracę w Zjednoczeniu Hodowli Zarodowej - Rejonowy Inspektorat Poznań. Dyrektorem był w ten czas Świdzki. Zapalony myśliwy. Tutaj spotkał Stanisława Haya, wybitnego znawcę koni i wyjątkowego człowieka. Wiele się od niego nauczył. Nie tylko zasad jak postępować z końmi ale też jak szanować i cenić ludzi:

- Spędziłem z nim dużo czasu. Zjeżdżaliśmy wiele stajni. Lubił dzielić się wiedzą. O koniach wiedział dużo. Bardzo dużo. Przy czym był skromny. Nie robił rzeczy dla własnego prestiżu. Żył tym co robi. Często wołał do mnie: - Wojtek chodź opowiedz mi o tym koniu. Czasami weryfikował moje obserwacje. Nigdy nie robił tego przy ludziach.

Pod Gryficami

Nie był wówczas sam. W Poznaniu spotkał Czesławę, wyjątkową kobietę, która rozumiała jego pasję i wspierała ją. Robi to do dzisiaj. W październiku tego roku obchodzili pięćdziesięciolecie ślubu. Zachwycili się Racotem. Miejscem, które ma w sobie wiele uroku. Mieszkają tu do dziś. Zanim tu trafili spędzili nieco czasu na Pomorzu w województwie szczecińskim.

W powiecie gryfickim, dokładnie w Karnicach, w miejsce pegeeru powstawał Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej. Szukano pracowników. Kusila perspektywa lepszych zarobków i własnego mieszkania. Dla nowożeńców była to szansa na usamodzielnienie. Młodemu inżynierowi zaproponowano stanowisko dyrektora ds. hodowli zwierzęcej. Szefem ośrodka był Stanisław Wyszomirski. Tereny licznie zamieszkiwali Ukraińcy - wysiedleńcy z Kresów Wschodnich. Działały tam dwie szkoły ukraińskie. Czas ten szczególnie ciepło wspomina pani Czesława:

- Ludzie tam byli niesamowici. Zupełnie inni niż tutaj w Wielkopolsce. Otwarci, zyczliwi, z duszą na dłoni. Trochę się oba-

wiałam tego wyjazdu. Nikogo nie znałam. Moje obawy nie sprawdziły się. Wojtek często wyjeżdżał. Zostawałam w domu sama z córką Romą. Jeszcze wówczas nie miała pojęcia o gospodarce. Całe życie mieszkała w Poznaniu. W mieście wszystko było w zasięgu ręki. Tutaj - chciała ugotować rosół musiała zabić kurę. Zawsze znalazła się pomocna dłoń. Codziennosc była ciężka, miała jednak swój urok – dodaje pani Czesława.

Były to wówczas piękne i dzikie tereny. W Rewalu stały tylko dwa nowe domy. Dookoła przepastne lasy, pełne grzybów, jagód. Żmij tyle, że na grzyby chodziliśmy w kaloszach – uśmiecha się pani Czesia. Nic więc dziwnego, że słysząc pomysł męża o powrocie do Wielkopolski stanowczo zaprotestowała. Aby ją przekonać trzeba było ściągać posiłki. Do Karnic osobiście przyjechał dyrektor Waław Wąłigóra z Poznania i ówczesny dyrektor SK Racot Romuald Wołkowiński. Zaproponowali panu Wojciechowi stanowisko Głównego Specjalisty w Stadninie Koni w Racocie. - Mnie nie musieli namawiać – mówi pan Wojciech. Powiedziałem: - Przekonajcie moją żonę. Dała się przekonać.

Racot – nasze miejsce

W roku 1974 przenieśli się do Racotu. W tutejszej Stadninie Koni pan Wojtek kontynuował dzieło po rotmistrzu Aleksandrze Chajeckim. Praca skupiała się na ulepszeniu cech konia wierzchowego i sportowego. Opiekował się końmi, prowadził dokumentację, sprawował nadzór nad hodowlą i kryciem klaczy. Nie było komputerów, badań genetycznych. Pomyłka nie wchodziła w grę. Wszystko należało zapisywać. Znał każdą klacz, wałacha, ogiera. Kiedy zaczynał pracę w Racocie było czterysta koni hodowlanych. W tym sto siedemdziesiąt matek rasy wielkopolskiej i trzydzieści koników polskich. Ta rodzima rasa koni zajęła w pracy hodowlanej młodego inżyniera bardzo ważne miejsce.

Najczęściej maści myszatej, siwe z charakterystyczną pręgą na grzbiecie i bujną grzywą. Małe, zwinne, wytrzymałe, pełne uroku stworzenia zauroczyły go. Nadawały się do prac pomocniczych i sprawdzały się jako konie rekreacyjne. Ich przyjacielskie usposobienie pozwalało wykorzystać



► wać je do rehabilitacji dzieci niepełnosprawnych. Była i ciemna strona ich charakteru:

- Koniki trafiły do Racotu jeszcze przede mną. Sprowadził je dyrektor Wołkowiński - opowiada hodowca. - Przychodzili z Jastrzębca, Popielna, Złotnik. Początkowo chowaliśmy je z końmi wielkopolskimi. Mniejsze i nie tak reprezentatywne okazały się jednak sprytniejsze. Same musiały najeść się pierwsze, później dopuszczały inne konie. Szlachetna rasa wielopolska nie miała z nimi żadnych szans. Tak więc wszystkie koniki zgrupowaliśmy w gospodarstwie Kobylniki.

Pamięć o Manitobie

W swojej pracy hodowlanej opiekował się różnymi końmi. W pamięć zapadła mu szczególnie Manitoba. Klacz rasy wielkopolskiej o kasztanowatym umaszczeniu. Była wyjątkowym, mądrym i pięknym koniem. Osiągnęła wiele wyników sportowych i hodowlanych. Przed wojną był pewien zwyczaj. Zasłużony koń pozostawał „na łaskawym chlebie” swojego pana. Taki szczęśliwy los spotkał właśnie Manitobę. Na emeryturę trafiła do stajni rodziny Bieńkowskich - dr. Jerzego Bieńkowskiego oraz córki Beaty Majchrzak. Stajni, która mieści się tuż przy domu pana Wojtka. Dziś Mani-

toby już nie ma. Wielu ludzi jednak ją pamięta. Zdobywali na niej trofea, szkolili pierwsze jeździeckie szlify. Koń profesor - uśmiecha się pan Wojciech - o jej wyjątkowości świadczy, iż wspomniana stajnia nosi jej imię.

Hodowla była podstawowym obszarem zainteresowań pana Wojtka. Na tym jednak nie poprzestał. Pasjonował go również sport jeździecki. Pracując w racockiej stadninie włączył się również w działania tutejszego klubu jeździeckiego. Wielokrotnie można było spotkać go na zawodach konnych. W 1975 r. ukończył kurs sędziowski pod kierunkiem Jana Mossakowskiego, Jana Mickunasa i Jana Nowaka. Jest sędzią klasy państwowej w trzech dyscyplinach: w Skokach przez Przeszkody, Wszechstronnym Konkursie Konia Wierzchowego i Powożeniu Zaprzęgi. W listopadzie tego roku na zjeździe PZJ odznaczony został statuetką honorową dla zasłużonego sędziego.

Z opłatkiem do stajni

Pan Wojtek pozostał w Racocie. W roku 1997 poszedł na emeryturę. Wciąż jednak interesuje się życiem stadnin. To miejsce dla niego ważne i szczególne. Racockiej hodowli poświęcił dużą część siebie. Żył i żyje tym miejscem. Tym charakterystycznym rytmem, jaki wyznacza każdy dzień w stajni. Wie to pani Czesia, żona hodowcy.

Pamięta niejedną nieprzespaną noc. Kiedy zrywał się w środku nocy i pędził do stajni. Praca z końmi wymaga dużo zaangażowania. Trzeba to robić z sercem i duszą. Starać się rozumieć zwierzę.

Konie towarzyszą mu do dziś. Gromadzi materiały o historii i dziejach tutejszej Stadniny. Przede wszystkim ciekawie opowiada o koniach i ludziach Racotu. Spotkał wiele ciekawych postaci. Przeżył pięciu prezesów i dyrektorów. Szczególnie ciepło wspomina pracowników koniuszego Gelerta, podkoniuszego Jana Piotrowskiego, Adama Czarneckiego, Jana Adamczaka.

Zbliżają się Świąta. Spędzi je w Racocie, razem z rodziną. Przy tradycyjnym wigilijnym stole. Nie zabraknie na nim karpia, barszczu, kapusty z grzybami, zupy rybnej. Do dziś wspomina smaki dzieciństwa, na przykład karpia w ciemnym piwie przygotowywanym przez ojca i ten charakterystyczny słodko - kwaśny sos. Jeden z prezentów, który szczególnie zapadł mu w pamięć - to rower wyścigowy marki Bałtyk. Tym razem jak co rok pójdzie do pobliskiej stajni, by podzielić się opłatkiem z jej mieszkańcami. Być może w tę wyjątkową noc wigilijną zwierzęta przemówią ludzkim głosem.

KATARZYNA ŻUREK



Pracownicy Stadniny Koni w Racocie. Pan Wojtek - w pierwszym rzędzie piąty od lewej. Przy nim czwarty od lewej - długoletni dyrektor stadniny śp. Romuald Ożga. Fot. zbiory rodzinne

Życie zapisane w słojach drzew

Wacław Czubernat artysta, rzeźbiarz, ceramik, malarz. Góral z Nowego Targu, który zachwyił się małym miastem w sercu Wielkopolski. Nie poznałam go osobiście. Pozostały jego dzieła - obrazy i rzeźby oraz ludzie. Ludzie, którzy mieli szczęście się z nim przyjaźnić i od niego uczyć. Prowadził życie proste ale i twórcze zarazem. Przyjmował je takim jakim jest. Nie narzekał. Miał w sobie magiczną moc przyciągania. Przy nim człowiek czuł się swobodnie. Nie wymagał wiele od innych. Nie krytykował. Nigdy nie brakowało mu szczerego uśmiechu i ciepła dla drugiego człowieka. Tacy ludzie nawet jeśli zabraknie ich wśród nas pozostawiają po sobie ślad.

W Kościanie jest szczególne miejsce, w którym duch artysty obecny jest do dzisiaj. Wiatrak Michał - galeria rzeźby, w którą tchnął życie, nie pozostaje pusta. Pracuje tu i tworzy kościański artysta Marian Maliński, uczeń Wacława Czubernata.

Góralu, czy Ci nie żal ...

Do poznania historii tego wyjątkowego człowieka natchnęli mnie znajomi. Wyjazd w Tatry miał być czymś więcej niż tylko wędrowką po górach. Szukając śladów artysty na Podhalu, udajemy się do Muzeum Tatrzańskie mieszczącego się na zakopiańskich Krupówkach. W ekspozycjach stałych na próżno szukamy dzieł naszego rzeźbiarza i pejzaży. Rozmawiamy z panią Heleną Pitoń z działu sztuki. Od niej dowiadujemy się, iż muzeum posiada w zbiorach dzieła artysty. Znajdują się one w oddziale na Kozieńcu. Są to głównie rzeźby i pejzaże autorstwa Wacława Czubernata. Wiele jego dzieł znajduje się w zbiorach Miejskiego Ośrodka Kultury oraz Muzeum Podhalańskiego w Nowym Targu. Część znajduje się również w Muzeum Regionalnym w Kościanie.

To właśnie w Nowym Targu w roku 1931 urodził się Wacław Czubernat. Tu spędził większość życia, pracował, założył rodzinę. Miał duszę i serce górala. Zainspirowany pięknem kultury podhalańskiej ukończył zakopiańską „Kenarówkę” (Liceum Sztuk Plastycznych im. Kenara). Następnie doskonalili talent w pracowni Ludwika Nitschowej i Mariana Wnuka na warszawskiej ASP. Po studiach wrócił do Nowego Targu. Niełatwo było utrzymać się ze sztuki. Imał się różnych zajęć. Pracował między innymi

jako projektant wzorów obuwia w Nowotarskich Zakładach Przemysłu Skórzanego Podhale. Za chlebem wyjechał aż za Ocean. Ameryka nie zachwyła artysty. Tęsknił do kraju. Do hał, świerkowych lasów, wędrowek po górach.

Najbardziej spełniał się tworząc, ucząc młodzież, prowadząc konsultacje dla licznych słuchaczy. Był instruktorem dzieci i młodzieży przy Młodzieżowym Kultury w Nowym Targu. W połowie lat osiemdziesiątych otworzył - wspólnie z córką Ewą, również artystką - galerię i pracownię w Nowym Targu.

Dłuto z Limanowej

Szukając śladów artysty w Kościanie pierwsze kroki kieruję do galerii Wiatrak „Michał” przy Skwerze Krimpen. Jest chłodno, wieje wiatr, a deszcz mocno zacią. Drzwi otwiera Marian Maliński, gospodarz wiatraka. Już na wejściu czuję wyjątkową atmosferę tego miejsca. Pan Marian wspina się wąskimi schodami do góry. Stare drewno przyjaźnie skrzypi pod stopami. Do góry mieści się jego pracownia rzeźbiarska. Tuż przy wejściu leży konar drzewa, który zaczyna przypominać kobiece kształty. Praca pana Mariana. Oglądam liczne dłuta, szpatułki, noże rzeźbiarskie, młotki.

- To moje ulubione - pokazuje dłuto artysty. - Kute przez kowala z Limanowej. Dostałem je od Wacka...

Wiatr dudni w szczelinach drewnianych ścian. W środku nie ma ogrzewania, to jednak ciepłe miejsce. Pijemy gorącą kawę. Pan Marian opowiada o swoim nauczycielu - wciąż czuję obecność Wacka. Duchem jest tu do dziś. To on tchnął życie w to miejsce.

Wacław Czubernat przyjechał do Kościana w roku 1980 za namową swojego

przyjaciela, krakowskiego malarza akwarelisty Wiktora Pawlikowskiego. Wabytkowym i nieco wówczas zrujnowanym wiatraku otworzyli galerię i plenerową pracownię twórczą. W latach osiemdziesiątych, właśnie tu większą część roku spędzał. Od kwietnia do listopada wiatrak tętnił życiem.

Śmigielka pana Wacka

Plenerowa galeria autorstwa Wacława Czubernata była otwarta dla każdego. W letnie dni organizował i prowadził warsztaty artystyczne dla dzieci i młodzieży. Służył wiedzą i radą dla tych, którzy chcieli tworzyć. Był jak wirus. Zarażał ludzi swoją pasją.

Miejsce, jak jego gospodarz, było wyjątkowe i miało niepowtarzalny charakter. Na zewnątrz stały sztalugi, leżała glina. Choć ceramiką zajmował się głównie na Podhalu. Tutaj inspirowało go drewno. Ustawił pniaki, na których siedząc żywo dyskutowali jego goście. Wiatrak zawsze pełny był świeżych kwiatów. Na ścianach wisiały obrazy. Każda praca miała odpowiednie miejsce. Ważne było oświetlenie. Do góry mieściła się pracownia malarska. Na półkach - różne mikstury, w wielkich puszkach pędzle różnej maści.

- W roku 1985 spędziłem w wiatraku dzień i noc. To magia Wacka nas tu wszystkich przyciągała. Interesował się wszystkim. Od gospodarstwa rolnego po przemysł. Do tego był świetnym gawędziarzem. W okresie grzybobrania chodziliśmy na grzyby, które później wspólnie przyrządzaliśmy. Smażyliśmy powidła, kisiliśmy ogórki, paliliśmy ognisko i śpiewaliśmy. Spod jego „śmigielek” wyfrunęło wielu artystów - opowiada pan Marian.



Wśród przyjaciół w Kościanie.

Fot. Bogdan Ludowicz

➤ Jednym z fanów Mistrza był rzeźbiarz Franciszek Mazur z Parzęczewa, autor kapliczki stojącej na Nowym Dębcu. W jego pracach widać wpływ i charakter Czubernata. Charakterystyczne motywy podhalańskie, ale też zainteresowanie człowiekiem, jego kondycją, nastrojami.

- Często spotykałem Franka w wiatraku. Emocjonalnie odbierali na tych samych falach. Franek miał góralski charakter i duszę – mówi dzisiejszy gospodarz galerii.

Z rad i wskazówek Czubernata korzystał również Wojciech Nawrot - artysta malarz, grafik, rysownik, ilustrator książek i twórca komiksów. Absolwent

Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. To pod jego okiem doskonalił artystyczne umiejętności.

- Pan Wacek ukształtował mnie na równi z moimi rodzicami. Miał wpływ na mój rozwój. Byłem wtedy młody smarkacz, około ośmioletni. Bywałem u niego codziennie. Od rana do nocy. W tym czasie wiatrak był dla mnie jak drugi dom. Panowała tam niesamowita atmosfera. Przebywała tam wówczas również córka pana Wacka, Ewa Czubernat. Wspólnie tworzyliśmy, rozwialiśmy, śpiewaliśmy. Byliśmy jak jedna wielka rodzina. Podczas swojej nieobecności zostawiał wiatrak pod moją pieczę. Pan Wacek był wyjątkowym człowiekiem, pogodnym, serdecznym i ciepłym.

- Wszyscy korzystaliśmy z jego pomocnej dłoni i myśli. Był jak ojciec – wspomina Mistrza Marian Maliński. Trafiłem do niego w połowie lat osiemdziesiątych. Wiedziony ciekawością. Rzeźbiłem amatorsko. Dla siebie. Z potrzeby tworzenia. Nie miałem pojęcia warsztatowego. To on mnie prowadził. Miał duży wpływ na moją twórczość. Potrafią dostrzec to ci, którzy znali kiedyś Czubernata.

Zaplakane oczy, oczy zapomniane

Cechą charakterystyczną dzieł Wacława Czubernata było nawiązywanie do kultury podhalańskiej. Wszak był absolwentem zakopiańskiej „Kenarówki”. Bliskie były mu tematy ważne w kulturze góralszczyzny. Chrystus Frasobliwy, Macierzyństwo, Pieta – to motywy jego twórczości. Wykorzystywał różne materiały: drewno, płótno, płytę z piłśni, glinę. Tu w Kościanie rzeźbił przede wszystkim „w drzewie”. Ceramiką zajmował się głównie w Nowym Targu. Był wrogiem wszelkiego typu lakierów i syntetyków. Stosował wyłącznie wosk naturalny. Potrafił zrobić barwnik z kawy czy herbaty, by nadać rzeźbie odpowiedni charakter. Był zwolennikiem prostych form. Syntetycznie i zwięźle potrafił oddać temat.

- To był mocarz. Kochał to co robił – opowiada pan Marian. - Potrafił wyczuć konar drzewa. Mówił, że wystarczy odrzucić to co niepotrzebne i już jest rzeźba. W jego pracach wszystko było umęczone, jak jego życie. Ale jednocześnie piękne.

A życie miał ciężkie. Nigdy mu się nie przelewało. Może dlatego potrafił żyć skromnie. Nie przywiązywał wagi do rzeczy materialnych.

- W owym czasie prowadziliśmy z mężem zajazd „u Dudziarza” – wspomina Barbara Aranowska. Pewnego dnia przyszedł taki pan i zapytał czy może się umyć. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że przyjechał na lato do wiatraka. Wcześniej przychodził na obiady. Nie wiedział, że zmienili się agenci Zajazdu. Mówił, że śpi w wiatraku. Kiedy przyszła jesień i zrobiło się chłodniej, zaproponowaliśmy mu z mężem, aby przychodził nocować do Zajazdu. Zaprzyjaliśmy się. Często rozmawialiśmy wieczorami o sztuce, ale przede wszystkim o życiu. Zaraził nas swoją pasją. Chęcią tworzenia. Mój mąż Leszek i córka Lida korzystali z jego wskazówek. Lidka malowała, Leszek rzeźbił.

W domu państwa Aranowskich znajduje się wiele dzieł, dłuta i pędzla Wacława Czubernata. Przyglądam się rzeźbom. Uwa-

gę przykuwają oczy. Zapuchnięte i zapłakane.

- Pytałam Wacka dlaczego te oczy są takie smutne. On odpowiadał, tak ma być - wspomina pani Basia.

Uprawiał przede wszystkim malarstwo pejzazowe. Temat jego obrazów stanowiły góry oraz nizina Wielkopolska. Rozkochał się w tutejszym krajobrazie. Uwielbiał obcować z przyrodą. Inspirowała go. Często chodził na długie spacerunki po parku. Fascynowały go ładne widoki, pory dnia, oświetlenie. Miał niesamowite wyczucie koloru, a ich kojarzenie nie sprawiło mu problemu.

- Co mi się podobało w jego obrazach to ciepłe barwy - kontynuuje opowieść pani Basia.- Spokój, który z nich przemawia. Nie ma tu burz, błyskawic. Urzekają harmonią. Są łagodne i wyciszone.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych działała już autorska galeria Wacława Czubernata w Nowym Targu. - Razem z nim tworzyła ją córka Ewa. Pojechaliśmy z mężem oraz z Pawłem Wytykiem na jej otwarcie. Oprócz pięknych pejzazów gór, ujrzeliśmy też zakątki, które znaleźliśmy u Kościana.

Dyskretny, skromny, dobry człowiek

Co go fascynowało w nudnych zdawać by się mogło widokach Niziny Wielkopolskiej? Może spokój, łagodność krajobrazu. Jego odmienność. Liczne jeziora, rozciągające się szeroko pola i łąki. Na pewno frapowali go ludzie. Trochę inni niż porównywalni, gorący i charakterni górale. Być może szukał tutaj wyciszenia i spokoju, odmiany, która miała być inspiracją twórczą.

- Rozmawiając z Wackiem często miałam wrażenie, że okres ten był dla niego pewnego rodzaju ucieczką. Chęcią zmiany środowiska - mówi pani Basia. - Jego styl był charakterystyczny. Podobał się tutaj. Wacek silnie nawiązywał do motywów ludowych, podhalańskich. Lubował się w tym. Miałam wrażenie, że poszukiwał czegoś nowego. Myślę, iż był samotny w tych poszukiwaniach. Mając wokół siebie tylu ludzi, często był sam. Żył jakby na uboczu...

Wacław Czubernat odszedł od nas w lutym br. Pozostawił po sobie wiele wspomnień i ciepłych słów. Każde drzewo jest inne, ma swoją historię zapisaną w słojach. Wiedział o tym pan Wacek - rzeźbiarz. Pozostawił swoją historię. Opowiadanie o jego życiu zapisane jest w słojach drewna, które ukochał i z którym pracował.

KATARZYNA ŻUREK

Kościan rzemiosłem stał (2)

W Poznaniu, w 1899 roku, dr med. Klemens Koehler wydał książkę pt. „Dawne cechy i bractwa strzeleckie [Rzecz osnuta o cechach i o bractwie strzeleckim w Kościanie]. Tą obszerną i rzetelną publikację historycy cenią do dzisiaj. Stanowi bowiem – na przykładzie Kościana - gruntowną analizę powstania i rozwoju rzemiosła wielkopolskiego. Jej znaczenie jest tym większe, że oparta została na badaniu dokumentów archiwalnych, z których wiele uległo rozproszeniu lub wręcz zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Godzi się dodać, że w maju br. powstała w Kościanie grupa badawcza, która za cel przyjął opracowanie historii kościańskiego młynarstwa, piekarnictwa i rzeźnictwa od czasów najdawniejszych poczynając do współczesności. Kontynuujemy druk fragmentów unikalnej już książki dra Koehlera uważanego też za ojca kościańskich regionalistów. Zachowano pisownię oryginału.

Cech kramarski

Bractwo to, także kupieckiem lub różnych rzemiosł zwane rządziło się długie lata ustawami nie potwierdzonymi. Wojna szwedzka, spustoszenie kaplicy tego cechu, ogólne podnoszenie się przemysłu i handlu, który pod groźną morderczej walki był podupadł, dało powód, że ku wzmocnieniu i większej powadze starsi tego cechu, stosownie do ówczesnego prawa, artykuły swe urzędowi radzieckiemu a potem królowi do potwierdzenia przedłożyli. Urząd radziecki z wójtem chętnie się przychylił do prośby, artykuły potwierdzają, które tegoż roku 1669 z Krakowa król Michał jeszcze zatwierdza. Dokument oryginalny zaginął, przechowały się tylko jego odpisy.

Roku 1576 nowo wybrani starsi (a więc już przedtem bractwo kramarskie istniało) odebrali od byłych starszych 73 grzywny i 9 groszy, nadto jako majątek bractwa: Zbroję jedną zupełną z rękawicami i zarękawiem. Zadek i przodek zbrojowy z dwiema zarękawami. Zbroję trzecią z jednym zarękawiem. Zadek i przodek zbrojowy. Przyłbice okrągłe cztery. Hakownice dwie. Oszczepy trzy. Szablę. Pacierzewę obojczyki 2. Węborki skórzane 2. Płachtę czarną. Starszymi w tym roku wybrani byli Gregorius Grodziczki i Valentinus Aptekarz. Ponieważ spis 14 wykazuje urzędników cechu, przyjął trzeba, że liczba członków była znaczną. Kasa musiała być bogatą, bo pożyczano za porękę dwojga braci 3-4 grzywien. Wkupne do cechu wynosiło 7 grzywien, achtel piwa i 2 funty wosku, a dwoje za wstępującego ręczyć musiało.

Pod rokiem 1578 zapisano postanowienie Starszych, aby każdy brat, któryby do bractwa się spóźnił, płacił winy 2 grosze. Należeli wówczas do cechu aptekarz, rymarze, powroźnik, paśnik, Kukliar, Zbudzi siodlarz, Grodziczki, kramarz, złotnik, igielnik, konwisiarz, Sziwy, Gronostaj, Nikiel, Jagielka, mielcarz, karczmarz, dwaj Czajka itd., widoczna zapisywano podług stanu i nazwiska.

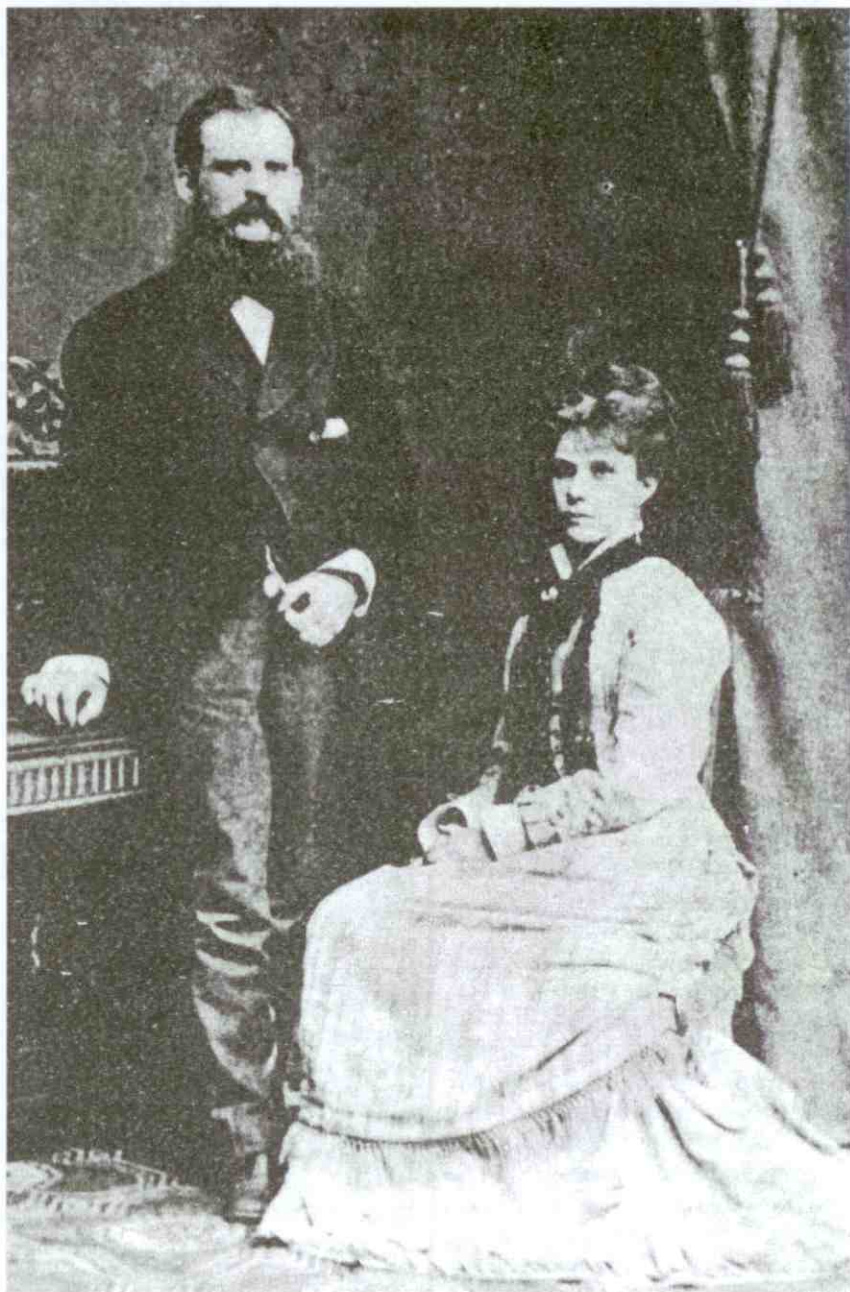
1583 kazano płatnierzowi 4 zbroje sporządzić, a w roku 1587 już znów reparacja zapisana. 1583 jest w Kościanie w bractwie kramarskim Mikołaj aptekarz – a roku 1588 mowa o Follinowej (Walentynowej) aptekarce, która jako wdowa do bractwa należała. Licznych bardzo członków musiało mieć bractwo w roku 1594, bo 52 zapłaciło kwartalne, a przypuszczenie pewno uzasadnione, że jeszcze wielu z składkami zalegało. Od roku 1592 do 1655, zapisywano w rejestrze tylko tych, którzy składniki zapłacili, zapisy te jednakże nie regularnie robiono. W przecięciu było płacących do 60. Roku 1646 płaci aptekarz Andrzej.

Wojna szwedzka jak w wszystkich księgach kościańskich, tak i tu dokonała szczyby, nie ma zapisów od roku 1656 do 1661. Nil valet, to jedyna notatka, którą wszędzie się spotyka. Ciężko Kościan wojną tą był dotknięty, srodze pastwił się Szwed nad jego mieszkańcami, to też w roku 1662-1664 tylko 16 meszczyn i 10 wdów składki zapłaciły – a z wdów tych trzy w tym czasie zmarły.

między nimi wdowa aptekarka Andrzejowa. Z jakim trudem przychodziło obywatelom Kościana wzbijać się znów do dawnego dobrobytu, wykazuje notatka z roku 1682. 16 tylko osób i 4 wdowy do bractwa, kiedyś majątnego, należało w tym roku. Smutny w ogóle już prowadzi żywot bractwo kramarskie a rok dopiero 1766 wprowadza nowe życie – choć jeszcze bardzo słabe. Dobrobyt musiał się jednakże w Kościanie w tym czasie podnieść, - bo cech postanawia większe wkupne dla nowo wstępujących, które odtąd polega na zapłaceniu 80 złotych, daniu 6 funtów wosku, 2 beczek piwa i „przystojnej” kolacyi. Roku 1774 wstępuje do bractwa Franciszek Muszkiewicz, niezaprzeczenie jeden z najznakomitszych obywateli Kościana. W rejestrze, w którym już teraz zawsze mowa o bractwie kupieckim, zapisano pod rokiem 1783-1786 corocznie wydatek 4 zł. „dla W. Podwojewódzkiego”, nie musiało więc już to bractwo być tak biednym, kiedy kontrybucya na nie nakładano. W dochodach znajdujemy od roku 1786 jarmarczne, które dość znacznie wpływało, choć jednakże to wyraźnie nie zaznaczano, przyjąć można, że i targowe bractwo kupieckie dzierżawiło, bo w roku 1789 znajdujemy aż 9 pozycji. 27 lipca, 7 i 30 września, 11 listopada, 21 grudnia, na św. Jakub, Narodzenie Matki Boskiej, św. Michał, św. Marcin, św. Tomasza, św. Pawła, Białą Niedzielę, Przewodnią i Świątki.

Roku 1793 jest w bractwie 17 członków i wdów 3, a kazano w tym roku przepisać przywileje. Rodzaj intraty nie zapisywany dotąd, zaznaczony zaś w roku 1794: „Za konsens od niewiernego żyda Michil Mojżesza nazwanego z Margonina 40 gr., za konsolacją od tegoż 24 gr.” Pod tym rokiem zapisane wydatki na wsparcia dla wędrownych i kupców, którzy mienie utracili. Z zapisu dochodów zaś uwydatnia się, że mistrzeniec tylko połowę płacił wkupnego.

Prócz powyższego rejestru przechował się jeszcze drugi konotatnik specjalnie kupców tyżący: Registrum Institorum Civitatis Costentis od roku 1591-1654 i potem od roku 1682-1685 prowadzony. Pod rokiem 1591 zapisano, że ks. Andrzej Szkoda był altarzystą bractwa kramarskiego ołtarza św. Walentego. Roku 1642



Dr Klemens Koehler (1840-1901) z małżonką. Fot. w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra Henryka Florkowskiego w Kościanie

uchwalono, że nie wolno nikomu nigdzie więcej jak w domu swoim lub w najętej kramnicy towar wykladać.

Bractwo kramarskie miało, jak prawie wszystkie inne cechy, swój ołtarz u fary, poświęcony św. Walętemu. Roku 1774 założono przy ołtarzu tym bractwo tego świętego biskupa i męczennika. Kanonik poznański a ówczesny proboszcz kościański, ks. Mathy, przysłał do cechu dokumenta konsystorskie za przywilejem rzymskim wydane i pracę swą drukowaną dla tego bractwa, która ma być zachowana w skrzynce brackiej. W li-

ście do cechu skierowanym obiecuje przesłać jeszcze 500 exemplarzy swego dziełka, do rozdania za darmo między członków nowego bractwa, a 500 zachowuje „na wprowad solenny tego Świętego”. Żałujemy, że niepodany tytuł tego druku, którego nigdzie odszukać nie możemy.

Stan kupiecki w Kościanie odznaczał się zawsze zamożnością, do czego się przyczyniło to, że już Władysław Jagiełłończyk roku 1441 – a po nim król Jan Olbracht 1497 oznaczyli drogę handlową z Wrocławia do Poznania przez Kościan,

a również z Prus na Kościan kupcy do Śląska prowadzić musieli towary, opłacając tu cło. We wieku XV i XVI kwitowały tu różne rzemiosła, a przedewszystkiem sukiennictwo. Wyroby kościańskie były tak dobre, że się w dalekie rozchodziły okolice, o czym bliższe jeszcze szczegóły później podamy. W księgach radzieckich liczne znajdujemy dane, które dają świadectwo zamożności obywateli kościańskich. Roku 1624 zapisano w aktach miejskich notarialnych testament kupca, którym tenże na reparację rur wodociągowych 500 zł. leguje temi słowy: „Wiedząc jak wielokroć czasów pewnych miastu Kościanowi przez niedostatek wody ciężko i niebezpiecznie bywa, bez której ani żyć ani się przygodzie ogniowej obronić dobrze nie możemy, a skarb miasta Kościana temi czasy z wielu miar i przyczyn wielce zubożony, bacząc na odnowienie i położenie porządnie rur od źródła Przysieckiego aż do miasta, leguję złotych 500 na tę potrzebę rur sosnowych położenie”.

Mowa tu o odnowieniu rur wodociągowych, były one też już dawniej założone, chociaż wykazanie ich początku dziś już nie możebne. Wskazuje to jednakże na bogactwo miasta, skoro na milę drogi źródłaną wodę sprowadzano. Rury te przy nowoczesnych kopaniach tak w Przysieccie jak i wsi, ją od Kościana rozłączającej, Naclawiu znajdowano a w Przysieccie samej odkryto kotłnię, do której kilka źródeł zejście miało, a z której wodę odprowadzano. Kupiec ten zamożny, który głównie sukniem i winem kupczył, zapisał dom swój ks. ks. Mansjonarzom, a przy ostatniej swej woli dołączył spis wszystkich tych, którzy mu za towary dłużnymi byli, spis pokaźny, w którym okolicznych posiadzicieli nazwiska mocno są reprezentowane. Mimo wielkiego zniszczenia, które wojna szwedzka na Kościan sprowadziła, stan kupiecki znów się dźwignął a do zamożniejszych należał Wałęty Skałka, kupiec, burmistrz i ławnik. Umarł koło roku 1712, portret jego wisi dotąd u fary, na którego odwrotnej stronie wyliczono jego cnoty i zasługi. W książce sepulturnej kościoła farnego zapisano o nim, że w roku 1697 wyprawił własnym kosztem pochowanie kości na cmentarzu, a był przy tej uroczystości Biskup, kilku kanoników i około 50 księży. W kościele farnym dotąd przechowuje się jego dar baldachim w kształcie parasola, którego laska w srebro okuta.(cdn)

KLEMENSKOEHLER

Prezydent z Białcza rodem

Jan Matejko malował swój nowy obraz od stycznia 1891 roku. Liczył, że zdąży zakończyć choćby jego zarys do maja tego roku, gdyż właśnie wtedy przypadała setna rocznica wielkiego wydarzenia – uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Tak też miało się to nowe dzieło nazywać. Malarz z radością stwierdził, że już w kwietniu prace nad nim były na tyle zaawansowane, iż możliwe było pokazanie płótna na jubileuszowej wystawie w Sukiennicach. Obraz o powierzchni ponad jedenastu metrów kwadratowych po raz pierwszy zobaczyli widzowie i krytycy. Zauważyli, jak zawsze u Matejki, doskonale, ale też symboliczne rozmieszczenie na obrazie poszczególnych postaci. W centrum znalazł się marszałek Sejmu Wielkiego, Stanisław Małachowski, w lewej ręce trzymający symbol swojej władzy – laskę marszałkowską, a w prawej w triumfalnym geście unosi tekst Konstytucji 3 Maja. Marszałek jednak jest na ramionach dwóch innych osób, ubranych po szlachecku, jak zwykli posłowie. Wybór nie był przypadkowy, obaj bowiem panowie reprezentowali podczas obrad Sejmu Wielkiego dwie najważniejsze ziemie Korony, tworzące jej kręgosłup od zarania jej dziejów. Wkrótce ich rozpoznano: byli to Aleksander Linowski z Małopolski oraz Wielkopoleń, Ignacy Zakrzewski. Ten drugi odegrał ważną i przede wszystkim pozytywną rolę w burzliwym końcu Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Był jednym z wybitnych Polaków tamtych czasów, ale my możemy go również nazywać znakomitym obywatelem ziemi kościańskiej.

Urodził się w 1745 roku w Białczu koło Kościana. Pochodził z zamożnego rodu Zakrzewskich, herbu Wyskota. Ojciec Izidor Zakrzewski nie miał majątku bardzo rozległego, ale finansowo wzmocnił go posąg żony, Izabeli z Radomskich (herbu Kotwicz), córki wojewody poznańskiego Władysława. Mieli troje dzieci: córki - Franciszkę i Ludwikę oraz syna - Ignacego. Lata dziecięce upłynęły mu w gronie rodzinnym. Wątpli, nieco przygarbiony, miał organizm delikatny; łatwo podlegający chorobom. W młodości bardzo pilnie się uczył, co w przyszłości umożliwiło mu biegle porozumiewanie się językiem niemieckim oraz znajomością francuskiego. Dużo czytał, a szczególnie interesowały go historia, ekonomia i prawo. Po śmierci rodziców stał się panem dziedzicznym kilku dóbr: Białka, Zaorle, Piłgłowice, Szurkowo. Wyróżniał się jako gospodarz oszczędny i zapobiegliwy, rozwijał w swych majątkach przemysł spożywczy i gospodarkę hodowlaną. W 1764 r. odziedziczył po swej babce,

Franciszce z Mielżyńskich (herb Nowina) przygraniczny Pakosław, ale niedługo potem Niemcy zagarnęli wieś Białka oraz tereny należące do Pakosławia. Rozpoczął się niekończący się spór o te ziemie, zakończony dopiero przez II rozbiór Polski, kiedy to cała Wielkopolska stała się prowincją pruską.

Młody Zakrzewski rozpoczął działalność polityczną gdy miał 23 lata, wiążąc się z konfederacją barską. Przez jego majątki przechodzili kurierzy konfederacy oraz przemysłowcy, zaopatrujący konfederatów w broń z Francji. Sam Zakrzewski, uzyskawszy tytuł porucznika, a następnie rotmistrza, prowadził rekrutację żołnierzy do oddziałów walczących w Wielkopolsce. Wchodził w skład kadry oficerskiej pułku marszałkowskiego pod dowództwem podpułkownika Antoniego Sieroszewskiego. Niestety, po czterech latach rozpaczliwych walk, konfederacja upadła, a trzy ościenne mocar-

stwa dokonały I rozbioru. Zakrzewski musiał na jakiś czas wycofać się z życia publicznego.

Jednakże w kilka lat później przyszły szczęśliwe dni Zakrzewskiego. Najpierw w 1779 roku ślub z dziewiętnastoletnią Konstancją z Zakrzewskich, później sukcesy w sporze z Niemcami, który prowadził od ponad dwudziestu lat o zagarnięte ziemie. W 1780 roku wkroczył do wielkiej polityki – po raz pierwszy został delegowany na obrady sejmu. Odtąd był na większości obrad, ale swój kunszt wykazał dopiero wtedy gdy miało to sens – podczas reform Sejmu Wielkiego. W 1784 roku przyszła na świat jego pierwsza córka, Marianna, a dwa lata później otrzymał nominację na urząd - król nadał mu tytuł podczaszego poznańskiego, co jednak było stanowiskiem czysto honorowym. Także w tym roku narodził się syn, Marek, a w roku następnym, 1787, nadszedł kolejny awans, tym razem na stolnika poznańskiego. Wtedy to Zakrzewski postanowił zakupić majątek w Kobylnikach i część majątku w Krzanie.

Nareszcie doczekał chwili, gdy mógł wziąć udział w jednym z najważniejszych sejmów w historii, który miał na celu totalne zreformowanie państwa polskiego. Z racji pełnienia od kilku lat poważanych przez szlachtę funkcji, nie miał większych problemów z otrzymaniem nominacji na posła. Zaraz też okazał się jednym z najpracowitszych posłów na całym Sejmie Czteroletnim. Zastąpił głównie jako mówca i projektodawca w dziedzinie reform skarbowych, którą to dziedziną interesował się od młodości. Potrafił we właściwy sposób połączyć sprawy wyzyskiwanej ciągle przez Prusy prowincji wielkopolskiej z problemami ogólnopaństwowymi. Wykazywał się też niezwykle trafną oceną sytuacji politycznej i gospodarczej, dzięki czemu zyskiwał szacunek stołecznej (i nie tylko) szlachty. Zakrzewski szczególnie aktywnie działał w sprawie miejskiej, domagając się przywrócenia należnych miastom i mieszczanom praw. Uczynił też znaczny ukłon w stronę mieszczan-

stwa, wpisując się do księgi obywateli miejskich stolicy jako jeden z pierwszych przedstawicieli szlachty. To wszystko zjednywało mu szacunek społeczeństwa, co już niedługo miało w znaczny sposób odbić się na jego karierze.

Obrady Sejmu nie przeszkadzały jednak posłowi Zakrzewskiemu w działalności lokalnej na ziemi poznańskiej; został chociażby (w 1790 roku) sygnatariuszem umowy prowadzącej do powstania w Poznaniu spółki, która miała powołać do życia nową fabrykę garbarską. Jako tak znamienity reprezentant Wielkopolski został również w tym roku mianowany chorążym poznańskim.

Ignacy Wyssogota Zakrzewski w znaczny sposób przyczynił się do kształtu nowej ustawy zasadniczej, nie mogło go więc zabraknąć podczas jej uchwalania, pomimo niekorzystnego, świątecznego czasu. 2 maja 1791 roku został współzałożycielem Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji Rządowej, do którego należał wraz z tak wybitnymi postaciami, jak: książę Hugo Kollątaj, książę Adam Kazimierz Czartoryski, czy książę Józef Poniatowski. W sumie Zgromadzenie liczyło 213 członków, którzy byli główną siłą przeprowadzającą w sejmie reformę konstytucyjną. Nazajutrz, wraz ze swoimi sojusznikami politycznymi, marszałkiem sejmu, królem i ludem Warszawy mógł się cieszyć z uchwalenia Konstytucji 3 Maja.

Wkrótce uznał, że bardziej niż w Wielkopolsce będzie potrzebny w Warszawie, postanowił zatem sprzedać tamtejsze dobra ziemskie kasztelanowi Michałowi Krzyżanowskiemu. Sam majątek w Białczu został sprzedany za kwotę 107 000 złotych (miesięczna pensja woźnego sądowego nie przekraczała wówczas 10 złotych). Już na początku 1792 roku kupił od Romana Lubomirskiego majątek w Żelechowie, skąd znacznie bliżej było do stolicy.

16 kwietnia 1792 roku jego dotychczasowa postawa została doceniona – został mianowany pierwszym prezydentem Warszawy. Dzień później oficjalnie rozpoczął pełnić tę funkcję. Za działalność patriotyczną został wtedy odznaczony Orderem św. Stanisława i Orderem Orła Białego. Urząd prezydenta piastował nieco ponad

cztery miesiące, gdyż na Polskę spadło wtedy nieszczęście Targowicy i kolejnej wojny z Rosją. Przystąpienie króla do tej konfederacji i dojście do władzy przeciwników reform spowodowało prześladowania stronnictwa patriotycznego.

W sierpniu zmuszono do ustąpienia władze miejskie Warszawy wraz z prezydentem i zmuszono do wyjazdu ze stolicy. Po opuszczeniu Warszawy Zakrzewski przybył do Żelechowa, gdzie zajął się przebudową dworu.

Nie oderwał się jednak zupełnie od polityki: cały czas działał w prawicowych ugrupowaniach m. in. z Józefem Wybickim czy Ksawerym Działyńskim. Wiosną 1793 roku zawiązał się spisek powstańczy, mający na celu przywrócenie ustroju Rzeczypospolitej z okresu Konstytucji 3 maja. Ignacy Wyssogota Zakrzewski, jako członek Zgromadzenia Przyjaciół Konstytucji, chętnie dołączył do grona powstańczego, ale wiedział, że jeszcze trzeba mu będzie poczekać na insurrekcję.

Tymczasem 17 kwietnia 1794 r. podczas pobytu w Warszawie został zaskoczony wybuchem Powstania Kościuszkowskiego. Tego samego dnia praktycznie z woli ludu ponownie otrzymał urząd prezydenta Warszawy. Mimo początkowego oporu król zdołał go przekonać do przyjęcia tej funkcji, a stołeczna ludność, zgromadzona na Placu Zamkowym porwała Zakrzewskiego na ramiona i triumfalnie zaniósła aż do samego Ratusza. Wbrew pozorom stało się to jednak w wyniku błędnych rachub dwóch przeciwnych stronnictw politycznych – konserwatywnego króla, obawiającego się gwałtownej, podobnej do francuskiej, rewolucji oraz lewicowych (wręcz jakobińskich) radykałów. Lewica poparła go, licząc na łatwość w sterowaniu nim, król zaś znał jego niechęć do radykalizmu. Ostatecznie bliższy prawdy okazał się Stanisław August Poniatowski, gdyż nowy-stary prezydent szybko pozbył się z grona swoich współpracowników osób prezentujących zbyt lewicowe poglądy. Natomiast przy jego dużym udziale została powołana Rada Zastępcza Tymczasowa, która pełniła funkcję rządu powstańczego; sam Zakrzewski został jej przewodniczącym. Działał także w Radzie Najwyż-

szej Narodowej, kierując Wydziałem Żywności i wykazując duże zasługi w apro wizacji wojsk powstańczych.

Dobrze wypełnił swe zadanie także jako strażnik porządku publicznego, bo choć nie udało mu się zapobiec brutalnym egzekucjom zdrajców na warszawskim rynku, to jednak jego szybka reakcja uratowała Fryderyka Józefa Moszyńskiego oraz pozwoliła na rehabilitację straconego już Michała Wulfersa.

Zaskakujący jest fakt, iż Zakrzewski nigdy nie dowierzał królowi, a szczerze związany z powstaniem przestrzegał nawet Kościuszkę, że chodzą plotki o tworzeniu, przy cichym poparciu Stanisława Augusta, jakiejś konfederacji wymierzonej przeciwko powstaniu. Jednak mimo tych sukcesów rok ten nie był zbyt udany. Najpierw śmierć ośmioletniego synka, później klęski insurekcji. Na wieść o ostatecznym upadku powstania podjął decyzję o kapitulacji Warszawy, opuszczając 8 listopada wraz z resztkami wojsk powstańczych Warszawę.

Po przejęciu kontroli nad stolicą przez

Rosjan zamieszkał w Sandomierzu, jednak szybko został wezwany przez wojska carskie do Warszawy i uwięziony w Sankt Petersburgu. Przebywał tam dwa lata, wychodząc na wolność 10 grudnia 1796 roku. Niestety, w tym czasie stracił praktycznie cały majątek, aby przybyć do Polski musiał prosić o pożyczkę króla. Dopiero na początku maja 1797 roku powrócił do Żelecho-



Ignacy Zakrzewski (1745 – 1802).

**ródło – Wikipedia*

wa. Tam bezskutecznie domagał się zwrotu zagrabionych przez wojska austriackie dóbr. Po spisaniu testamentu, 15 lutego 1802 roku, zmarł.

Pochowany został również w Żelechowie, gdzie spędził te ostatnie, smutne lata życia.

Jako ciekawostkę można jeszcze dodać, że na nagrobku znajduje się napis zawierający dwa błędy: podana

jest błędna data jego śmierci (powinno być 1802, a nie 1801) oraz fakt, że Zakrzewski nie był prezesem Rady Nieustającej ale członkiem Rady Tymczasowej. Dla uczczenia jego pamięci jedna z pierzei Rynku Starego Miasta w Warszawie nosi nazwę Strony Zakrzewskiego (wcześniej nazywała się Zamkowa).

ALEKSANDR SZAJEK

Boże Narodzenie 1932 roku w „Gazecie Polskiej”

Kolejny raz redakcja „Gazety Polskiej” nawiązuje w numerze świątecznym do kryzysu, który od kilku lat objął nie tylko Polskę, Europę, ale cały świat. W artykule świątecznym z 24 grudnia 1932 r. czytamy m.in.: „Ale jeszcze jedna zmora przytłacza nasze społeczeństwo polskie. Ta zmora to niepewność jutra...” i dalej „Wszak znośniejszym byłby ten kryzys, gdyby się wiedziało, że żyjemy w państwie o silnych podstawach moralnych, w państwie narodowym, o świętą wiarę katolicką opartem”... Oto ludziom dobrej woli nie pozwala się wypowiedzieć, nie dopuszcza się ich do stanowisk im należnych, obawia się ich po prostu... Kto z Bogiem – Bóg z nim! Oto hasło doby obecnej, niestety dziś zagłuszone przez rozwydrzone hasła bezbożnictwa, w tak subtelnej nieraz formie przejawiające się we wszelkich dziedzinach życia społeczno-gospodarczego”.

W tejsze gazecie znajduje się informacja o Bożym Narodzeniu w pierwszych wiekach. Początki świąt Bożego Narodzenia obchodzone były wspólnie ze świętem Trzech Króli, które obchodzono 6 stycznia. Dopiero na początku IV wieku rozdzielono te dwie uroczystości i wyznaczono na święto Bożego Narodzenia 25 grudnia, być może dlatego, by odciągnąć chrześcijan od udziału w pogańskim święcie Saturnaliów przypadających też na dzień 25 grudnia.

W okresie przedświątecznym tak, jak w poprzednich latach ukazywało się wiele ogłoszeń, reklam miejscowych kupców i przedsiębiorców, jak np.:

Praktyczne i tanie podarki gwiazdkowe

Łyżki, łyżeczki, noże, widelce, młynki do kawy, maszynki do mięsa, żelazka do prasowania, naczynia kuchenne emaliowane i aluminiowe, łyżwy i rondle

poleca uprzejmie Firma B-cia Soborscy, Kościan, Rynek 4, tel. 8

Na święta

Po zniżonych cenach. Wina Likieri Koniaki Rummy Araki Wódki Soki owocowe poleca W. Czajka Kościan, ul. Kościuszki 32

w niedzielę i poniedziałek 19 bm. wydawane będą próbki win bezpłatnie Do wyrobu pierników

Syrup jadalny, miód sztuczny, korzenie do pierników poleca uprzejmie K. Owczarek, tel. 113

Szanowni klienci

Uprzejmie donoszę, iż nadeszła większa ilość drzewek gwiazdkowych.

Wielki wybór, ceny przystępne Stefan Danielewicz, Kościan, ul. Szew-

ska 16

W okresie świątecznym wiele stowarzyszeń i organizacji proponowało różne spotkania i uroczystości. I tak: „Obchód gwiazdkowy Towarzystwa Terminatorów odbył się w niedzielę 18 bm. o godz. 6 wieczorem w Bursie Rzemieślniczej. Uroczystość zagał przy zapalanej choince p. przewodniczący Tadeusz, witając patrona ks. Stanisława Bednarkiewicza i mistrzów. Ks. patron w serdecznych słowach przemówił do młodzieży podkreślając znaczenie obecnej uroczystości. Następnie odśpiewano kolędy pod batutą p. dyrektora Sobiecha oraz wygłoszono szereg deklamacji. Pod koniec obdarzono młodzież podarkami”.

Informowano także, że „W II święto Bożego Narodzenia odbędzie się już tradycyjnie przedstawienie chóru męskiego „Arion” w sali Hotelu Warszawskiego. Tym razem miłośnicy pięknej muzyki posłyszają melodyjną operę Kurpińskiego „Zamek na Czorsztynie”. Nie zapomnijmy więc z góry zaopatrzyć się w bilety po przystępnych cenach 1,80 zł, 1,40 i 0,90 zł. W sprzedaży w Drogerii Medycznej Fr. Stróżyk w Rynku”.

Obchód gwiazdkowy wraz z uczczeniem rocznicy Powstania Wielkopolskiego męskie gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Kościanie we wtorek 27 grudnia w Sokolni. Obchody gwiazdkowe zorganizowało także Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia św. Wincenego a'Paulo w Ochronce. Przy pięknie ubranej choince odśpiewano „W żłobie leży”. Uczestniczył ks. prob. Bednarkiewicz. Obdarzono ponad 200 rodzin struclem, mięsem, słoniną, piernikami i węglem. Święta minęły spokojnie i szybko, lecz „... w tym roku nie

robiły wrażenia zewnętrzne, bo zamiast śniegu i mrozu, powietrze było mgliste, iście jesienne”.

A oto kilka dowcipów z tamtych lat: Pech

- Łaskawy dobrodzieju, opatrz nie-szczęsnego kalekę...

- Co, do diabła! Niedawno byliście ślepy, teraz znowu kulawym, a jutro może będziecie bez rąk!

- O widzi pan i ma pan najlepszy dowód, jak mnie pech prześladowuje, akurat musiałem właśnie na pana trafić.

W sądzie

Sędzia: Dlaczego hultaju, włazłeś do cudzego mieszkania przez okno?

Złodziej: Bom się, proszę pana sędziego zagapił i wytrychów ze sobą nie wziąłem.

Syn doktora

Niańka: A mówiłeś już paciorem?

Jaś: Już.

Niańka: A prosiłeś na końcu o zdrowie dla mamy?

Jaś: Tak

Niańka: A dla wszystkich?

Jaś: A nie, bo tatuś nie miałby nic do roboty.

Bez żalu

- Nigdy nie ożenię się z ładną dziewczyną!

- - Dlaczego?

- Bo ładna może mnie porzucić.

- Brzydka też może cię porzucić.

- Ale brzydkiej nie będzie mi żal.

Na egzaminie

- Jakie zęby wyrastają nam najwcześniej?

- Mleczne.

- A jakie na ostatku?

- Sztuczne.

JAN PAWICKI

O perełce kościąńskiej fary

W tych dniach opuścił pracownię konserwatorską p. Pawła Pogowskiego w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu – powracając do kościoła farnego w Kościanie – późnogotycki tryptyk Zesłania Ducha Św., jedno z największych i najciekawszych dzieł tego rodzaju w Wielkopolsce. Jest to szafiasty ołtarz, którego wnętrze wypełnia płaskorzeźba przedstawiająca Zesłanie Ducha Św., a zamykające się skrzydła pokryte są malowanymi scenami z życia Chrystusa. W predelli, wynoszącej właściwą szafę ponad mensę ołtarzową, umieszczone są cztery popiersia świętych niewiast. Na środkowej płaskorzeźbie wyryta jest data – rok 1507.

Tryptyk kościański był kilkakrotnie omawiany i publikowany przez badaczy.

Najważniejsze pozycje zawdzięczamy dyrektorowi Muz. Wlkp. dr. N. Pazderskiemu, który stwierdził zależność jego od polptyku kościoła św. Józefa w Kaliszu, dzieła anonimowego twórcy ołtarza w Giessmandorf na Śląsku i doc. dr. M. Walickiemu, który wykazał, że zabytek ten powstał na terenie Wielkopolski, w Poznaniu lub nawet może w Kościanie. Ołtarz kościański jest dziś na terenie Wielkopolski jedynym, który zachował oryginalną formę ruchomego, zamykanego tryptyku i stanowi



Fot. Zbigniew Garstka

jedno z najciekawszych dzieł naszej plastyki późnośredniowiecznej.

W roku ubiegłym sprowadzony został na Wystawę Wielkopolskiej Plastyki Gotyckiej. Organizatorzy wystawy, Koło Historyków Sztuki Studentów U. P. stanęli wówczas przed trudnym zagadnieniem. Już powierzchowne bowiem badania, przeprowadzone na miejscu w Farze kościańskiej wykazały, że tryptyk znajduje się w stanie daleko posuniętej ruiny. Generalna restauracja, przeprowadzona swego czasu przed wojną we Wrocławiu, nie zabezpieczyła go przed postępowaniem zniszcze-

nia. Co więcej, okazało się, że części drewniane, dodane wówczas, uległy w krótkim czasie rozkładowi i przedstawiały się bez porównania gorzej od starych autentycznych partii drzewa. „Dobry, przedwojenny towar” okazał się w tym wypadku lichym „ersatzem” i tandetą w porównaniu z materiałem z przed wieków.

W najbardziej jednak tragicznym stanie znajdowały się malowane skrzydła ołtarza. Pod wpływem wilgoci rozluźniającej więź spoiwa między zwierzchnią warstwą farby a podkładem, z drugiej zaś strony pod wpływem zmian temperatury, powodujących kurczenie się, albo rozszerzanie równomierne dla poszczególnych warstw malowidła (farba, podkład malarski, drzewo), gdyż zależnie od ich spo-

istej struktury potworzyły się na powierzchni skrzydeł kościańskiego ołtarza liczne pęknięcia i bąble. Bąble te, miejscami niezwyklej rozmiarów groziły osypaniem się przy każdym silniejszym wstrząsie ołtarza.

Powstało pytanie, czy można wobec takiego stanu przewieźć ołtarz do Poznania, czy też raczej nie ruszając zostawić go na miejscu. Pozostawienie jednak było równoznaczne ze skazaniem ołtarza na zagładę, zwłaszcza, że o przeprowadze-



niu zabiegów konserwatorskich na miejscu mowy by być nie mogło. Wobec tego zdecydowano się na przewiezienie ołtarza do Poznania i przeprowadzenie gruntownej renowacji. Okazało się, iż nawet najbardziej zagrożone, beznadziejne wprost partie, znakomicie wytrzymały transport, a to wskutek wiosennej wilgoci, którą przepojone były malowane kwatery, dzięki czemu warstwa farby była niespodziewanie sprężysta.

Dzięki kulturalnemu, godnemu specjalnego podniesienia, stanowisku kilku obywateli Kościana udało się zdobyć środki na sfinansowanie renowacji. Nie była ona rzeczą łatwą. Stoczone przez kornika partie drzewa musiały być drażnione, przedmuchiwane dla usunięcia próchna i wypełniane płynną krzemionką, tj. masą zbliżoną do tzw. szkła wodnego. Do najciekawszych – przynajmniej dla laika – zabiegów należało usuwanie bąbli na malowidłach. Polega on na wstrzykiwaniu pod powierzchnię bąbla gorącej mieszaniny, opartej na wosku, względnie parafinie, po czym bez obawy o zniszczenie można powierzchnię przeprasować, przytwierdzając odstające partie z powrotem do gruntu. Zastosowanie tzw. mastyki (mastique) zamiast przeważnie dawniej używanego kleju do zastrzyku, pozwoliło na osiągnięcie w efekcie absolutnie gładkiej powierzchni.

Obecnie zabezpieczony przed zniszczeniem dzięki staraniom ks. prob. Stanisława Bednarkiewicza i ofiarności obywatelstwa kościańskiego, wraca tryptyk do Fary kościańskiej, stając z powrotem obok pozostałych zabytków tej najbogatszej może skarbnicy plastyki gotyckiej na ziemiach wielkopolskich.

*) Artykuł nie jest podpisany. Nosi tytuł „Zabezpieczono przyszłość znakomitego zabytku - Na marginesie konsekracji tryptyku kościańskiego” i ukazał się w numerze 381 „Kuriera Poznańskiego” z 22 sierpnia 1937 r. Nowy tytuł pochodzi od redakcji „WK”; w tekście zachowano pisownię oryginału. Cały zasób „Kurier” znaleźć można w Internecie, w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej. Dzieje tryptyku opisał Jan Pawicki w publikacji „500 lat ołtarza pod wezwaniem Zesłania Ducha Św. w kościańskiej farze”, pięknie ilustrowanym fotografiami Zbigniewa Garstki, wydanej przez Urząd Miejski w Kościanie w 2007 roku.

Okruchy wojennej pamięci (III)

Fragmety pracy magisterskiej Katarzyny Szymkowiak pt. *Losy mieszkańców Ziemi Kościańskiej w czasie II wojny światowej na podstawie wspomnień, napisanej i obronionej z filologii polskiej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu.*

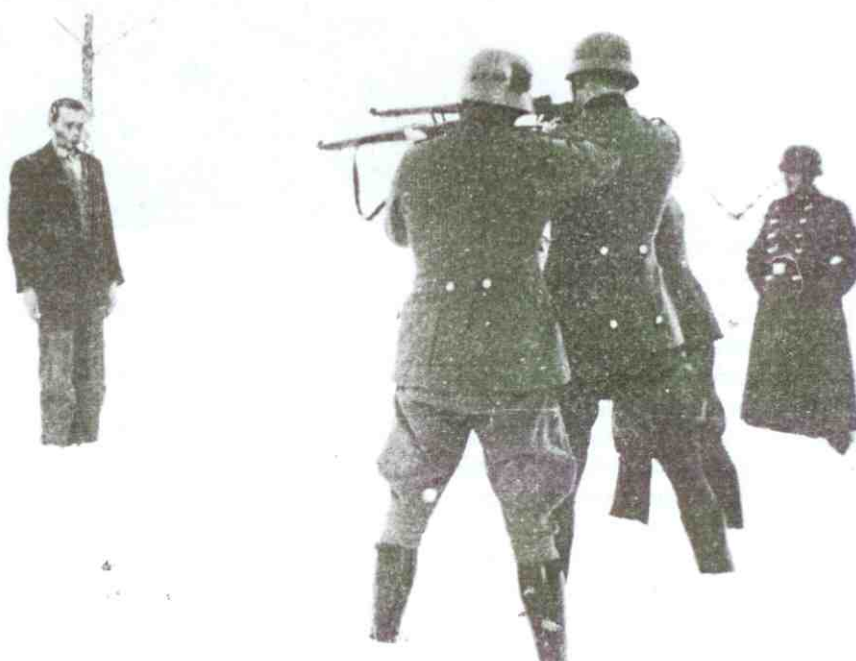
2 października 1939 r. Ten słoneczny październikowy dzień doskonale zapamiętał ksiądz Stefan Naskręt. Był wówczas dzieckiem, któremu beztrudną zabawę przerwał widok żołnierzy, prowadzących grupę mężczyzn z uniesionymi rękoma do góry. Pobiegł więc zobaczyć z czystej ludzkiej ciekawości, jak potoczą się ich losy dalej – dokąd idą. Skazanych ustawiono pod murem Ratusza plecami do Apteki Pod Białym Orłem. Po krótkiej komendzie padły strzały. Wokół słychać płacz i krzyk. Kilka osób zemdląło z przerażenia. Zamordowanych załadowano na wozy i odtransportowano na teren Zakładu Psychiatrycznego, by złożyć ich we wspólnej mogile. Następnie przeprowadzono księży... Kazano im przynieść szczotki oraz wiadra z wodą, po czym otrzymali rozkaz szorowania bruku.

Zdumiewające, z jaką dokładnością relacjonuje ten tragiczny dzień ksiądz

Stefan. Pamięć ludzka szybciej koduje traumatyczne przeżycia, aniżeli te dobre, wzorcowe. Wystarczyło być w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie, by zerwać nić dziecięcej ufności do otaczającego świata. Zresztą dorosłych również ta traumatyczna sytuacja skazanych przynębiała.

Egzekucje publiczne

Jednym z rozstrzelanych został zany obywatel Kościana – Ludwik Wenski. Kiedy przebywał w więzieniu jego syn Czesław wraz ze swoją matką postanowili zanieść mu obiad. Więzienny strażnik nie przyjął ani posiłku dla więźnia, ani paczki, zastrzegając się, iż są one surowo zakazane. W pakunku były same najpotrzebniejsze rzeczy: przybory toaletowe, książeczka do nabożeństwa oraz różaniec. Na nic się zdała znajomość z nim oraz prośby i błagania. Zgodził się jedynie przemycić różaniec. Zrezygnowani i przerażeni powró-



Zima 1939/1940. Pojedyncza egzekucja. W zbiorach Jerzego Zielonki

cili do domu. Po jakimś czasie przybiegli do Czesława jego kolega – Marian Koszewski, oznajmiając, że Niemcy rozstrzelali na rynku kilku Polaków.

- Okazało się, że wśród rozstrzelanych obywateli był nasz Ojciec – wspomina pan Czesław. Wiadomość sparaliżowała wszystkich. Nastąpiła przerażająca cisza. Twarz Mamy zbladła... oczy miała martwe, usta zaciśnięte. Wpatrywaliśmy się w nią z trwogą, ale i my wyglądaliśmy podobnie. Długą ciszę przerwał rozpaczliwy płacz jednego z najmłodszych. (Czesław Wenski z Kościana).

30 września 1939 roku egzekucję publiczną przeprowadzono też w Śmiglu, gdzie zamordowano 8 Polaków. Po pierwszych rozstrzelaniach szefowi niemieckiej administracji cywilnej w Poznaniu Arturowi Greiserowi złożono meldunek następującej treści: „Rozstrzelanie 16 zakładników w Śmiglu i Kościanie mają według dotychczas poczynionych obserwacji swój nieprzemijający wpływ na polską ludność. Niniejszym bowiem dobitnie udowodniono polskiej ludności, że zarządzenia władz III Rzeszy należy traktować poważnie (Hubert Zbierski *Sylwetki Rozstrzelanych Mieszkańców Ziemi Śmigiełskiej w 1939*).

Każdego, kto był świadkiem, bądź tylko słyszał o tragicznych poczynaniach hitlerowców, dopadała degradacja psychiczna. Była to normalna reakcja ludzi, którym nie obce są odruchy człowieczeństwa. Po każdym akcie publicznego mordu zadawano sobie pytanie: dlaczego właśnie Oni? Oto pisemna odpowiedź burmistrza Śmigła Hansa Vomhofa:

„Przy wyborze rozstrzelanych chodziło nie tyle o wyraźnych podżegaczy, ale Polaków z narodowości. Winy miały być odkupione nie krwią polskich zbrodniarzy, lecz krwią dobrych Polaków” (Hubert Zbierski *Sylwetki...*).

Skrytobójstwo

Egzekucji było więcej, ale wybierano dlań inne miejsca. W dniu 7 listopada 1939 r. zamordowano 45 Polaków w parku miejskim w Kościanie przy świetle reflektorów samochodowych. Tego samego dnia obradował doraźny sąd, który na śmierć przez rozstrzelanie skazał 66 Polaków. Był to sposób na likwidację przepelnionych cel. Więźniowie za dnia kopali duży dół, by wieczorem

w nim spocząć. W momencie, kiedy zobaczyli ciężarówkę, zrozumieli, że to ich ostatnia podróż. Mimo zapewnień gestapowców o dalszej wędrowce, ukradkiem żegnali się wzajemnie ściskając:

„...pomiędzy drzewami Parku głośnym echem rozbrzmiewają strzały pistoletów automatycznych. Ci, którzy jeszcze są w samochodach próbują śpiewać. Uderzenia kolbami. To im ust nie zamknie. „Jeszcze Polska nie zginęła!” Wyprowadzono ostatnich. Znowu seria... i cisza... Trzech pozostawionych podczas egzekucji za autami znosi do grobu ciała kolegów i zasypuje dół, mając do tego jedną łopatę. Muszą grzebać ziemię rękami. Dwóch z nich ginie w podobnej egzekucji pojutrze rano, jednego los zachowa na przekór niemieckim zamierzeniom nie pozostawienia świadków tej zbrodni (*Z katakumb wspomnień*).

Dwa dni później o zmroku rozległy się strzały w lesie Kurza Góra – rozstrzelano tam 21 więźniów przywiezionych z Kościana. Przyczyną popełnienia obu skrytobójczych zbrodni mogły być przepełnione cele więzienne, gdyż nazistowscy oprawcy w obawie przed odwetem ze strony Polaków, aresztowali ich i zamykali w więzieniach. Wszystko miało być owiane gorzką tajemnicą, ale ludzie mieli szeroko otwarte i oczy, i uszy. Jedni słyszeli strzały w lesie i z daleka obserwowali zachowanie oprawców, inni znajdowali się wówczas w celach, ale szczęśliwie ich nazwiska nie zostały wycytane (...)

Pseudoeutanzja

W dniu 15 i 22 I 1940 r. wywieziono ze szpitala psychiatrycznego w Kościanie 534 pacjentów. W tej liczbie chorych było 236 mężczyzn i 298 kobiet. W ten sposób rozpoczęta została realizacja kolejnego planu nazistów, który polegał na pseudoeutanzji pacjentów ze Szpitala Psychiatrycznego w Kościanie. Jak się okazało, z czasem zasięg tajnej operacji sięgnął dużo dalej, nawet poza naruszone granice Rzeczypospolitej, ponieważ do kościańskiego szpitala przywożono także rodowitych, ale chorych Niemców. W oczach Hitlera byli to również podludzie, których należało się pozbyć, by oczyścić świat (...)

Pacjentom nie podawano żadnych leków. Zaniedbywano również regularne wydawanie posiłków. Niedożywianie było celowym zamierzeniem. Menu

każdego dnia wyglądało podobnie: śniadanie - gorzka kawa, kromka suchego chleba, obiad - zupa z kartofli bez żadnego tłuszczu, kolacja - znowu gorzka kawa i kromka suchego chleba. Kiedy pacjent prosił o dodatkową porcję suchego chleba, odmawiano mu. Wkrótce miała rozpocząć się akcja na szeroką skalę, polegająca na uśmierceniu chorych.

Franciszek Adamczak, pełniący wówczas funkcję pielęgniarską, wspominał, że dyrektor - Niemiec wysłał go: po płyn do zastrzyku. Gdy aptekarz wejrzał na receptę, oświadczył mi, że takiego, raczej śmiertelnego roztworu nie może mi wydać. Zaraz zadzwonił do dyrektora, czy przypadkiem się nie pomylił – ten odzwoił, że daje rozkaz natychmiast wydać ten roztwór, co zapisał. W tym samym czasie zostało wydane służbie polecenie przygotowania chorych do wyjazdu. Polaków umieszczono na jednej liście, Niemców na innej. Dr Gwidon Łukaszewski wspomina:

„Dzień przed rozpoczęciem wywożenia chorych wręczył dyrektor Lemberger nadpielęgniarszowi Haydenowi butelkę z mieszkanką morfiny ze skopolaminą, z poleceniem wstrzyknięcia jej godzinę przed wywożeniem. Nie miałem możliwości stwierdzić składu procentowego mieszanki oraz dawki.... Na moją uwagę, że będzie trzeba przygotować wielką ilość igieł, odpowiedział nadpielęgniarsz Haydn, że wystarczy jedna igła, którą zaszczerpi się wszystkich pacjentów (...)

- Miałem okazję zajrzeć na salę chorych przed wywiezieniem ich. Widziałem naszych chorych półsennych, bezładnie porozkładanych na łóżkach i podłodze. Część chorych była zanieczyszczona moczem i kałem (Franciszek Adamczak).

Mimo kamuflażu, pacjenci przeczuwali, co ich czeka. Kiedy ich wyprowadzano, mieli łzy w oczach, żegnali się ze służbą, często stawiali opór. Na dworze panował mróz. SS-mani poubierani byli w kozuchy, natomiast chorzy szli boso i bez kurtek. Gestapowcy mieli rozkaz załadowania 50 osób do jednej ciężarówki. Wszystko odbywało się w pośpiechu, oprawcy nie zwracali uwagi na szczegóły. Operacji tej dokonywała specjalna jednostka

SS – Totenkopf, dlatego tym bardziej zadziwiający jest fakt niechlujstwa Niemców. Nie wiadomo, jaki plan mieli hitlerowcy wobec służby szpitalnej, na której oczach bez żadnego zatajania dokonywano wywózki tylu pacjentów (...)

Leśniczy z Tamborowa – Stefan Janasik próbował z ciekawości zajrzeć do lasu Jarogniewiczami i sprawdzić, co się tam dzieje. Jednak ledwo uszedł kilka kroków, został zatrzymany przez posterunkowych. Z początku myślał, że tam coś budują, jednak gdy zauważył wystającą spod płachty samochodu rękę, jego wątpliwości rozwiały się. Nie słyszał jednak żadnych strzałów... Widział jedynie ślady samochodów i zdeptany śnieg, wokół którego widniały nasypy świeżej ziemi.

„Później kiedy śnieg odtajał nakoło mogił znalazłem: w pobliżu I mogiły guziki z męskich spodni i kilka kartek z książek do nabożeństwa. Przy II i III grobie – guziki od damskiej garderoby i 28 różańców, przeważnie białe... poza tym twyst do cerowania pończoch, który wydawał mi się bardzo ciężki (Stefan Janasik).

Najwidoczniej gestapowcy obawiali się, że prawda o ludobójstwie ujrzy światło dzienne, dlatego często pojawiali się w tym lesie, by sprawdzić, czy groby nie zostały odkopane. Niewątpliwie była to zbrodnia na szeroką skalę. Do Kościana

przywożono ludzi z zakładów psychiatrycznych, przytułków i pensjonatów. znajdujących się zarówno na terenie zajętej Rzeczypospolitej, jak i III Rzeszy. Wszystkich traktowano jednakowo. Dowodem na to jest historia pewnej kobiety, Niemki:

„Jedna z pacjentek niemieckich ze złamaną nogą krzyczała o ratunek, bo od bólu nie mogła wytrzymać, błagała gestapowca, by ją zastrzelił, na co gestapo zatkało jej usta, by nie mogła krzyczeć” (Szczepan Bednarek, pielęgniarz z Kościana).

Hitlerowcy zamordowali 534 pacjentem i pacjentów ze szpitala psychiatrycznego w Kościanie oraz ok. 2 500 chorych przywiezionych z zakładów niemieckich. Zbrodniarze myśleli, że nikt się o tym nie dowie. Robili wszystko, by dokładnie pozbyć się ofiar. Zwłoki posypywano wapnem palonym w celu szybszego rozkładu. Jednak wapno nie rozłożyło ani guzików, ani podejrzeń i domysłów świadków bacznie obserwujących wroga. Zbiorowe mogiły chorych w lesie pod Jarogniewiczami rozkopano wiosną 1944 roku, zwłoki wydobyto i spalono. Ankieta przeprowadzona po wojnie na wniosek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce oraz badania terenowe pozwoliły ustalić ponad wszelką wątpliwość istnienie następujących mogił zbiorowych w powiecie kościańskim: cmentarz przydydowski w Kościanie, na cmen-

tarzu Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie, w lesie Kurza Góra, kilka mogił w lesie Jarogniewice oraz groby w mieście Śmiglu. (Koniec)

KATARZYNA SZYMKOWIAK

Dokumentacja

Adamczak F., *Zeżnanie pielęgniarki Franciszka Adamczaka* [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Bednarek S., *Rok 1939-1940. Torturowe postępowanie wobec pacjentów tut. Wojewódzkiego Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie przez okupanta* [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Filipowicz T., *Wspomnienia*, [w:] zbiory prywatne Urszuli Chajęckiej.

Janasik S., *Zeżnanie p. Janasik Stefan, l. 40, urodzony w Wielgi pow. Wschowa, z zawodu leśny, niekarany sądownie* [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Kędzierski, *Zeżnanie pielęgniarki Kędzierskiego* [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Łukaszewski G., *Zbrodnie niemieckie w stosunku do umysłowo chorych w Polsce. Odczyt uzupełniający. Zbrodnie niemieckie w stosunku do umysłowo chorych w szpitalu Psychiatrycznym w Kościanie* [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Naskręt S., *Garść wspomnień okupacyjnych*, [w:] zbiory prywatne J. Zielonki.

Springel S., *Wspomnienia*, [w:] zbiory prywatne Katarzyny Szymkowiak, relacja ustna.

Wenski Cz., *Poniżenie i poniewierka*, Kościan 2004.

Zbierski H., *Sylwetki Rozstrzelanych Mieszkańców Ziemi Śmigiełskiej w 1939*, Śmigiel 2009.

Z katakumb wspomnień, Kościan 1946 - materiał zbiorowy opracowany przez Wydział Propagandy Powiatowego Komitetu Ekshumacyjnego w Kościanie.



7 listopada 1939 r. Zbrodniarze. Zbiorowe zdjęcie komando specjalnego policji bezpieczeństwa w Parku Miejskim w Kościanie.

W zbiorach Jerzego Zielonki

Zapomniany Profesor

W 1973 r. w korytarzu liceum odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą pamięci pomordowanych w latach 1939-45 profesorów i uczniów kościańskiego Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki. Zabrakło na niej prof. łaciny Ryszarda Goljasza. Także brak go na liście ofiar II wojny światowej zamieszczonej w wydanej w 1993 r. na 70 –lecie pierwszej matury monografii „Gimnazjum i Liceum w Kościanie w latach 1920-1993”. Zapewne jego nazwisko pominięte zostało na skutek tego, iż pochodził ze Śląska i w 1934 r., był w Kościanie bardzo krótko, powrócił w rodzinne strony, a nad Obrą nie miał żadnej rodziny. Poniżej przedstawiam krótki biogram Profesora.



Ryszard Goljasz – zdjęcie z legitymacji studenckiej. Fotografię udostępnił pan Jan Delowicz z muzeum w Żorach

Ryszard Goljasz (Goliasz) urodził się 24 II 1907 r. w Kleszczowie (obecnie przedmieście Żor) na Śląsku, w rodzinie Jakuba (rolnik) i Marii ze Słupików. Po ukończeniu 5 klas szkoły powszechnej w rodzinnej wsi w 1918 r. wstąpił do gimnazjum w Żorach, skąd przeniósł się do Państwowego Gimnazjum Klasycznego w Rybniku, gdzie też 18 VI 1926 r. zdał maturę. Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjął studia z filologii klasycznej na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego, które ukończył 7 XI 1931 r. otrzymując tytuł magistra filozofii. W międzyczasie, bo od VIII 1930 r. do IX 1931 r. odbył przeszkolenie wojskowe w Baonie Podchorążych Rezerwy Piechoty nr 7a w Jarocinie.

Bezpośrednio po powrocie z wojska rozpoczął pracę w Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Kościanie. Był nauczycielem łaciny. W 1934 r. wrócił na Śląsk i rozpoczął pracę w Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Katowicach. Był aktywnym działaczem działającej na Śląsku organizacji młodzieżowej Oddziały Młodzieży Powstańczej, pełniąc w niej m. in. funkcje wiceprezesa i skarbnika. Działał też w Zarządzie Okręgu Śląskiego Związku Rezerwistów. Ponadto był współredaktorem pisma młodzieży świetlicowej „Świetlica”, będącego kontynuacją pisma bezrobotnych „Świetliczanin”.

Władysław Sala, twórca i pierwszy prezes Oddziałów Młodzieży Powstańczej, przypominając po latach jego sylwetkę napisał, że „wyróżniał się ludzką życzliwością do współpracowników i uczniów, imponował znajomością języków – niemieckiego, francuskiego, angielskiego, łaciny i

greki”. W międzyczasie R. Goliasz odbył ćwiczenia rezerwy najpierw w 66 Pułku Piechoty (1932), a następnie w 56 Pułku Piechoty (1934 i 1936) jako dowódca plutonu. W opinii przełożonych był dobrze wyszkolony, umiał dowodzić plutonem, miał zmysł organizacyjny i duże zdolności wychowawcze. Na podporucznika rezerwy został mianowany ze starszeństwem od I I 1933 r.

W sierpniu 1939 r. został zmobilizowany prawdopodobnie do 56 Pułku Piechoty. W bliżej nieznanych okolicznościach dostał się do niewoli sowieckiej. Był osadzony w obozie jenieckim w Kozielsku. Wiosną 1940 został zamordowany w Lesie Katyńskim. Znajduje się na liście transportowej NKWD nr 025/2 z 9 IV 1940.

Ryszard Goljasz nie założył rodziny. Jego imieniem nazwano jedną z ulic w

Żorach. Jego nazwisko znajduje się też na pomniku w Żorach poświęconym policjantom i oficerom Wojska Polskiego z Żor. Także w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie poświęcono mu jedną z kilkunastu tysięcy tabliczek. W 2007 r. został awansowany pośmiertnie do stopnia porucznika przez Prezydenta RP ś.p. Lecha Kaczyńskiego.

ZENON JÓ•WIAK



Lubosz Stary. Luty 1933 roku. Wycieczka kościańskich gimnazjalistów i studentów. Prof. Goljasz pierwszy z lewej; pierwszy z prawej profesor Klemens Kruszewski. Fotografię udostępnił pan Jan Delowicz z muzeum w Żorach



Ppor. Tadeusz Nowak (1898 – 1942) na ORP „Bałtyk” – w cywilu.

W zbiorach rodzinnych mgra Jerzego Nowaka z Warszawy

Pseudonim „Rządca” (1)

Artykuł ten i przedstawione w nim wyniki badań archiwalnych mają swoją własną historię. W 2002 roku ochroniarz jednej z poznańskich instytucji bankowych - Jerzy Kąkolewski z Kościana wdał się z rozmową z klientem firmy Eugeniuszem Nowakiem. Dowiedział się, że ojciec pana Eugeniusza – Tadeusz jako oficer konspiracji wojskowej w 1940 roku skierowany został do Kościana, aby tam zorganizować tajną placówkę. Był księgowym w kościańskiej filii niemieckiej spółki Landwirtschaftliche Gauselbuchstelle Ost (zajmowała się prowadzeniem księgowości w zagrabionych przez okupanta majątkach ziemskich), zamieszkał przy ówczesnej Posenerstrasse w domu o numerze 31, w pokoju wydzierżawionym od mistrza piekarskiego Jana Zielińskiego. Wspomniany Jerzy Kąkolewski zdołał ustalić, że ów dom i piekarnia istnieją w Kościanie, w prawie niezmiennym kształcie, przy ul. Piłsudskiego 16, stanowią obecnie własność rodziny mistrza piekarskiego Ryszarda Czaplickiego, po czym skontaktował rodzinę Nowaków ze mną.

Okazało się dalej, że w Warszawie żyje drugi syn konspiratora, emerytowany ekonomista mgr Jerzy Nowak, absolwent Uniwersytetu Poznańskiego, wybitny działacz gospodarczy, długoletni delegat Polski w Międzynarodowej Organizacji Pracy i członek Zarządu Światowej Unii Ośrodków Informacyjnych w Londynie. On to właśnie – poszukując prawdy o ojcu - zgromadził liczne dokumenty i fotografie rodzinne. Szybko doszło do spotkania w Kościanie i podjęcia prac nad ustale-

niem biografii ppor. Tadeusza Nowaka ps. „Rządca”. Poza autorami tego opracowania w początkowej fazie poszukiwań archiwalnych uczestniczyli niezyskujący już: badacz dziejów oręża polskiego dr Piotr Bauer, regionalista i regionalista, żołnierz konspiracji, więzień polityczny gestapo i niemieckich obozów koncentracyjnych Auschwitz oraz Gusen - Marian Koszewski.

*

Punkt wyjścia do określenia miejsca i znaczenia bohatera tej książki w tworzeniu załączków konspiracji woj-

skowej w powiecie kościańskim stanowiły publikacje poznańskich historyków, które ukazały się drukiem do 2000 roku. Prof. dr hab. Edward Serwański („Wielkopolska w cieniu swastyki, Warszawa 1970) uznał Tadeusza Nowaka za twórcę i pierwszego komendanta Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) w powiecie kościańskim, pisząc m.in.:

„(...) Komenda Powiatowa NOW była zorganizowana również w Kościanie. Działała ona już od 1940 roku pod kryptonimem SN – Siły Narodowe. Or-

organizatorem i komendantem powiatowym był por. rez. 55 pułku piechoty Tadeusz Nowak. W skład komendy wchodził ponadto Edward Fabiańczyk, st. sierż. Skrzypczak oraz Kowalski (...)

Podając taką informację Serwański oparł się na dokumencie pt. „Organizacje Niepodległościowe z czasów okupacji na tutejszym terenie”, który po wojnie 15 października 1947 roku własnoręcznie spisał inspektor obwodowy (komendant) Armii Krajowej w Kościanie rtm. Leon Ciszak ps. „Cyryl”:

„(...) Siły Narodowe = SN. Czas zorganizowania od 1940r. przez członków i sympatyków przedwojennego Stronnictwa Narodowego. Istniały na tutejszym terenie do końca 1941r. względnie początku 1942r. Organizator i Komendant – Por. rez. 55 pp Nowak Tadeusz ps. „Gromada” – zatrudniony wtedy w Gaubuchstelle w Kościanie. Współorganizatorzy i członkowie Komendy Powiatu: Fabiańczyk Edward, st. sierż. Skrzypczak Józef i Kowalski(…)”.

Rotmistrz Ciszak był prawnikiem, działaczem narodowym, uczestnikiem kampanii wrześniowej 1939. Ranny w bitwie nad Bzurą, po pobyciu w szpitalu, wrócił do Kościana, a w czasie okupacji dowodził ogniwami AK w powiecie kościańskim. Aresztowany 27 czerwca 1944 roku – na skutek dekonspiracji Okręgu Poznańskiego AK – wraz z członkami kierownictwa obwodu, więziony był w obozie karno – śledczym w Żabikowie, po czym osadzono go w niemieckim obozie koncentracyjnym. Zbiegł w czasie transportu między obozami, wstąpił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a do Kościana, do żony i dzieci, wrócił ponownie w 1946 roku. Trudno jest dzisiaj ustalić, w jakim celu i dla kogo sporządził cytowany tu dokument. W każdym razie w odniesieniu do ppor. Tadeusza Nowaka informacje były nieprawdziwe, długo powielane przez historyków.

Wątpliwości co do jednoznaczności funkcji, jaką w konspiracji wojskowej spełniał ppor. Tadeusz Nowak, dwa lata po publikacji Serwańskiego, zgłosił mgr Bogusław Polak, obecnie prof. dr hab. (Południowo – zachodnia Wielkopolska w walce z hitlerowskim okupantem 1939-1945, Kościan 1972). Zwrócił on mianowicie uwagę na fakt,

że pierwsze ogniwa wojskowej konspiracji narodowców rozpoczęto tworzyć w Kościanie w końcu 1939 roku, a ppor. T. Nowaka skierowany został tam dopiero w sierpniu 1940 roku i to skierowany przez dowództwo poznańskiego okręgu Związku Walki Zbrojnej (ZWZ):

„(...) Inicjatywa emisariuszy ZWZ spowodowała utworzenie tu [to znaczy w Kościanie] pierwszych ogniw ZWZ, począwszy od Komendy Obwodowej. Nastąpiło to na przełomie 1940/1941r., dzięki kontaktom, jakie z Komendą Okręgową ZWZ w Poznaniu miał znany już nam ppor. T. Nowak. Pierwszą niepełną zresztą Komendę Obwodową w Kościanie tworzyli: rtm rez. Leon Ciszak, podchor. Jan Witkowski i podchor. Lech Kozłowski (...)”.

B. Polak odnosząc się do aresztowania 9 września 1941 roku ppor. Nowaka przez gestapo – w oparciu o relacje narodowców kościańskich – twierdził, że jednym z zadań, jakie otrzymał ppor. Nowak było podporządkowanie ogniw narodowej konspiracji Związkowi Walki Zbrojnej:

„(...) Była to ciężka strata, gdyż Nowak zamierzał doprowadzić do połączenia podległych mu ogniw z niedawno utworzonym na terenie powiatu kościańskiego Związkiem Walki Zbrojnej. Wychodził on ze słusznego założenia, iż tylko ścisła współpraca umożliwi efektywną pracę konspiratorów w warunkach nietypowych dla działalności podziemnej (...)”.

*

Ze Stronnictwem Narodowym (SN) długo wiązał Tadeusza Nowaka w początkowej fazie swoich badań nad konspiracją wielkopolską 1939-1945 znany historyk dr Marian Woźniak z Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Uważał on najpierw, że Nowak tworzył w powiecie kościańskim ogniwa Narodowej Organizacji Bojowej (NOB). Jednak dalsze dociekania, związane z opracowaniem „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej 1939-1945” (Poznań 1998), sprawiły, że M. Woźniak zweryfikował oceny i w 1991 roku pisał do Eugeniusza Nowaka m.in.:

„Informujemy, że dokonano wymaganych korekt w zakresie daty aresztowania i śmierci Ojca podporucznika czasu wojny Tadeusza Nowaka oraz jego związków konspiracyjnych z Kierownictwem Związku Odwetu. Niestety nie

udało się dotąd ustalić pseudonimu oraz przydziału organizacyjnego, przyjmuję ogólnie, że przez Czesława Surmę był skierowany jako referent Związku Odwetu do Kościana. Tym samym upada pojawiająca się w literaturze informacja o przynależności Ojca do SN – NOB”.

Czas pokazał, że był to właściwy trop. Ppor. Czesław Surma (1907-1943), poznański harcerz i działacz harcerski, podharcemistrz, przyjaciel twórcy wielkopolskiego skautingu Wincentego Wierzejewskiego, z zawodu księgowy, znał dobrze ppor. Tadeusza Nowaka. Surma zaprzysiężony został najpierw jako oficer w Sieci Dywersji Pozafrontowej (SDP), zorganizowanej przed wybuchem wojny przez Oddział II Sztabu Generalnego WP, w końcu 1939 roku związał się w Poznaniu ze Służbą Zwycięstwa Polski (SZP), by w kwietniu 1940 roku na polecenie wielkopolskiego dowództwa SZP zorganizować Związek Odwetu (ZO). Nie ulega wątpliwości, że działalność konspiracyjna ppor. T. Nowaka wiąże się właśnie z Czesławem Surmą, a organizacyjnie kolejno z SDP, SZP ZO i ZWZ. Jednym zdaniem – ppor. Tadeusz Nowak przybył do Kościana jako oficer Związku Walki Zbrojnej i od niego bierze początek organizacja w powiecie kościańskim struktur ZWZ.

Współpracowaliśmy na niwie naukowej z śp. dr. Marianem Woźniakiem przy opracowywaniu „Encyklopedii Konspiracji Wielkopolskiej 1939 – 1945” – dzieła, którego mogą nam zazdrościć inne regiony Polski. Zajmowaliśmy się mianowicie (z prof. Bogusławem Polakiem i śp. dr. Piotrem Bauerem) wyborem i weryfikacją haseł, dotyczących południowo-zachodniej Wielkopolski. Biogramu ppor. Tadeusza Nowaka nie ma we wspomnianej encyklopedii, choć napisałem go według stanu ówczesnej wiedzy, po dłuższych dyskusjach ze znanymi poznańskimi historykami. Miał wejść do drugiego znacznie poszerzonego wydania, ale nagła śmierć dr. Woźniaka przerwała prace zespołu, a materiały przygotowane przez niego do wznowienia encyklopedii uległy rozproszeniu. (cdn)

JERZY ZIELONKA



Szkolny obraz św. Stanisława Kostki znajduje się w kaplicy Pana Jezusa.

Fot. (2x) A. Buxakowski

Z redakcyjnej poczty

Kto usunął św. Stanisława Kostkę ?

Odwiedziliśmy ze Zbyszkim [Wielgoszem – dop. red.] Kościan 28 marca 2008 r. Kiedy fotografowałem Go (prof. Zbigniewa Wielgosza) przy wejściu do Naszej Szkoły skierowałem też aparat w górę chcąc jeszcze utrwalić ozdobne zwieńczenie barokowego portalu. Wtedy ogarnęło mnie zdumienie. Po tylu latach spod warstw farby nałożonej jak sądzę w latach okupacji, a zachowanej w czasach PRL-u, wciąż prześwituje nie dająca się zatrzeć pierwotna inskrypcja umieszczona tam prawdopodobnie

w roku 1928, kiedy to zakończono budowę i szkoła otrzymała swego patrona. Treść inskrypcji mimo pewnych braków z łatwością dająca się odczytać jest następująca: Państwowe Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki.

Podobnie jak trwale średniowieczne freski odkrywane przy konserwacji zabytków, tak ta inskrypcja wyłaniając się spod warstw farb wniknęła w tynk i nie pozwala się usunąć. Powinna więc być pieczołowicie konserwowana jako fragment zabytku trwale związany z tym gmachem i jego pięknym barokowym

portalem. Niechaj nadal przypomina wszystkim wchodzącym do gmachu, a także przechodniom, że pierwszym patronem szkoły był św. Stanisław Kostka.

Odkrycie tego napisu skłoniło mnie do zastanowienia się: Kiedy św. Stanisław Kostka przestał być patronem Naszej Szkoły? Spotkać można różne opinie na ten temat:

Tadeusz Jąder sformułował opinię najdalej idącą, lecz częściowo mijającą się z prawdą: „(...) Liceum w okresie powojennym nie miało swojego patrona. Sprawę rozstrzygnięto w 1966 r., gdy po gorących dyskusjach ustalono nową nazwę szkoły(...)”¹ Tymczasem pod zamieszczoną w tej samej monografii reprodukcją obrazu św. Stanisława Kostki jest inna informacja: „Św. Stanisław Kostka – patron Gimnazjum i Liceum w Kościanie do 1949 roku.”² Inne sformułowanie: „(...) problem przywrócenia przedwojennego imienia Św. Stanisława Kostki Liceum Ogólnokształcącemu w Kościanie(...)”³ Jeszcze inne: „(...) Do 1948 r., w szkole patronował św. Stanisław Kostka. Później szkoła nie miała patrona, dopiero w 1966 r. wybrano Oskara Kolberga, który po dziś dzień patronuje szkole(...)”⁴ Inny cytat: „W dłuższym fragmencie swego wystąpienia (Zygmunt Roszak – przyp. autora) nawiązał też do dawnego patrona szkoły, którym był (do 1950 r.) św. Stanisław Kostka”⁵

Inskrypcja na odsłoniętej we wrześniu 2004 roku w Naszej Szkole tablicy pamiątkowej św. Stanisława Kostki upamiętniającej okres jego patronatu mówi jeszcze inaczej: „W latach 1928-1948 patronem Gimnazjum i Liceum w Kościanie był św. Stanisław Kostka”. W przemówieniu na uroczystości odsłonięcia tej tablicy Pani Dyrektor mówi zdecydowanie: „... spotykamy się, aby poświęcić i odsłonić tablicę upamiętniającą fakt, że w latach 1928-1948 Patronem Naszej Szkoły był święty Stanisław Kostka...”⁶

Także wypowiedzi kilku uczestników tej uroczystości świadczą, że zgadzają się oni z tezą postawioną im przez dziennikarza szkolnego „Oskara”, iż faktem jest: „że w latach 1928-1948 Patronem naszej szkoły był św. Stanisław Kostka...”

Jest to po części zrozumiałe wobec powszechnie znanej reformy szkolnictwa zmieniającej charakter

szkoły, co miało miejsce właśnie w 1948 roku, jednak przekształcenie szkoły nie musiało być równoznaczne z pozbawieniem szkoły jej patrona. Jak napisano w „Informatorze”: „(...) Z dniem 1 września 1948 r. Gimnazjum i Liceum przekształcone zostało w państwową 11-letnią Szkołę Ogólnokształcącą stopnia podstawowego i licealnego...”⁷⁾ Jednak nie spotkałem żadnej informacji wskazującej na materiał źródłowy lub inny oficjalny dokument, stanowiący o tym że św. Stanisław Kostka przestał być w tym momencie patronem szkoły. Być może dokument taki istnieje, jednak dlaczego nikt go nie powołał? Nieznany jest również autor decyzji pozbawiającej szkołę jej patrona (jeśli taka decyzja zapadła) – a szkoda.

Tak się złożyło, że moje spotkanie z Naszą Szkołą nastąpiło właśnie w 1948 roku. Rozpocząłem naukę od klasy dziewiątej, a zakończyłem ją

nie opieczętowane okrągłą pieczęcią z napisem: „Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie”.

Inne wydarzenie świadczące o obecności patrona w szkole. Otóż jeszcze w latach 1949/50, starsze klasy z okazji święta patrona szkoły 13 listopada przygotowały inscenizację z życia św. Stanisława Kostki. W inscenizacji brali udział m.in. Marian Bajon, Kubicki i Michał Turno.

Pamiętam też inny fakt – obraz św. Stanisława zdołał uleże jeszcze na początku lat 50-tych ub. wieku. Wtedy to z inicjatywy księdza prefekta Ksyckiego kilku uczniów wśród których był mój starszy brat Mieczysław Buxakowski pewnego jesiennego wieczoru przeniosło obraz ze szkoły do kościoła Pana Jezusa. Czy ksiądz prefekt działał z własnej inicjatywy czy też miał może ciche przyzwolenie dyrektora Wybieralskiego, trudno mi

roku, gdyż jeszcze w dniu wydania mego świadectwa dojrzałości tj. 29 maja 1951 roku, patronem szkoły zgodnie z treścią najważniejszych pieczęci Naszej Szkoły był wciąż św. Stanisław Kostka.

Tą nazwą z pieczęci: „Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie” posługując się też zawsze określając ukończoną szkołę średnią, w której zdawałem maturę w 1951 roku.

**ANDRZEJ BUXAKOWSKI
POZNAŃ**

Przypisy

1) Gimnazjum i Liceum w Kościanie w latach 1920-1993; praca zbiorowa; Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie; Kościan 1993.

2) Tamże

3) Liceum i Stowarzyszenie w latach 1993-2003.



Fragment świadectwa z 1949 roku z opisującą pieczęcią

maturą w 1951 roku. Przez cały ten okres, najpierw pani dyrektor Jadwiga Kreutzinger, a później pan dyrektor Józef Wybieralski, co pół roku, począwszy od 29 stycznia 1949 r. świadectwem, a więc oficjalnym dokumentem z urzędową pieczęcią przypominali mi, że patronem Naszej Szkoły jest wciąż św. Stanisław Kostka. Ostatni z tych moich dokumentów to świadectwo dojrzałości wystawione w dniu 29 maja 1951 roku, dwukrot-

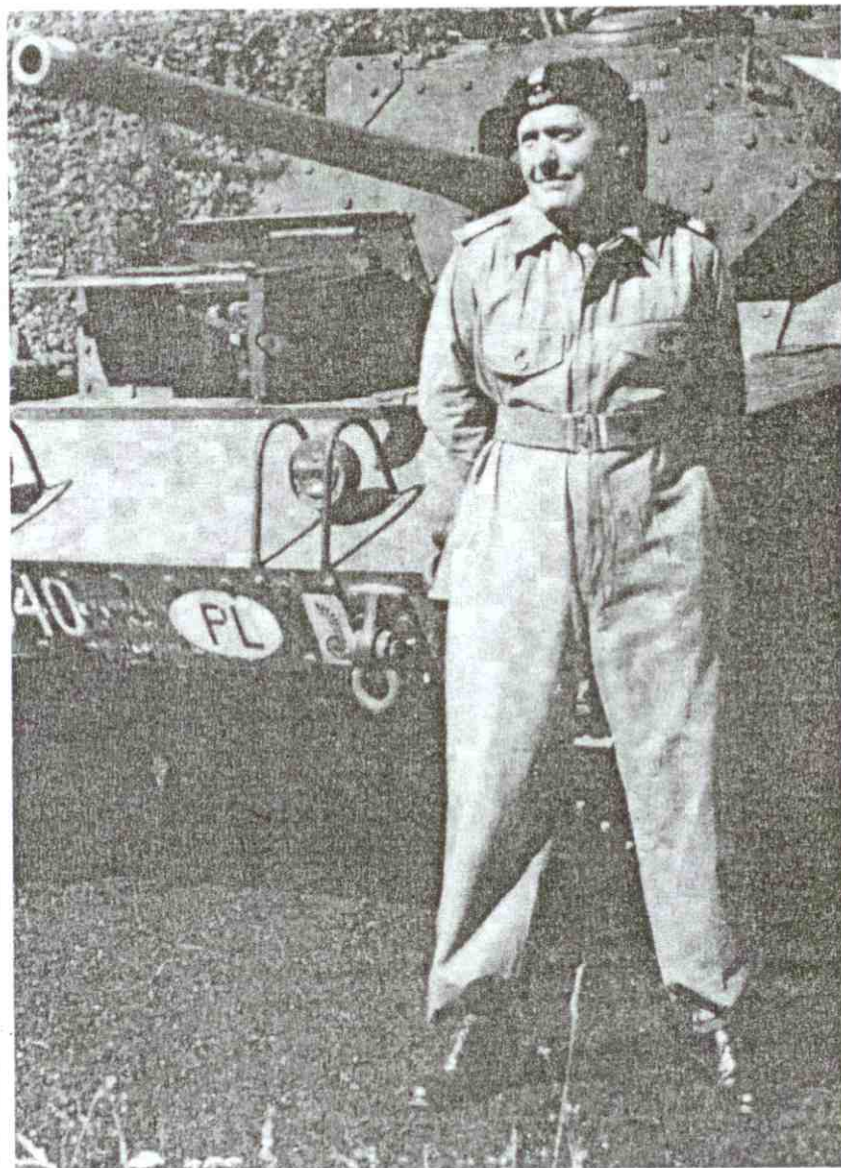
powiedzieć. Wiadomo jednak, że w ten sposób uniknięto konfiskaty obrazu. Władza w PRL-u przyjmowała wówczas coraz ostrzejszy kurs w stosunku do Kościoła i groźba konfiskaty była realna. Po wyprowadzeniu obrazu ze szkoły św. Stanisław Kostka był nadal naszym Patronem i nie wiem, kiedy przestał nim być, bowiem po maturze przez wiele lat nie miałem kontaktu ze szkołą. Jednak moim zdaniem musiało się to stać dopiero po 1951

4) Informator Liceum Ogólnokształcącego im. Oskara Kolberga w Kościanie na rok 1993/94; Stowarzyszenie Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie; Kościan 1993.

5) Sprawozdanie ze Zjazdu Koleżeńskie-go 16 października 1993; Kościan 1994.

6) OSKAR Pismo I Liceum Ogólnokształcącego im. Oskara Kolberga w Kościanie; Nr 1 2004/2005.

7) Gimnazjum i Liceum w Kościanie w latach 1920-1993...



Gen. Stanisław Maczek (1892 – 1994).

Ze zbiorów p. Stefana Baluka z Warszawy)

Pamięci generała Maczka

3 października 2012 r. Senat Rzeczypospolitej Polskiej podjął uchwałę w sprawie ustanowienia października 2012 r. miesiącem Pamięci Generała Stanisława Maczka (1892-1994). Rok 2012 r. jest to najlepszy czas do upamiętnienia postaci tego wybitnego dowódcy Wojska Polskiego, gdyż 31 marca minęła 120 rocznica Jego urodzin, a miesiąc wcześniej 70 lat od sformowania w Wielkiej Brytanii I Dywizji Pancernej. Generał broni Stanisław Maczek zasłużył się w historii oręża polskiego działalnością niepodległościową.

On, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, filozof i filolog, został powołany w czasie I wojny światowej do armii austriackiej, walcząc jako oficer w elitarnych formacjach wysokogórskich. I wtedy związał swoje dalsze życie z wojskiem. Już od listopada 1918 r. służy w Wojsku Polskim, bierze udział w wojnie z Ukraińcami o Lwów i w wojnie polsko-bolszewickiej (1919-20). Odznaczony został po raz pierwszy Orderem Wojennym „Virtuti Militari” V klasy oraz Krzyżem Walecznych. W okresie międzywojennym pełnił służbę na różnych stanowiskach dowódczych.

W 1938 r. objął dowództwo 10. Brygady Kawalerii, pierwszej całkowicie zmotoryzowanej jednostki w Wojsku Polskim. W 1939 r. na czele 10. Brygady bierze udział w walkach z przeważającymi siłami wroga na południu Polski, stawiając czoło niemieckiemu XXII Korpusowi Pancernemu. 19 września po ataku Sowieców na Polskę przekracza granicę węgierską, kończąc walki w obronie Polski i nie dając się pobić Niemcom. W uznaniu wybitnych zasług w dowodzeniu 10. Brygadą Kawalerii w kampanii polskiej 1939 r., Naczelny Wódz awansował S. Maczka na stopień generała brygady.

Po internowaniu na Węgrzech przedostał się do Francji i tam na nowo formował 10. Brygadę Kawalerii Pancernej. W kampanii francuskiej, w czerwcu 1940 r., na czele 10. Brygady Kawalerii Pancernej toczył zwycięskie walki z Niemcami. Po kapitulacji Francji przedostał się w przebraniu Araba do Maroka, a stamtąd przez Portugalię do Wielkiej Brytanii. W październiku 1940 r. gen.

bryg. Stanisław Maczek otrzymał za walki we Francji z rąk Naczelnego Wodza Order Wojenny Virtuti Militari Krzyż IV klasy.

Od 1942 r. przystąpił do organizowania 1. Dywizji Pancerniej w oparciu o żołnierzy i oficerów walczących pod jego komendą w Polsce i we Francji. 1. Dywizja Pancerna pod jego dowództwem przystąpiła do walk 1 sierpnia 1944 r. biorąc udział w inwazji Normandii we Francji. Przez cały okres walk gen. Stanisław Maczek dowodził dywizją, która odegrała

Przypominając postać Generała nie sposób nie wspomnieć o Jego żołnierzach wywodzących się z Ziemi Kościańskiej. Dotychczas udało się ustalić, że pod Jego rozkazami służyli: wachm. podch. Edward Bilon (* 7 XII 1920 Sierakowo † 29 III 1998 Kościan), kapr. Józef Boiński (* 24 III 1919 Kościan † 1 X 1944 Zondereigen), kapr. Antoni Firlej (* 14 X 1914 Czacz † 7 III 2000 Śmigiel), chor. Florian Górecki (* 6 VI 1902 Wielichowo † 4 VIII 1944 Quesnay – Potigny), plut. podchor. Władysław Kmiecko-

okolicznościowa. Obrady otworzył dyrektor muzeum Dariusz Kram, sesji przewodniczył red. Jerzy Zielonka. Sylwetkę generała przybliżył Zenon Józwiak z Instytutu im. Gen. Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie, o kościana-kach – „maczkowcach” mówił regionalista Jan Pawicki; a ciekawy wykład o kobietach, towarzyszących I Korpusowi przedstawiła dr Joanna Witkowska z Uniwersytetu Szczecińskiego. Zebrani obejrzeli interesujący film dokumental-



Grób Generała w Bredzie.

Ze zbiorów p. Zenona Józwiaka w Lesznie

pierwszoplanową rolę w bitwie pod Falaise, zdobyła Abbeville, Saint-Omer, Cassel we Francji, Ypres i Gandawę w Belgii, Antwerpię (wspólnie z Brytyjczykami) i samodzielnie silnie bronioną Bredę w Holandii, kończąc swój szlak bojowy w Wilhelmshaven w Niemczech. W 1945 r. gen. S. Maczek otrzymuje po raz trzeci Order Wojenny „Virtuti Militari” - Krzyż Komandorski (III klasy). Od maja 1945 pełnił obowiązki dowódcy I Korpusu Polskiego w Szkocji. Po rozformowaniu w 1947 r. Wojska Polskiego pozostał na uchodźstwie. Został pozbawiony przez komunistyczne władze obywatelstwa polskiego. Zmarł w Edynburgu 11 grudnia 1994 r., pochowany został wśród swoich żołnierzy w Bredzie w Holandii. W 1992 r. odznaczony został przez Prezydenta RP Orderem Orła Białego. Jest autorem książki: *Od podwoły do czołga. Wspomnienia wojenne 1918-1945.*

wiak (* 13 V 1903 † 25 II 1962 Kościan), st. strzel. Czesław Lempaszyk (* 7 IV 1915 Dienslaken † Czempin ?), ppor. Antoni Majchrzak (* 26 II 1902 Zbęchy † 8 VIII 1945 Werpelech), plut. Zenon Michalski (* 20 XII 1920 Wielichowo † 12 III 2005 Margate), kapr. Wincenty Naleziński (* 23 III 1908 Żółków k. Jarocina † 29 X 1980 Poznań), kapr. Leon Owsiany (* 28 IX 1913 Kielczewo † 9 X 2002 Melbourne). Więcej informacji i fotografie można znaleźć w pierwszym numerze „Kościańskich Zeszytów Muzealnych”.

ZENON JÓZWIAK JAN PAWICKI

*

„Generał Stanisław Maczek i jego Kościańscy Pancerniacy” – pod takim tytułem odbyła się w Kościanie 9 listopada 2012 roku sesja popularna, której towarzyszyła wystawa

o generale Maczku. Sesja i wystawa stały się okazją do promowania nowego wydawnictwa periodycznego – pierwszego numeru „Kościańskich Zeszytów Muzealnych”. W uroczystościach, które wpisują się w obchody Święta Niepodległości, uczestniczyli uczniowie, członkowie rodzin żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz przedstawiciele władz powiatu i miasta ze starostą Andrzejem Jęczem i burmistrzem Michałem Jurgą. W czasie sesji podkreślano zasługi długoletniego dyrektora kościańskiego muzeum śp. dra Piotra Bauera w badaniach dziejów oręża polskiego. Organizatorami byli: Muzeum Regionalne w Kościanie, Instytut im. Generała Stefana „Grota” Roweckiego w Lesznie; patronat sprawował Burmistrz Miasta Kościana. (blud)

WIERSZE

Zaduszki na Łyczakowie

Pamięci gen. T. Rozwadowskiego poświęcam

Orlęta wstać! Na rewję zjeżdża sam generał!...
Przeznite wieka trumnisk chicho zaszemrały,
długie rzędy mogiłek ożyły, zadrgały,
pacholąt rojem zagnała zaludnił się cmentarz
i w milczącym ordynku stanęły Orłęta.
Przybył wódz. Bez orszaku był, bez adiutantów,
łyszczących jasną luną srebrnych akselbantów
i bez ułańskiej wiary porporczyków szumnych.
- Prezentuj broń!
W bezruchu zamarły kolumny,
zalsniły w księżycowej poświacie bagnety.
Wódz się sparł na ułamku strzaskanej lawety
I poglądał na druhów zgasłemi oczyma.
- Dzieciuchy! Orły młode! Przecz-że was już niema
Śród żywych?... I już nigdy wołania Ojczyzny
w grobach nie posłyszycie. Garść jeno zgnilizny
ostała z was chłopaki!...
Wstrząsł się szereg niemy:
- Wodzu! jak potrza będzie i z mogił wstaniemy...

BOGUSŁAW JEZIORSKI

**) Autor był prawnikiem, wybitnym działaczem narodowym,
współpracownikiem kościańskiej „Gazety Polskiej” w czasach II RP.*

Wróżba

Garnitur i buty czarne
kupił ojciec do trumny
Rodzina nie rozumie,
matka się złości
pomieszało się Olkowi w głowie.
On co zawsze z życiem w przyjaźni lecz na bakier,
Milczy.
Doczekał wojny,
przepowiedzianej przez dziada wróżbitę,
na stole pół litra,
cena przyszłości
Karty zagrały do wyboru
miłość lub żonę i gromadę dzieci
Sprawdziło się co do joty
I tylko śmierć z kart i ojca zdrwiła.
Znienawidzony garnitur czekał w szafie
Dziesięć lat za wcześniej.
17 września 2006 rok

TERESA MASŁOWSKA

**) Autorka jest dziennikarką „Wiadomości Kościańskich”*

Poezja Eugeniusza Wachowiaka

5.

Najczęściej czuję w kościach
to czego nie lubię
Czasem więc nos mam w kościach
jak prawdziwy pies
Węch to nie byle jaki
lepszy od przyrządów
bo te się zepsuć mogą
lub zgubić napięcie
Czuję w kościach brak poczty
lub obcięcie premii
zawód miłosny czuję
i pochwał brak też
Pomyślmy więc drodzy o tym
czy dobrze wyczuwać
i przez to żyć przeczuciem
no i faktem też

8.6.1964

11.

Igraszki słowne
cenniejsze są
od obiegowych dowcipów
Próżnując w hamaku
dostrzegam ich wartość
Z rozmysłu kuję
własne fotografie
tak złożone jak obraz
kładący się na krzyż
Będzie w tym coś świeżego
bajka stupudowa
albo bujda spod Czortków
lub może spod Wschowy
Próżnując w hamaku
dostrzegam i zesa
co patrząc ku ziemi
do mnie okiem mruga

7.6.1964

15.

Drażą się sprawę zwykle rano
Ranne sprawy są zawsze
najbardziej udane
przez świeżość sędziowskiej ławy
Argumentacja temu sprzyja
która przed godziną piętnastą
zamienia się w głośne
poburkiwanie kiszek
Ferowanie wyroku bywa wtedy
przyprawione nadmiernym
wydzielaniem kwasów
i bezdennej czczości
Wierząc jednak emblematom
i powadze woźnych
można przyjąć
że te co prawda wewnętrzne
antybodźce
nie potrafią zakłócić
właściwego trybu załatwiania
sprawy
zgodnie z literą i sumieniem

19.6.1964

21.

Ja mam do pana prośbę
Proszę wniosek ten przyjąć
poza kolejnością
Symfonie pastoralne
nie mogą już czekać
w zwyczajnej kolejności
matek zasłuchanych
Oto miałby pan pretekst
Stawić więc można wino
czajnik i kanapki
pod lepszych głów interes
i pod tę muzykę
A tam grają organy
organy hamonda

12.6.1964

EUGENIUSZ WACHOWIAK

*) Wiersze pochodzą z tomiku „Korniki dnia.
Wiersze wschowskie A.D. 1964”, wydane w Pozna-
niu w 2009 r.

Kowboje, Apasze, Mormoni

(III)

Pisarz Adam Tomaszewski, Honorowy Obywatel Miasta Kościana, patron naszej biblioteki publicznej, przemierzał Stany Zjednoczone Ameryki. Owocem jego podróży są reportaże o historii USA w XIX i XX wieku opublikowane w książce „Kowboje, Apasze, Mormoni”. Oto wybrane fragmenty.

W uliczkach Vieux Carre

Od fortepianu przypluwa nostalgia. Po szybach toczą się grube krople deszczu. Bura Mississippi okryła się mgłami i dymami. Nie tak wyobrażaliśmy sobie „Ojca wód” – „Man River”, rzekę piratów, szulerów, awanturników. I grzesznych, uwodzicielskich dziwożon. Ale i od rzeczywistości odgradza owa melodia. Pasuje jakoś do tego baru w staromiejskiej dzielnicy Nowego Orleanu. Przypomina muzealne sale, gdzie ogląda się krynoliny i stare koronki, kapelusze z pleureusami, pojedynkowe pistolety i szpady, kolekcje tureckich cybuchów, stare karoce i wasagi. I łatwo już – znad brzegów czasu, który dla każdego pokolenia był jakąś „belle epoque” – wywoływać dawno przebrzmiałe sprawy.

Tylko patrzeć jak zjawi się piękna Kreolka z azaliami we włosach, „kruchy kwiat południowej kobiecości”. I postawi przed nami pułkarki z zielonym, lodowatym płynem, ugarniowanym po wierzchu listkami mięty „Mint julep”. Jest! Brak jej azalii we włosach, ale to nie azalie winne, że cały nastrój diabli wzięli. Dziewczyna jest wysoka, fantastycznie zbudowana, czarne włosy opadają na ramiona, strone piersi a la Sylva Koscina, kubraczek osypany cekinami, spódniczka zaledwie okrywa biodra. I jeszcze długie nogi w futerale pończoch „w kratkę”, podniebieszczone powieki, grube kresy brwi, rzęsy uwydatnione tuszem. I jeszcze uśmiech – obietnica. Odchodzi z wolna, falowanie, wibrowanie,

każdy ruch to koncesja dla obserwujących zewsząd męskich oczu. Nie zamówiliśmy żadnego „Mint julep”, nie pasowało! Zresztą – bądźmy szczerzy – z nastrojem czy bez nastroju, to zwykle paskudztwo.

I znowu słońce. Anemiczne, z trudem przedzierające się przez opar. Dymią nasiąkłe wilgocią mury, opalizują dachy, ogrody, jezdnie, markizy, szyldy, chodniki czyli „banquettes”. Nowy Orlean paruje jak wielka cieplarnia. Wszędzie tu wokół woda. Płynie i stoi na miejscu. Zastała, zgniła, rojąca się od mikroorganizmów. Nadmiar wody rodzi pleśń i grzyb rozkładający budowlę, wilgoć patynuje tynki, odnosi się wrażenie, że wszystko w tym mieście wiekowe i starożytne chociaż najstarsze domy pochodzą zaledwie z końca 18 wieku. Codzienne deszcze poją tłustą ziemię z której wystrzela bujna jak nigdzie roślinność. Niktę gdzie indziej krzewiny tutaj wyrastają jak drzewa, biorą domy w zaborcze ramy, okrywają stare mury, na cmentarzach rozsadzają grobowce.

Wzdłuż Canal Street od półtora wieku grodząca stare i nowe miasto, od półtora wieku oddzielająca Jankesów od latyńskiego świata – oscylują codzienne tutejsze sprawy. W okolicach ulicy Kanałowej i jej przecznicy zarabia się na życie po sklepach, biurach, bankach, hotelach, agencjach, spożywa codzienne posiłki, załatwia interesy, wsiada do autobusu odwożącego do domu w podmiejskich dzielnicach. Dzisiejszy mieszkaniec Nowego Orleanu niewiele ma już wspólnego z kreolską, romantyczną przeszłością. Przeważa masa

przybyszów z wielu stanów, pokolenia emigranckie z silnymi akcentami włoskimi i niemieckimi, najnowsza migracja złożona co najmniej z tuzina różnych narodowości, stapiającą się na wspólną sztancę amerykańizmu.

Od pierwszych lat istnienia dominowała latyńska moralność, specyfika uczulenia i bodźców zmysłowych, pogańskie dziedzictwo śródziemnomorskich kultur, gloryfikacja grzechów ciała. Luter i Kalwin nigdy tu nie dotarli, pozostali w głębi purytańskich twierdz Pensylwanii i Nowej Anglii. Katolicki Nowy Orlean odwracał się ze wstrętem od ascezy, moralizatorstwa, umartwień – wolał taniec, trunki, rozkosze stołu, wolał kochać kobiety wszystkich odzieni skóry i wyżywać się w nigdy nie kończącym karnawale.

W wielu miastach tego kontynentu ludzie przechodzą obok siebie obojętnie, właściwie wcale się nie widzą. Natomiast tutejsza ulica to teren obserwacji. Nie tej natrętnej, właściwej małym miasteczkom świata, usiłującej ustalić natychmiast „A to chto?” Podobnie jak w Meksyku, zaciekawienie mijanym przechodniem układa się na tradycyjnej platformie zafascynowania odrębną płcią. Mężczyźni starają się pokazać dobre maniery, odwieczną tu galanterię i rycerskość wobec kobiet, równocześnie oglądają je okiem znawców i rozbiegają wzrokiem. A kobiety? W Nowym Orleanie „nice girls” nie mówią na temat seksu, chociaż Seks (przez dużą literę!) dominuje w ich życiu. Ubierają się nie po to by ukryć kształty ale by pokazać je w możliwie atrakcyjny sposób.

W sercu tutejszego mężczyzny miejscowa dziewczyna ma wybitną przewagę nad rywalką z północy. Najładniejsza, najlepiej „ułożona” panna z Nowego Jorku czy Filadelfii, nie ma żadnych szans w konkurencji z „little thing” z lokami, z dołczkami na buzi, głupim cielątkiem, ale z „dobrej rodziny”, ale z Nowego Orleanu. W tym mieście panuje wszechwładnie wnuczka Scalett O’Hara.

*

Stare Miasto najlepiej oglądać po deszczu, późnym popołudniem, kiedy rozjaśniają się kolorami obmyte tynki, kiedy słoneczna poświata owija się wokół balkonów, artystycznych krat, żelaznych ornamentów odrzwi, wykuszów, krużganków. I zaraz pośród zachwytów, dopada mieszanina straszliwych zapachów. Cuchnie w zaułkach kotami, grzybem, wilgocią, uryną, przerażający smród idzie od góry niesprzątanych śmieci, bliżej rzeki aż wierci w nozdrzach od specyficznych zapachów doków i pobliskiego „marketu”: smoła, liny okrętowe, gnijące odpadki owoców i jarzyn, rozkładająca się ryba. Czasem wionie kojąca fala – jak chanel neutralizujący niemłą aurę od dawna niepranej odzieży – palona kawa, słód od pracujących w pobliżu browarów, kwietne oddechy od patio i ogrodów. I tak na przemian. Brzydota i piękno. Wzruszenie przeżycia i odraza.

Wędruje się mrocznym skrótem, gdzieś na tyłach sławnej uliczki, ogląda z osłupieniem liszaje murów, rany cegieł, rudery obstawione beczkami, skrzyniami rupiecia, blaszankami z odpadkami. I naraz przez kratę w murze, przez okienko w ogrodzeniu – otwiera się widok na zalane słońcem patio. Kolumny, kunsztownie gięte desenie balustrad, dawniejsze kwatery niewolników, kwietne plamy, drzewa bananowe i figowe, fontanna sypiąca deszcz srebrnych kropel. Uliczki Decatur, Chartres, Bourbon, Dauphine, Burgundy, Rampart, Basin – Stare Miasto, Vieux Carre, „Voo Curare” w miejscowej wymowie. Kolebka miasta. Stąd poszła sława i osława.

Początek dała... Kanada i Kanadyjczycy. Nie śpieszyło się możliwym ówczesnego świata do władztwa nad ogromnym krajem Luizjany, kryjącym Bóg wie jakie bogactwa. Rozumiemy jeszcze Hiszpanów, mieli coraz większe trudności ze swoim imperium, zapo-

mnieli o całym świecie kiedy stanęli w obliczu bogactwa Azteków i Inków. Ale Francja? Ale Anglia? Pierwszy połapał się prezydent Jefferson i Stany Zjednoczone kupiły od Napoleona ogromny kraj, za tanioczę, za głupie piętnaście milionów.

Ale to znacznie później. Na razie zaczął się dopiero wiek osiemnasty. Od Wielkich Jezior, trasami wybitymi w puszczy przez coureurs de bois, tropami wielkiego La Salle’a, przypląnęła z dalekiego Quebecu wyprawa przedsiębiorczych braci, panów Iberville i Bienville. Iberville założył Biloxi, Bienville – Nowy Orlean. Imiona odkrywców kontynentu amerykańskiego żyją do dziś w nazwach miast, gór, rzek, jezior, przeciętny turysta odwiedzający po raz pierwszy Nowy Orlean dowiaduje się o jego założycielu z... karty menu. Kiedy zamawia w tutejszej restauracji ostrzygi a la Bienville.

Nad dziką rzeką zakwitły Fleurs de lis, królom Francji przybyła nowa prowincja Luizjana. Zadbają o nią akurat tyle co o dziedzictwo Champlaina i Frontenaca na północy – z niedbałym gestem odrzuci Francja dwa złote jabłka Kanadę i Luizjanę. Pochwycają je inni skwapliwie. Po kilku latach tutejsze życie z wolna nabiera rozmachu i rumieńców. Coraz wydatniej pracują zakonnicy i zakonnice z Quebecu, przybywa ludzi, zbiera się pierwsze plony, pojawiają się kupcy, nie ma już obaw, że na miejscu opuszczonych ludzkich siedzib, rozpleni się puszczka na nowo. Potrzeby jednak wciąż są duże. Bez przerwy gubernator śle do Francji listy żądające ludzi, okrętów, zaopatrzenia. Skarży się również na brak białych kobiet w Nowym Orleanie, jakże kolonia może się rozwijać bez kobiet? Zatoskanym doradcom królewskim podsuwa ktoś szczęśliwą myśl. Przecież prefekt Paryża trzyma w zamknięciu ze setkę kobiet wiadomej kondyty, są z nimi kłopoty, dlaczego nie uszczęśliwić poddanych w dalekiej, sprawiającej ciągle kłopoty Luizjanie?

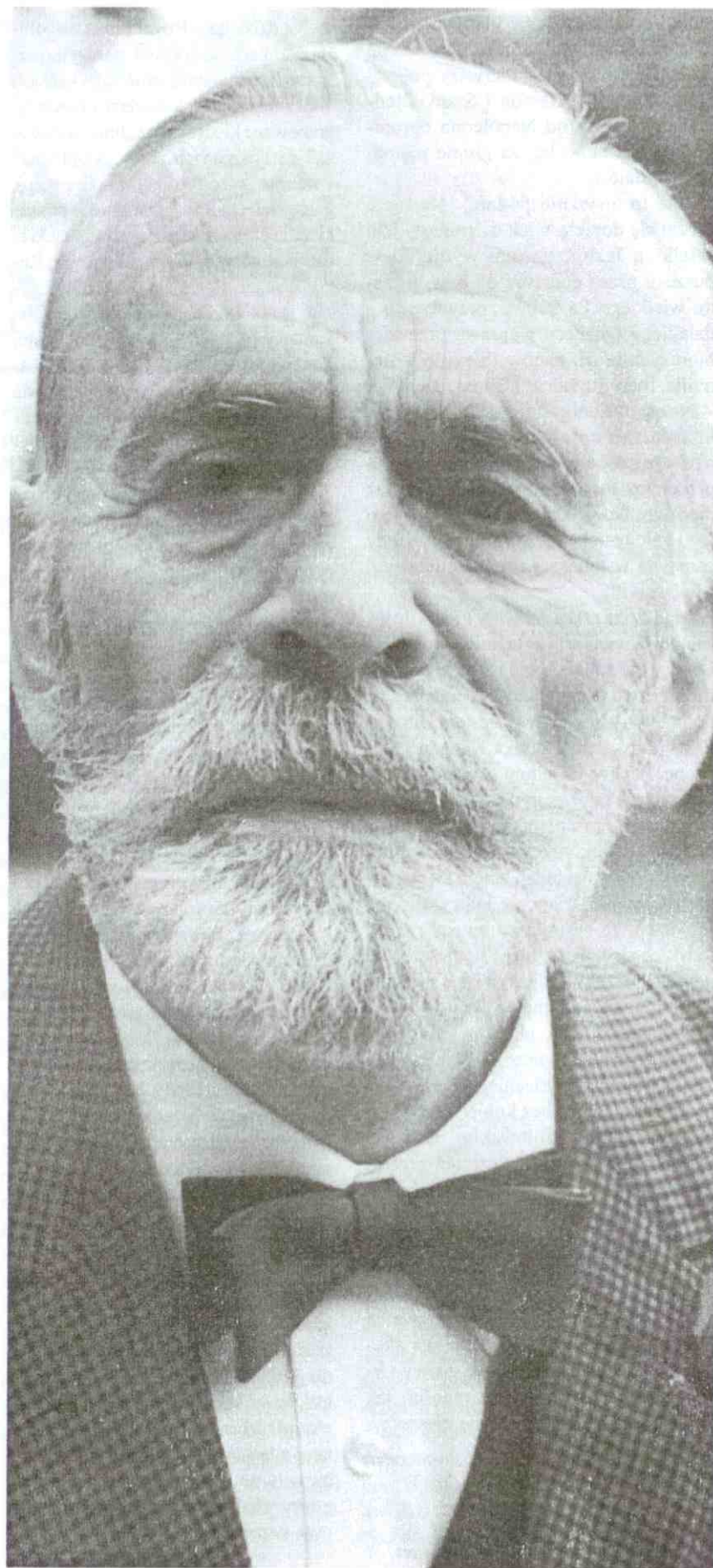
Czwartego marca 1721 przybywa 88 byłych „magdalenek” pod opieką akuszerki Madame Sans-Regret. Nowy Orlean pije, tańczy, szaleje z radości. Jak się okazało, było z czego się cieszyć: Marie, Tonnette i Suzy, Julie, mała Lucette, Na ulicy Royal Założyło „wesoly domek” Pod dyrekcją Madame Sans-Regret.

Na dzisiejszej Royal Street osiedlili się handlarze antyków i starożytności. Sprzedaje się starą broń, afrykańskie włócznie i maski, kordelasy i maczety, zrabowane kiedyś przez „braci wybrzeża” na Hiszpanach złote „doobloons” i srebrne „pieces of eight” stare mapy i okrętowe „charty”, skwapliwie poszukiwane przez zbieraczy pamiątki z kreolskiego okresu, Wojny Domowej, Rekonstrukcji. Porcelanę, kryształ, srebra, łóżka z baldachimami, żyrandole, kandelabry, figurki, kielichy do tokaju, zastawy do nalewek, serwisy z niezapominajkami. Dla znawcy niewątpliwie teren fascynujących łowów, amator-entuzjasta pada najczęściej ofiarą chytrego pośrednika i sprzedawcy.

Oryginalne kreolskie antyki od dawna znajdują się w muzeach i zbiorach prywatnych. Czasem trafia na rynek nieco autentyków wykupywanych z rąk członków starych rodzin, u schyłku życia utrzymujących się z resztek dawnych splendorów. Fama największego rynku antyków w Ameryce niewątpliwie ugruntowana jest transakcjami które zawarto, odkryciami które jednak się trafiają. Kreole, swego czasu najbogatsi ludzie Ameryki, podróżowali dużo po świecie. Z wojaży przywozili przedmioty sztuki i wszelki bric a brac [bibeloty – dop. red.]. Pełno tego po plantacjach. Jak i starych, stylowych mebli i wczesnych Americana, które przywędrowały w te strony z dobytkiem „Pensylwania Dutch”, czyli Niemców przybywających na początku 19 wieku by osiedlić się w bajecznej Luizjanie.

W czasach biedy i upadku po Wojnie Domowej kiedy bogaci niegdyś plantatorzy wyprzedawali się często kompletnie, bezcennie z punktu widzenia zbieracza przedmioty, trafiały za grosze najpierw do handlarza rupieci, później w ręce kupca-antykwarusza. Cnotliwe turystki, bogobojne starsze panie z wypiekami na twarzy zachwycające się wielkimi łożami, „oryginalnymi Seignoureatmi” z mahoni i palisandru, szafami z podwójnymi lustrami (jedno dla gentlemana, drugie dla jego damy) toaletkami, sekretkami, stylowymi miedziankami i dzbanami, porcelanowymi kwiatami a la Madame Pompadour – zaniemówiły ze zdumienia i zażenowania gdyby wiedziały o źródle skąd przyszły owe wspaniałości. (Koniec)

ADAM TOMASZEWSKI



Święty jaguar

Pomijam szczegółowy opis małej wioski pod Vera Cruz. Przyjaciel, który tamtędy przejeżdżał i któremu zawdzięczam powstanie tego opowiadania, rozwdził się szeroko nad atmosferą panującą w tych stronach, gdzie upał, kurz i jednostajność krajobrazu stwarzały specyficzne tło dla losów ludzkich, w gruncie rzeczy podobnych do tych, jakie spotyka się wszędzie. Tu może tylko mogły się wydawać bardziej beznadziejne w zagubionej na brzegu lasów ubogiej wiosce meksykańskiej. Suche krzewy rozpoczynały się tuż za wsią, zrazu pojedyncze, niepostrzeżenie przechodząc od zarośli i osobno stojących palm do coraz gęstszego lasu tropikalnego. A nad tym wszystkim niebo bez chmurki, zaciągnięte upalną szarością, oddzielające ludzi od dalekiego, nieznanego świata.

Przymusowy, krótki postój spowodowany małym defektem w aucie sprawił, iż poznał tajemnicę Helen. Jej namiętna spowiedź i jakieś zasadnicze wątpliwości, które w końcu wyszeptła, jakby szukając rozpaczliwie ratunku, sprawiły wrażenie, że czekała na takie spotkanie, że było jej ostatnią szansą.

Siedzieli więc owego wieczoru na ławce koło jej izdebki. Lekki powiew przynosił fale gorącego powietrza, pozostałość po upalnym dniu. Ona w czarnej, przybrudzonej sukni, wyprostowana, wpatrzona w dal, gdzie właśnie wschodził wielki, czerwony księżyc. Koncert cykad dźwięczał monotonię, nieustająco.

Jej piękne wyrzeźbione rysy. Zacięta, smagła twarz Metyski. I tylko te ogromne niebieskie oczy, jakich tu się nie spotyka. Sama nie wiedziała, jak to się stało, że go zaraz zaprosiła proponując skromny posiłek, a teraz otwarcie i bezwstydnie otwiera po raz pierwszy zamknięty świat swych przeżyć. Zamiast zdaw-

kowych szeptów dorocznej powie-
dzi przez kratę konfesjonau, w dale-
kiej wsi parafialnej. Niezrozumiana i
nie rozumiejąca.

Zaczęło się to jeszcze we wcze-
snym dzieciństwie. Chciała być taka,
jak inne. Opuszczała wzrok, by nie
rzuciła się w oczy ta największa od-
rębność, której nie mogła ukryć, a co
najwyżej zakryć powiekami. Ale spoj-
rzenie spod długich rzęs i uśmiech,
którym usiłowała pokryć zmieszanie,
też ich drażniły, specjalnie kobiety.
Padały ciche, z naciskiem wymawia-
ne, obelżywe słowa, o których wie-
działa, że dotyczą się i jej, i w jakiś spo-
sób nieżyjącej już dawno matki, któ-
rej nie znała. Smutne miała dzieciń-
stwo i coraz bardziej zamykała się w
sobie widząc, że nie potrafi żyć się z
otoczeniem.

Okres dorastania przysporzył
dziewczynie jeszcze cięższych prze-
żyć. Jej uroda budziła zazdrość i zra-
żała rówieśnice, a jeszcze bardziej ich
matki. Rezerwa wobec chłopców nie
pomagała. Przeciwnie, odrzuceni,
tworzyli jednolity front niechęci, za-
zdrości i pragnienia poniżenia jej za
tę odrębność, w której dopatrywali
się irytującej wyższości. Tylko młody
sąsiad Miguel, niezrażony obo-
jętnością, asystował jej nieśmiało i
skrycie, bo i przed rówieśnikami nie
chciał się zdradzić w obawie, że go
wysmieją. Bezradność spojrzeń, któ-
rymi ją czasem śledził, mówiły jej o
tej niechcianej adoracji. Helen wie-
działa, że coś się wreszcie musi zda-
rzyć. Sytuacja była zbyt napięta i
męcząca. Czekala cierpliwie.

Wszystko to mówi monotonnym
głosem jednym tchem, ale teraz za-
trzymuje się na chwilę. Widać, ile ją
te zwierzenia kosztują. Patrzy na słu-
chacza. Nagle rumieni się. Spuszcza
powieki. Mówi wolniej, chaotycznie,
z przerwami, rzucając nieśmiało spoj-
rzenia w jego stronę. Zwierza się jed-
nak dalej...

Jak prawie co dzień, tak i owego
dnia poszła do lasu za wążem oka-
lającym wieś od strony dżungli. Stał
tam ukryty wśród krzewów kamienny
ołtarz w ruinie, starożytna świę-
tość, wizerunek Huasteckiego Jagu-
ara. Był to jej święty, ukochany od
dzieciństwa, piękny i zrozumiały. Nie

tak jak ten daleki, w zbudowanym
przez Hiszpanów kościele. Modliła
się więc. O cud wyzwolenia od życia
i świata niechcianego. Czasem płaka-
ła stęskniona, wąpiąca, że rzeźba
do niej przemówi, że jest martwa i
można ją tylko uwielbiać. Ale tego
dnia, gdy odwróciła się myśląc już o
powrocie, przyszedł do niej. On,
wcielenie rzeźby, wspaniały Jaguar.
Upadła na kolana i złożywszy ręce jak
do modlitwy, zaczęła wpatrywać się
z uwielbieniem w oczy swego bóst-
wa. Oczy jaguara, żywe i okrutne,
stawały się coraz większe. Nie czuła
strachu. To było przecież owo wy-
modlone wyzwolenie. Spuściła głowę.
Czekała. Chciała, by to już się
stało, ale bóg nie przychodził. Zmu-
siła się do spojrzenia. Jaguar patrzył
na nią znów tylko kamiennym wzro-
kiem. A więc skazał ją na dalsze życie.
Wśród ludzi.

Kiedy z powrotem znalazła się na
skraju wąwozu, jej oczom ukazał się
zdumiewający widok. Liczni wieśniacy
uzbrojeni w drągi i maczety. Nie-
którzy krzycząc patrzyli jeszcze w dół
wąwozu, ale większość gapiała się na
nią. Zdumieni, a może nawet strwo-
żeni. Pokazywali sobie gestami kie-
runek biegu jaguara. To, że idzie ku
nim żywa, było nie do pojęcia. A więc
wyszło na jaw, że ma do czynienia z
nieczystymi mocami. Trzeba to opo-
wiedzieć proboszczowi. Trzeba ją
poddąć egzorcyzmom. Może najpro-
ściej byłoby tu na miejscu. Chyba
tylko wyraz jej twarzy powstrzymał
tłum.

W następnych dniach zauważono,
że jakby się odmieniła. Z dawnej re-
zerwy nic nie pozostało. Stawała się
jedną z nich. Zaczęła nawet wyraź-
nie sprzyjać Miguelowi. Jego rodzi-
ce nie byli początkowo zachwyceni,
ale widząc, jak on jest szczęśliwy,
zezwolili na obrządek zaślubin. W
wiosce zdarzało się i młodszym dziew-
czynom wychodzić za mąż. Nigdy
dostyć dzieci. Przecież tak mało ich
przeżywa. Tak zawsze było i tak wi-
docznie być musi...

Helen westchnęła znowu.

Prowadziła więc gospodarstwo i
rodziła dzieci. I nawet nie bardzo pa-
mięta, ile ich było, bo większość
umierała. Mąż rychło przestał ją ko-

chać, mimo iż bardzo dbała o nie-
go i okazywanie uczuć, w które nie
chciał wierzyć. Przejrzał ją i robił
się coraz bardziej ponury, aż
wreszcie znienawidził. Kiedyś wy-
piwszy dużo wypomniał, że go ni-
gdy nie kochała i tylko z litości
wyszła za niego. Nie było się cze-
go wypierać. Gdy chciała zaprze-
czyć, uderzył ją. Rychło potem
zmarł w czasie wielkiej zarazy. Te-
raz żyje samotnie. A po chwili do-
dała:

- Życie mi się nie udało i uciecz-
ka od niego też nie. Ale dlaczego
przegrałam nawet wtedy, gdy prze-
życie owego dnia zbliżyło mnie do
ludzi. Czyżby w ofierze mojej był
jakiś fałsz? A może wszystko jest z
góry wyznaczone i losu zmienić już
nie można?

Za wążem nie chodzi, bo Święty
Jaguar to dla niej już tylko martwy
kamień.

- Pan radzi pójść do księdza? –
spytała po dłuższym milczeniu. –
Kiedy ja już nie mam nic do ofiaro-
wania...

Tyle zapamiętał. Zrobiło się
chłodno. Koguty piał. Bezwiednie
ujął ją za rękę. Drgnęła, ale nie
cofnęła swojej.

JERZY BRYKCZYŃSKI

*) Opowiadaniem „Święty jaguar”
żegnamy jego Autora - działacza
niepodległościowego i pisarza
doktora Jerzego Brykczyńskiego.
Był człowiekiem szlachetnym,
emanował kulturą osobistą. Wydał
drukami cztery tomy opowiadań.
Publikował w prasie emigracyjnej,
a także w naszych wydawnictwach
lokalnych, w tym w „Wiadomościach
Kościańskich”, „Zmianach
Nadobrzańskich” i „Gazecie Ko-
ściańskiej”. Zmarł 22 X 2012 roku
w Choryni, pochowano Go w Ko-
mornikach. Wieczny odpoczynek
racz Mu dać Panie.

Fot. Dr Jerzy Brykczyński (1916
– 2012). Zdjęcie udostępnił mgr
Kazimierz Ratajczak z Kościana .



Złota wieża, w której magazynowano złoto. Fot. Teresa Masłowska

Korespondencja z Sewilli

Hiszpańska karawana

Sewilczyków już dawno nie dziwią durni turyści, którzy w największy upał snują się uliczkami i pstrykają aparatami fotograficznymi. Wzorem mieszkańców postanawiamy zatrzymać się i zjeść w tapas barze.

Na wakacjach w Portugalii tuż przy granicy z Hiszpanią nie zastanawiamy się wiele nad możliwością zwiedzenia stolicy Andaluzji Sewilli. Miasta flamenco i corrido, przyjaznych Hiszpanów i wiekowych zabytków. Niezbyt wczesną porą, ale wciąż zaspani, stawiamy się przy hotelu o słusznej nazwie Vasco da Gama. Wita nas pełen werry Portugalczyk Wiktor, który będzie naszym przewodnikiem. A skoro jedziemy do Hiszpanii, na poczekaniu a capella śpiewa utwór Jima Morrisona „Spanish Caravan”, w której ten wokalista i poeta opowiada o marzeniu o Portugalii i Hiszpanii. O polach pełnych zboża, które chciałby jeszcze raz zobaczyć, o wietrze, który miota

galeonami zagubionymi w morzu, o czekających na niego złotych górach Hiszpanii. Czy Jim Morrison był w Hiszpanii i Portugalii, nie wiem, ale właściwie nastroszeni czujemy, że przed nami niezapomniany dzień. Nie wiem jeszcze, że jak Jim Morrison za tęsknię za Hiszpanią i Portugaliją.

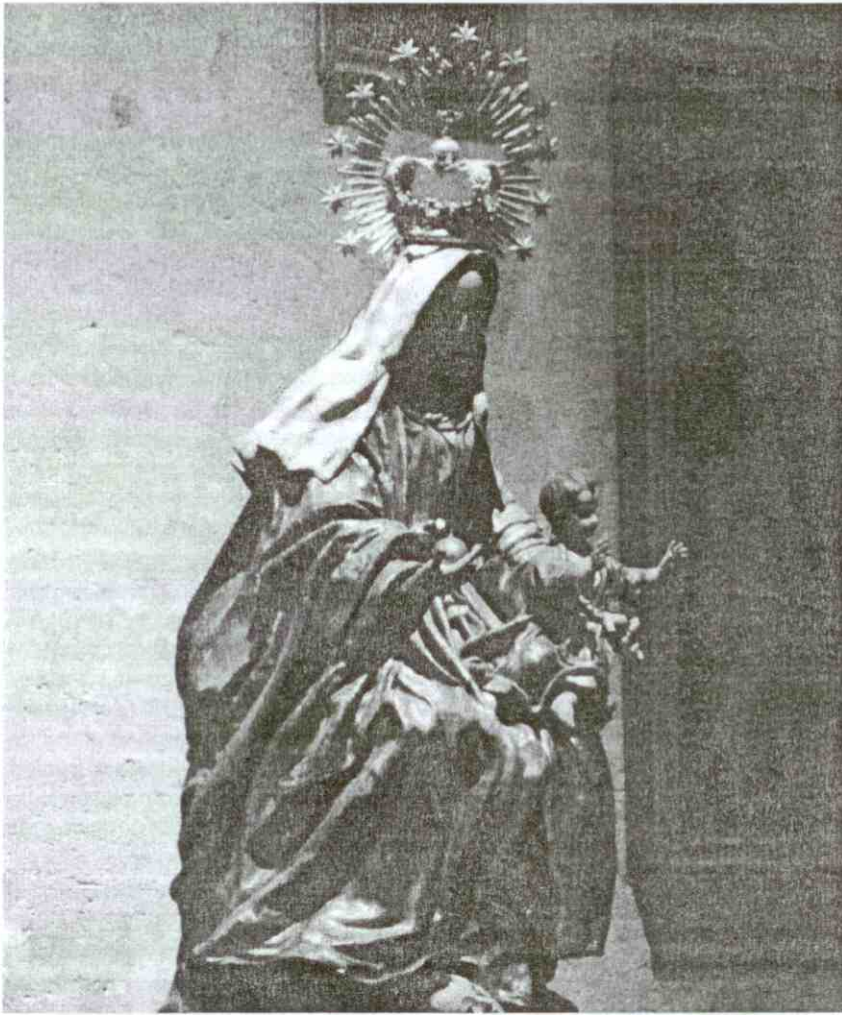
Nad Rio Grande - Wielką Rzeką zabieramy się na statek, by z wody przywitać stolicę Andaluzji. Wypływamy spod Torre del Oro - Złotej Wieży, nazwanej tak złotawych płytek, którymi była oklejona, ale głównie to od złota skradzionego w koloniach, które tam składowano. Po odkryciu Ameryki Sewilla stała się jednym z najbogatszych miast hiszpańskich, jeśli nie europejskich, ponieważ właśnie tam składowano zdoby-

te lupy. Okazała wieża stanowiła także część systemu obronnego Maurów, którzy na kilka wieków zawładnęli Półwyspem Iberyjskim.

Uliczni sprzedawcy wskazując na słońce namawiają do kupna „sombros”. Na dźwięk tego słowa, z głupia frant, przypominają mi się amerykańskie westerny. Widzę Gregory Peckę w kowbojskim sombrero, stojącego na szeroko rozstawionych nogach z rękami przy koltach. Za chwilę sięgnie po rewolwer. Póki co, płyniemy podziwiając stojące przy rzece białe i kolorowe kamieniczki, kawiarnie, dawne i nowe mosty zbudowane na Expo 1992, z którego Hiszpanie są wciąż bardzo dumni.

Po godzinie statek dobija do brzegu. Wsiadamy. Być w Sewilli i nie zobaczyć największej w świecie gotyckiej katedry, to jak być w Rzymie i nie widzieć papieża zapewnia Wiktor, prowadząc nas do świątyni. Od progu wchodzących wita figura Jana Pawła II. W Hiszpanii papież Polak wciąż cieszy się dużym szacunkiem. Monumentalność, liczba kaplic i ołtarzy przyprawiają o zawrót głowy, a przewalające się tłumy zwiedzających, nie pozwalają na doświadczenie obecności Absolutu.

Wędruję od kaplicy do kaplicy, nagle od bocznych drzwi sunie ku mnie żalobny orszak. To symboliczny grób Krzysztofa Kolumba, którego prochy podobno spoczywają na Dominikanie. Nie mogę oderwać wzroku od dostojnych postaci czterech władców Andaluzji z trumną na ramieniu zastygłych w powolnym marszu. Ani srebrny, ani złoty ołtarz z siedemdziesięcioma kilogramami złota zrabowanymi w Ameryce Południowej nie zrobią na mnie takiego wrażenia. Katedrę wzniesiono w miejsce dawnego meczetu. Jeszcze trzeba wspiąć się na dzwonnice, która Arabom służyła za minaret. Brak schodów, bo muezin wjeżdżał na górę na koniu i stamtąd wzywał wiernych do modlitwy. Kiedy już wdrapię się na szczyt, wiem że było warto. Przede mną rozpościera się panorama na Sewillę, z jej białymi domami i czerwonymi dachami. Nie dziwię się, że tak wysoka wieża pełniła także rolę obserwatorium. Na dziedzińcu przy katedrze ogród pomarańczowy. Kolejna pozostałość po Arabach, których panowanie przy-



solami, z których co chwila sący się chłodząca mgiełka. Kiedyś w grudniowe, zimowe dni podziwiałam w paryskich kawiarniach spływające z markiz ciepłe powietrze, które w zimny dzień pozwalało delektować się kawą na tarasie. Ale tortilla popijana kieliszkiem białego schłodzonego wina na tarasie sewilskiej knajpki z orzeźwiającą rosą spływającą na rozpalone głowy, to po prostu raj. Zapytany później o żydowską dzielnicę Wiktor kiwa głową. - Hiszpańska inkwizycja przegnała ich kilka wieków temu. Poza nazwą nie pozostało śladu.

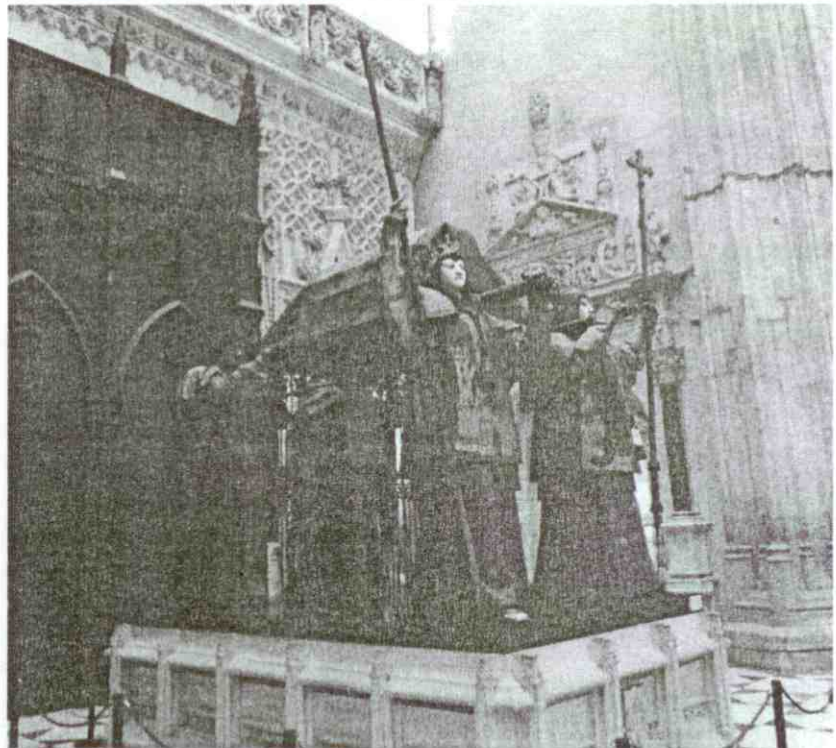
Krótki pobyt w Sewilli nieubłagane dobiega końca. Jeszcze podziwiamy luksusowy hotel Alfonsa XIII, w którym zatrzymywały się takie sławy, jak: Ernest Hemingway, Orson Welles, Audrey Hepburn czy Michaił Gorbaczow. Rzut oka na pawilony krajów z całego świata pozostałe po wystawie światowej i zegnamy miasto Casanovy i Cervantesa - twórcy najbardziej romantycznej i zwirowanej postaci literackiej - Don Kichota.

TERESA MASŁOWSKA

Figurka Matki Boskiej w sewilskiej katedrze. Fot. Teresa Masłowska

czyniło się do kulturalnego i gospodarczego rozwoju półwyspu. Podobno w samej tylko Sewilli zasadzili kilkanaście tysięcy tych drzew.

Opuszczamy katedrę zderzając się z napierającym upałem. Szukamy Jewish Quarter - dzielnicy żydowskiej. Według wszelkich wskazówek na niebie i informacji Hiszpanów docieramy w końcu do tej zabytkowej dzielnicy, ale nie dostrzegamy tam oznak żydowskiej bytności. Żydowskie czy nie, wąskie, kolorowe uliczki z mnóstwem sklepów, kawiarni i restauracji warte są zwiedzania nawet mimo gęsniejącego upału. Sewilczyków już dawno nie dziwią durni turyści, którzy w największy upał snują się uliczkami i pstrykają aparatami fotograficznymi. Wzorem mieszkańców postanawiamy więc zatrzymać się i zjeść w tapas barze. Niestety, te oblegane przez miejscowych, są już co do jednego zajęte. Na jednym ze spokojniejszych placów znajdujemy bar z para-



Symboliczny grób Krzysztofa Kolumba.

Fot. Teresa Masłowska



Zabytkowy rynek w Nowym Jičynie

Piękno Beskidu Śląsko-Morawskiego

Jak każdego roku, w maju grupa studentów sekcji turystycznej Kościańskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku wyruszyła na kilkudniową wyprawę. Tym razem jej celem była mała miejscowość Ostravice położona w Beskidzie Śląsko-Morawskim w Czechach.

Już podczas przejazdu w stronę granicy polsko-czeskiej ciekawych wrażeń dostarczył krótki postój w Głubczycach. Podróżnicy zwiedzili tam gotycki kościół pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny z II połowy XIII wieku, imponujący wielkością i bogactwem wyposażenia oraz ratusz – tu ciekawostka – odbudowany zupełnie niedawno, bo w pierwszych latach XXI wieku. Po „popasie” turyści przekroczyli granicę i pojechali do Nowego Jičína. Tam zwiedzili ciekawą starówkę i zabytkowy zamek, w którym szczególną uwagę zwróciła ogromna kolekcja kapeluszy i innych nakryć głowy. Zwiedzający mogli wykonać sobie pamiątkowe zdjęcia z eksponatami na głowie. Późnym popołudniem pierwszego dnia wycieczki turystów powitał ośrodek wypoczynkowy Šipkova Ručenka w Ostravicach, gdzie była usytuowana baza wyprawy.

Drugi dzień wycieczki rozpoczął się od śniadania, po którym grupa pojecha-

ła do miejscowości Hranice, gdzie zwiedziła Zbrašowską Aragonitową Jaskinię. Jest to jedyna udostępniona w Czechach jaskinia pochodzenia hydrotermalnego. Jaskinia słynie z unikatowych nacieków: stalagmitów, aragonitowych „krzaczków” oraz przypominających lukrowane pączki powłok ścian. Niżej położone partie jaskini wypełnia zabójczy dla człowieka dwutlenek węgla. W celu zapewnienia bezpieczeństwa idącym trasą prowadzącą przez jaskinię zamontowano specjalne czujniki, które po wykryciu zwiększonej obecności CO₂ uruchamiają pompy oczyszczające atmosferę jaskini. Po pokonaniu jaskini kościaniacy kilometrowym spacerem pod górę osiągnęli górny poziom Hranickéj przepaści – najgłębszej przepaści w Czechach – 289,5 m.

Trudy wędrowki po jaskini i wspinaczki na Hranicką Propost studenci powetowali sobie wjeżdżając przy wspaniałej, słonecznej pogodzie, wyciągiem krzeselkowym z Trojanovic na Pustevny. Tam po-

witały ich Libušin i Mamenka – przepiękne budowle w stylu ludowym zbudowane według projektu słowackiego architekta Dušana Jurkoviča w 1899 roku. Oba budynki zostały na przełomie XX i XXI wieku wspaniale odnowione i stanowią zabytek narodowej kultury Czechów. Dušan Jurkovič urodził się w 1868 roku w miejscowości Tura Luka na pograniczu Słowacji i Moraw w patriotycznej słowackiej rodzinie. Studiował w latach 1884 – 1888 w Wiedniu. W jego projektach znajdowało odbicie zamiłowanie etnografii, kultury i sztuki ludowej. Zajmował się między innymi projektowaniem cmentarzy poległych w I wojnie światowej, przebudową, rekonstrukcją i restauracją obiektów zabytkowych, tworzeniem nowoczesnych konstrukcji (wille, urzędy, banki, pomniki), kompleksów turystycznych, jak np. budynki kolei linowej na Łomnicę w Tatrach. Nie sposób wymienić setek jego projektów, które do dnia dzisiejszego funkcjonują i budzą podziw. Zmarł w 1947 roku w Bratysławie. Wrazenia z pobytu w Pustevnych pozostaną na pewno na długo w pamięci uczestników wycieczki. Po powrocie do Ostravice i zjedzeniu posiłku (typowe dla Czechów: vepřo, knedlo, zelo – pieczeń wieprzowa, knedliki i zasmażana kapusta) czekała ich niespodzianka – przygotowane przez gospodarzy ognisko z pieczeniem kielbasek.

Kolejny dzień wycieczki rozpoczął się od przejazdu do Rožnova pod Radhostem. Celem wizyty w Rožnovie było zwiedzenie jednego z największych i najstarszych (rok utworzenia – 1925) skansenów w Europie. Składa się on z trzech części: drewnianego miasteczka, wioski wołoskiej i młyńskiej doliny. Zgromadzono tu wiele oryginalnych budowli przeniesionych z bliższych lub dalszych okolic. Na zwiedzających największe wrażenie robi fakt, że poszczególne obiekty (młyn, tartak, kuźnię, folusz itd.) można oglądać w działaniu – obsługa uruchamia wodny napęd i demonstruje pracę maszyn.

Kolejnym punktem programu wycieczki było zwiedzanie Muzeum Techniki Tatra w Kopřivnici. To właśnie w tym mieście został w 1897 roku wyprodukowany pierwszy samochód osobowy w Europie Środkowej – Präsident. Tak rozpoczęła się era słynnej fabryki Tatra. W jej muzeum można się poddać czarowi znanych na całym świecie samochodów, które zawsze były dumą czeskiego przemysłu. Na zwiedzających czeka tu ponad 60 zabytkowych pojazdów. Samochody ciężarowe, luksu-

sowe limuzyny oraz samochody „dla ludu”, jakie jeszcze do niedawna mknęły po drogach całego świata, można podziwiać w nowoczesnym muzeum, którego częścią jest też ekspozycja poświęcona słynnym sportowcom – mieszkańcom Kopřivnicy – „czeskiej lokomotywie” Emilowi i Danie Zatopkom. Dodatkową atrakcją była możliwość obejrzenia wystawy obrazów Karla Gotta, którego uczestnicy wycieczki do tej pory kojarzyli z zupełnie innym rodzajem działalności artystycznej.

Z Kopřivnicy jest bardzo blisko do bałtyckiego miasteczka Štramberk. Wyssoko nad pochyłym štramberskim ryneczkiem wznosi się jeden z symboli regionu, wieża o nazwie Truba, pozostałość pierwotnego zamku Strallenberg. Romantyczną formę nadał jej na początku XX wieku renomowany architekt Kamil Gilbert. Dziś Truba służy jako wieża widokowa, z której można podziwiać ten bajeczny zakątek Moraw. To na nią wspięli się uczestnicy wycieczki. Štramberk słynie też z produkcji unikatowego przysmaku – w tutejszych ciastkach znanych jako štramberskie uszy z pewnością można się rozsmakować. Z uszami wiąże się następująca legenda. W roku 1241 Tatarzy napadli na Morawy. Chrześcijanie z całej okolicy uciekli na wysoką skałę Kotołcz i chowając się tam za rowami i wałami bronili przed najeźdźcą. W sukurs napadniętym przyszła pogoda – w wyniku obfitych opadów deszczu położone nad tatarskim obozem stawy wypełniła po brzegi woda i zalała Tatarów. A kiedy mieszkańcy Štramberka przeszukiwali zalany tatarski obóz znaleźli skórzane worki pełne ludzkich, osolonych uszu, które Tatarzy obcinali chrześcijanom, aby pochwalić się chanowi, jak wielu wrogów pokonali. Do dzisiaj na pamiątkę tamtych wydarzeń wypiekane są štramberskie specjały w kształcie uszu o korzenno-piernikowym smaku.

Po zakupieniu uszu uczestnicy wycieczki wrócili do Ostravicy, gdzie po kolarcji czekała na nich kolejna atrakcja: wieczór muzyczny w stylu evergreen – oldies party. W główne role – wokalistów światowej klasy – wcielili się pracownicy ośrodka: Lucie Zapletalova i Karel Kučera. Absolutnym hitem wieczoru okazała się czeska wersja „Małgoški” Maryli Rodowicz w brawurowym wykonaniu pani Lucie.

I tak nadszedł ostatni dzień wyprawy... Po smacznym śniadaniu pożegnaliśmy gościnne Ostravice i wyruszyliśmy w odwrotną drogę do domu. Nie był to jednak jeszcze koniec programu wyjazdu. Poje-

chaliśmy do Terlicka, gdzie 11 września 1932 roku w wypadku lotniczym zginęli polscy piloci Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura. Pod koniec lat dwudziestych XX wieku młodzieńcze polskie lotnictwo przeżywało burzliwy rozwój. Piloci sportowi i wojskowi, konstruktorzy lotniczy wyrastali na narodowych bohaterów. W tym czasie w Europie najbardziej prestiżową imprezą lotniczą, skupiającą uwagę milionów, były Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych, zwane po francusku Challenge International de Tourisme. Pierwsze dwie imprezy z tego cyklu w latach 1929 i 1930 wygrali niemieccy lotnicy, którzy w sierpniu 1932 roku na swoim podwórku chcieli zwyciężyć po raz trzeci i zdobyć puchar zawodów na własność.

Plany te pokrzyżowała im polska załoga. To właśnie F. Żwirko i S. Wigura wyszli zwycięsko z próby prędkości, wyprzedzając ścigających ich Niemców o 83 sekundy. Zgromadzona na lotnisku w Berlinie stutysięczna publiczność musiała uznać wyższość polskich lotników lecących na polskim samolocie RWD-6 i wysłuchać Mazurka Dąbrowskiego. Na lotnisku mokotowskim w Warszawie na powrót zwycięskiej załogi czekało ponad 100 tysięcy ludzi. Tłum porwał lotników i niósł ich na ramionach. Bohaterowie przestworzy stali się bożyszczami całego narodu. Jeszcze w Berlinie Żwirko obiecał biorącym udział w zawodach czeskim pilotom, że we wrześniu przyleci do nich na święto lotnictwa. Podczas lotu do Pragi „erwudziak” wpadł w burzę, stracił skrzydło i runął na ziemię. Obaj członkowie załogi zginęli. Na miejscu katastrofy stoi pomnik

z sylwetką Ikara na cokole dłuta czeskiego rzeźbiarza. Aby oddać hołd bohaterom przestworzy, zapaliliśmy znicz u stóp poświęconego im pomnika.

Ostatnim punktem wycieczki było zwiedzanie pałacu w Hradcu nad Moravicami. Już w XI wieku w miejscu słowiańskiego grodu powstał tu zamek, który Przemysław Otokar II przebudował na reprezentacyjną siedzibę. Właścicielami pałacu aż do roku 1945 byli Lichnowscy z Vostic i Werdenberga, którzy nadali mu obecny wygląd. Główny obiekt to klasycystyczny pałac, do którego w XIX wieku dobudowano Czerwony Pałac i monumentalną Białą Wieżę. Właściciele pałacu słynęli z zamiłowań muzycznych – wielokrotnie gościli u siebie takie znakomitości jak Ludwig van Beethoven, Piccolo Paganini, Ferenc Liszt i Wolfgang Amadeusz Mozart. Wycieczkowicze obejrzeliby stałą ekspozycję przybliżającą historię pałacu oraz galerię, w której można obejrzeć najznakomitsze dzieła z pałacowych zbiorów oraz instrumenty, na których koncertowały znakomitości muzyczne.

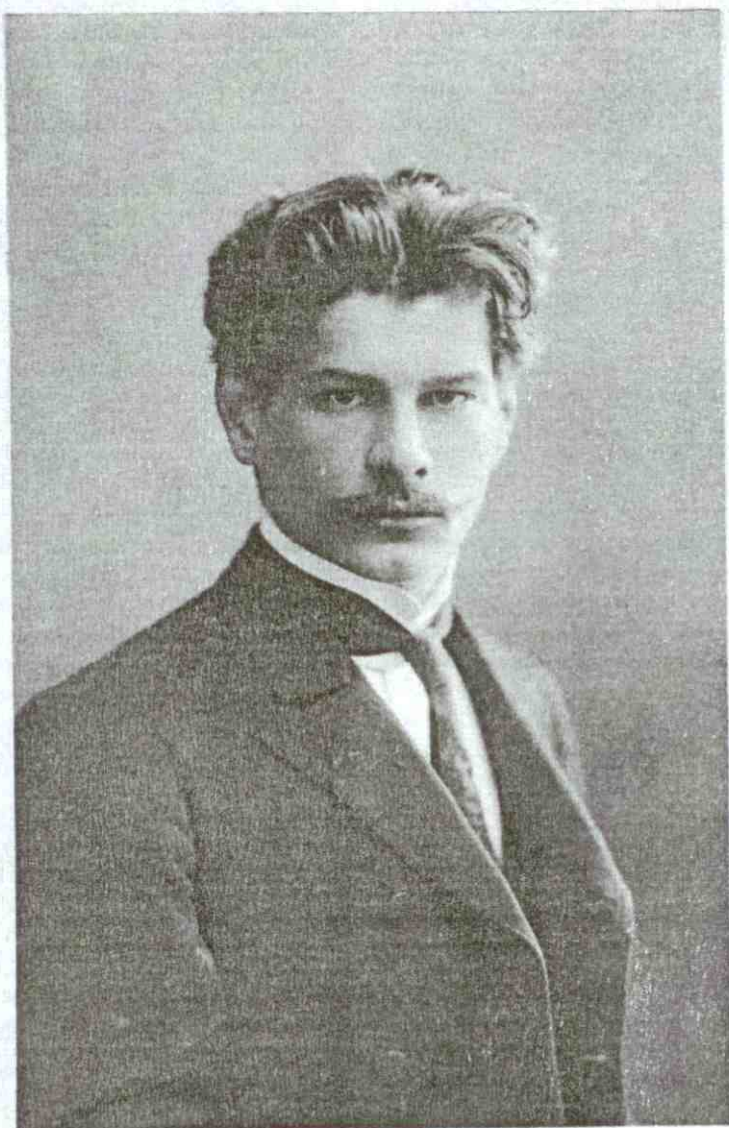
Wyprawa członków Sekcji Turystycznej Kościańskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku trwała 4 dni. Nie było czasu na nudę. Uczestnicy wyjazdu zobaczyli wiele bardzo różnorodnych ciekawych obiektów turystycznych, których na odwiedzanym terenie jest tak dużo, że nawet o wiele dłuższy pobyt da się bez kłopotów wypełnić interesującym programem.

LESZEK MICHAŁCZAK



Znany ośrodek górski Pustevny

Fot (2x) w zbiorach autora



*Je me souviens de votre chère et excellente petite sœur
M. Dąbrowska
1903. Bureau de l'Union... et Hauberson.*

Stefan Dąbrowski w młodości. Ze zbiorów córki red. Jadwigi Dąbrowskiej w Paryżu

Jak безпеka zniszczyła rektora (III)

3 maja 1946 roku w Krakowie doszło do antyrządowych manifestacji studenckich. Władza ludowa zareagowała przemocą, wprowadzono siły milicyjne i wojsko, strzelano do zgromadzonych - przeprowadzono liczne

aresztowania. Dziesięć dni później solidarnościowa manifestacja pod hasłem „Uwolnić aresztowanych kolegów w Krakowie” odbyła się w Poznaniu. Także tam interweniowały milicja i bezpieka. Aresztowano ok. 650 studentów. W śro-

dowisku akademickim stolicy Wielkopolski zawrzało. 14 maja w południe z poznańskimi studentami spotkali się wojewoda Feliks Widy - Wirski i rektor UP prof. dr Stefan Dąbrowski. Przybyły na nie tłumy. Wystąpienie Rektora przyjęto owacyjnie - emocje opadały, sytuacja uspokoiła się. Po tygodniu - 21 maja 1946 roku na podstawie informacji agenturalnej z obrad senatu UP poznańska bezpieka informowała Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie, co jeszcze nie było prawdą, bo rektor Dąbrowski był na bezpłatnym, wymuszonym ulopie, a na ten czas jego obowiązki przejął prorektor Błachowski: „Rektorem UP jest nowo obrany przez senat akademicki prof. Stefan Błachowski, doktor filozofii, profesor psychologii i pedagogiki eksperymentalnej, dyrektor Zakładu Psychologicznego, delegat do Senatu w roku 1926/27, dziekan w latach 1934/5; 1935/6 i 1936/7; prorektor w latach 1938/9 i 1945, obecnie rektor. Zapatrywań sanacyjnych - umiarkowany, zamieszkały w domu profesorskim ul. Libelta 14 (...)”. Profesor Stefan Dąbrowski martwił się bardzo. Kolejne próby odwołania go z funkcji rektora Uniwersytetu Poznańskiego znosił z trudem. Był chory - dawały o sobie znać zaburzenia układu krążenia. Zamiar usunięcia go ze stanowiska i z uczelni nie powiódł się, bo miał jeszcze wpływowych przyjaciół z lat przedwojennych. Tak więc - mimo zabiegów bezpieki - i wbrew doniesieniu jednego z agentów - nadal tkwił na posterunku, choć zdrowie wyraźnie go opuszczało. Funkcjonariusze UB wiedzieli, że „ma słabe serce”. Niszczono go więc perfidnie, po kawaleczku - szantażowano, nachodzono, wzywano i zastraszano. Niewątpliwie bronił go wojewoda poznański dr Feliks Widy - Wirski. Zbliżało się referendum ludowe, wyznaczone na 30 czerwca 1946 roku, a że Wielkopolska była ostoją narodowców i mikołajczykowskiego PSL, to do Poznania 23 czerwca przybył osobiście premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Edward Osóbka Morawski. Nie było dziełem przypadku, że w czasie tej „gospodarskiej wizyty” spotkał się z profesorami wyższych uczelni, ze studentami i z harcerzami.

Samolot z premierem Rządu Jedności Narodowej wylądował na lotnisku Ławica, skąd kolumna samochodów udała się wprost pod siedzibę Wojewódzkiego Komitetu PPS, gdzie Osóbka Morawski

miał na spotkanie z aktywnym, na którym wygłosił długie przemówienie. W partii socjalistycznej rysował się wyraźny rozłam. Wiadomo było, że ludzie sekretarza generalnego Centralnego Komitetu PPS - Józefa Cyrankiewicza dążą do komunikacji życia. W Poznaniu rozłam już nastąpił tylko, że wiadomość o tym stanowiła tajemnicę poliszynela, więc premier i zarazem przewodniczący centralnych władz PPS usiłował narastające konflikty załagodzić. Był podenerwowany i nie wiedział jeszcze, że za osiem miesięcy jego miejsce w rządzie zajmie wspomniany Cyrankiewicz, a za rok on sam odwołaany zostanie z funkcji szefa partii.

Gwizdy w Akademii Handlowej

Po wygłoszeniu przemówienia w siedzibie poznańskiego PPS, premier udał się do Akademii Handlowej, na zaproszenie rektora tej uczelni prof. Józefa Górskiego, gdzie odbywała się konferencja profesorów poznańskich wyższych uczelni, na której analizowano studenckie niepokoje. Jak doniósł konfident bezpieki w konferencji tej udział brali „rektor uniwersytetu Dąbrowski, prorektor Błachowski, dyrektor Szkoły Inżynierskiej Olgebrandt oraz wszyscy wybitni profesorowie; konferencja trwała pół godziny, po czym wszyscy udali się na salę ogólną, gdzie byli zebrani studenci”.

Aula Akademii Handlowej wypełniona była po brzegi. Studenci z różnych uczelni siedzieli także na podłodze i w korytarzu. Byli niezłe poinformowani o sytuacji w PPS-ie, więc Osóbkę Morawskiego powitali owacyjnie jako zwolennika niezależności Polski od Kraju Rad. Zaczęło się od powstania miejsc, burzy oklasków i w ogóle długotrwałej owacji. Premier poczuł się pewny siebie. Zaczął odczytywać „jedynie słuszny” referat polityczny. Atmosfera się zągęszczała.

Z raportu naczelnika Wydziału V Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu por. Józefa Dziemidoka do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie:

„(...) W czasie przemówienia premiera wielokrotnie przerywano głośnym uśmiechem i tupaniem nóg. W momencie, kiedy Premier powiedział, że winę za obecną granicę wschodnią ponosi Rząd Londyński, który w tej sprawie mógł dyskutować, kiedy wojska niemieckie były pod Stalingradem, reakcja sali była największa(...)”.

To była zaledwie przygrywka – zebra-

nych rozpałała do końca dyskusja. I tak najpierw, student Zawadzki zadał serię pytań: dlaczego się wina się tylko rząd londyński za wszystko, co się dzieje; dlaczego się prześladuje żołnierzy Armii Krajowej i członków Polskiego Stronnictwa Ludowego, choć rzekomo jest wolność? Czy reforma rolna jest dobra, skoro stwarza gospodarstwa karłowate? Czy jesteśmy suwerenni, jeśli dużo „ruskich” wszędzie widać. Czy jest prawdą, że towary UNRA, przeznaczone dla Polski, idą do Rosji?

„Złośliwe pytania”

Oliwy do ognia dolały wypowiedzi kolejnych studentów. Donosiciel, uczestniczący w spotkaniu, odnotował je następująco:

(...) *Studentka Marknicka przedstawiła tendencyjnie przebieg zajść w dniu 14 maja i wyraziła się, że nawet podniesiono kolbę na rektora Dąbrowskiego. (Oburzenie i śmiech na sali). Dlaczego koledzy do dziś siedzą, mimo, że nie ma na nich żadnego materiału? Student Wachowski poruszył sprawę niedopuszczenia młodzieży do prasy; tak samo prosił, aby prasa podawała również wszystkie drażliwe wydarzenia. Inni studenci pytali czy będzie zniesiona autonomia uczelni?; dlaczego prezes Bratniej Pomocy nie jest osobą prawną?; dlaczego się zmusza do świadczeń na Pożyczkę Odbudowy Kraju? (...)”.*

Premier bardzo się zdenerwował. Na pytania nie odpowiedział, stwierdził jedynie, że był osobiście w różnych miastach uniwersyteckich, lecz takiego złośliwego nastroju, jak w Poznaniu, nie zastał nigdzie i nie spodziewał się tego. Wypowiedź tak wywołała na sali ogólną wesołość. Konfident odnotował, że „Premier odbył jeszcze 10-minutową odprawę z aktywistami Bratniej Pomocy i Organizacji Demokratycznych. Zaznaczyć wypada, że nastrój sali był wybitnie wrogo nastawiony i gotowy do większych wystąpień. Odjeżdżającego Premiera żegnano zimno, nie padł nawet jeden okrzyk, ani nie oklaskiwano (...)”.

Spotkanie z premierem Osóbką Morawskim mogło się okazać dla profesora Stefan Dąbrowskiego przysłowiową ostatnią deską ratunku. Jednakże obrażony i zapewne przestraszony premier nie miał ani odwagi, ani ochoty bronić rektora. Bezpieka, dla której rektor Uniwersytetu Poznańskiego od samego początku był wrogiem klasowym numer jeden w

Poznaniu tryumfowała. Studenci zaś wiedzieli, że aresztowano syna Profesora, studenta prawa, który podjął działalność w niepodległościowej organizacji narodowej. To było uderzenie w najślabszy punkt; to był cios. Profesor wielokrotnie wyjeżdżał do stolicy, gdzie pośród znajomych naukowców i lekarzy zabiegał o zwolnienie syna z więzienia, co mu się zresztą udało. Równocześnie przygotowywał się do procesu niemieckiego zbrodniarza namiestnika Kraju Warty Artura Greisera, który toczył się w Poznaniu od 21 czerwca do 7 lipca 1946 roku. W procesie tym rektor Dąbrowski występował jako świadek. Profesor dobiegał siedemdziesiątki, wojna i prowokacje bezpieki dawały o sobie znać, podupadała na zdrowiu – mało kto wytrzymałby takie udreki. I mogę powtórzyć – nie umarł naturalną śmiercią, Jego – po prostu – zaszczuto.

Doktoraty i inne

Pisałem przed laty, że – poza Puszczycowem, na którego cmentarzu spoczywa i w którym szpital nosi Jego imię – środowisko naukowe Poznania o swoim rektorze całkowicie zapomniało. Teraz muszę stwierdzić, że wiele się zmieniło. W latach 2011-2012 o prof. Dąbrowskim napisano w Poznaniu dwa rzetelne doktoraty – u prof. Meissnera z historii medycyny i u prof. Sierpowskiego z archiwistyki w Instytucie Historii UAM. Do tego w tak zwanej sieci pojawiają się – pisane z potrzeby serca – artykuły różnych autorów. Obu promotorów wspomnianych doktoratów mam szczęście zaliczyć do grona znajomych. I chwala im za to, że – poprzez swoich uczniów – przypomnieli środowisku naukowemu Poznania kim był i co uczynił dla dobra nauki polskiej prof. Stefan Dąbrowski.

Na zakończenie przytoczę fragment tegorocznej dysertacji dra Józefa Malinowskiego z UAM:

„(...) Jesienią 1946 roku profesor zachorował na serce. Wkrótce pojawiła się niewydolność płuc. Od 11 lutego 1947 roku Dąbrowski leżał w szpitalu otoczony opieką rodziny, kolegów lekarzy i studentów z Koła Medyków. Kard. August Hlond w liście do prof. Stanisława Kasznicy, ubolewając nad chorobą Dąbrowskiego, napisał: „Jednak rektorat zadał mu ciężki fizycz-

ny cios". Przekazał choremu przez abp. Dymka błogosławieństwa Ojca Świętego i swoje, a także pomoc finansową i lekarstwa. 23 marca 1947 roku na budynku Collegium Minus flaga narodowa została opuszczona do połowy masztu. Był to znak żałoby Uniwersytetu Poznańskiego po zmarłym tego właśnie dnia, we wczesnych godzinach porannych, prof. Stefanie Dąbrowskim. O fakcie tym informowały lokalne dzienniki. „Głos Wielkopolski” donosił o śmierci „wybitnego uczonego i zasłużonego byłego rektora, wielkiego Polaka, prawego katolika i szlachetnego człowieka”. Pogrzeb odbył się w środę, 26 marca. Przybrał on formę uroczystości żałobnej z bardzo licznym udziałem przedstawicieli społeczności akademickiej i mieszkańców Poznania. Ciało zmarłego profesora zostało przewiezione z domu żałobnego do kościoła parafialnego św. Floriana na Jeźyczach i złożone w dębowej trumnie na katafalku. Uroczysta msza św. została odprawiona przez ks. dziekana Stanisława Lewandowskiego w obecności abpa Walentego Dymka i bpa Franciszka Jedwabskiego, Kapituły Katedralnej, członków Senatu UP, rektora prof. Stefana Błachowskiego i Rady Wydziału Lekarskiego UP. W uroczystościach wzięli udział ponadto rektor Akademii Handlowej prof. Józef Górski, rektor Szkoły Inżynierskiej prof. Bolesław Orgelbrandt oraz wojewoda poznański Stefan Brzeziński. Nieobecny był natomiast kard. Hlond, który telegram o zgonie i terminie pogrzebu prof. Dąbrowskiego otrzymał zbyt późno, aby mógł odwołać posiedzenie Komisji Głównej Episkopatu zwołanej w Warszawie. Prosił wdowę, aby z pieniędzy, które przekazał, pokryła koszty pogrzebu „mojego drogiego przyjaciela” oraz zadbała o zebranie pism i mów zmarłego Rektora, aby mogły być one przekazane potomności jako cenna spuścizna duchowa. Kard. Hlond uczestniczył natomiast w mszy świętej za profesora Dąbrowskiego, która odprawiona została 17 kwietnia 1947 roku w kościele Zbawiciela w Warszawie. Potem w swej rezydencji spotkał się z wdową i synem profesora (...).
Nic już dodać, i nic już ująć. (Koniec)

JERZY ZIELONKA

Zbrodnia i klęska jasnowidza

Zaczęło się tak: w czwartek 25 czerwca 1936 roku, w Wielichowie, 5-letni Tadiusz Dalaszyński wyszedł z domu do piekarza po chleb, a kiedy nie wracał zaniepokojeni rodzice wszczęli poszukiwania. Nieestety nikt go nie widział. Szukało go całe miasteczko - ochotnicy ze straży pożarnej, bracia kurkowi, policjanci. W takich przypadkach ludzie jednoczą się, spieszą z pomocą i okazują serce. Przez kilka dni rodzina miała jeszcze nadzieję, że – jak zwykle – Tadiusz wpadnie do domu z radosnym okrzykiem. Tymczasem – nic, pustka, jakby zapadł się pod ziemię. Rozpacz i niepokój rodziców trudno sobie wyobrazić, a czas upływał i sprawa zdawała się iść w zapomnienie.

Woda, staw, wały...

Tak się złożyło, że w lipcu 1936 roku gościł w Poznaniu owiany europejską sławą jasnowidz inż. Stefan Ossowiecki. W tej dziedzinie był w Polsce najlepszy. Zjeżdżali do niego do Warszawy z różnymi problemami ludzie z całego kraju; wspomagał też policję, a w jego seansach, wierząc w cudowny dar jasnowidzenia, uczestniczyli m.in. Ignacy Paderewski i Józef Piłsudski. Tak więc ojciec Tadiusza, zabrał czapkę synka i pojechał do Poznania. Tam – ponoć na hotelowym korytarzu – zdybał jasnowidza i prosił o pomoc. Ossowiecki oświadczył wtedy, że chłopiec nie żyje, a jego zwłoki zakopano w Wielichowie nad stawem. Mówił tak: - Woda, staw, drewniany most, wały...

Opis pasował do rzeczywistości. Przy drodze z Wielichowa do Ziemi, obok tak zwanej Kobylejgóry był park, w parku - staw, zaś w pobliżu wały strzelnicy miejscowego bractwa kurkowego. Teren ten dokładnie przeszczesano, spuszczono nawet wodę ze stawu i ciała nie znaleziono. Nadzieja umiera ostatnia. Rodzice wiedzeni nadzieją – nie zaprzestali poszuki-

wań. Matka ciągle czekała na synka. Powtarzała: - Chcę widzieć Tadiusza żywego czy martwego, ale chcę widzieć...

Wyprawa do Warszawy

Przeszło lato, po nim zima i nastąpiła wiosna. Ojciec chłopca nie rezygnował z poszukiwań. Przyszło mu na myśl, że być może ze sławnym jasnowidzem rozmawiał zbyt krótko, przeto znów zabrał czapkę chłopca i pojechał do Warszawy, gdzie 11 i 12 maja 1937 roku dwukrotnie przyjęty został przez inż. Ossowieckiego. Do Wielichowa wrócił rozanielony. Opowiadał żonie, że Tadiusz żyje i ma się dobrze. Trzeba go będzie tylko drogą dyplomatyczną odszukać i odzyskać. Tym razem bowiem jasnowidz zmienił zdanie i dotykając czapki mówił:

- Chłopiec żyje. Zabrały go ze sobą dwie Cyganki, które szły do Wielichowa, ale nie doszły. Chłopiec im się podobał, bo był blondynkiem. Tabor tych Cyganów znajduje się teraz na Węgrzech. Obchodzą się z dzieckiem troskliwie i nie wyrządzają mu krzywdy. Cyganki zabrały go w



Grób rodzinny Dalaszyńskich na cmentarzu w Wielichowie.

Fot. Paweł Michalski

miejscu, gdzie jest woda, wał i drewniany most...

Szybko ustalono, iż rzeczywiście w dniu zaginięcia chłopca w pobliżu wioski Ziemin rozłożył się cygański tabor. I już miano urzędowo zwrócić się do węgierskiej ambasady w Warszawie, kiedy 25 maja 1936 roku rozszła się wieść, że odnaleziono ciało jakiegoś dziecka. Znajdowało się w Wielichowie, blisko domu Daleczyńskich – zakopane w klepisku stodoły Antoniego Domagały, właściwie – zasypane na głębokości 10 centymetrów. Wyrzebał je pies gospodarza. Czytelnikom oszczędzę dalszych szczegółów. Do Wielichowa zjechali ze Śmigła – sędzia, lekarz i policjanci. Stawiła się też zrozpaczona rodzina. Nie było wątpliwości – ojciec rozpoznał Tadzia. Zapowiedziano szybkie i energiczne śledztwo.

Dzień później około godz. 21- ej miasteczko odprowadzało Tadzia Daleczyńskiego na miejscowy cmentarz. Żegnały go tłumy, a miejscowy proboszcz ks. Ludwik Górski wygłosił płomienną mowę nad trumienką, potępiając zbrodnię i nieznanego zbrod-

niarza, który i tak nie ujdzie karze bożej.

Pogrzeb magłośniała prasa wielkopolska i krajowa, zwracając uwagę na „kompromitację” sławnego jasnowidza. Nie trzeba było długo czekać. Inż. Stefan Ossowiecki rozestał do redakcji obszernie oświadczenie. Pisał w nim, że jasnowidz nie jest nieomylny i nie jest w stanie rozwiązać każdej zagadki; tłumaczył, że za rady udzielane ojcu dziecka nie pobierał żadnych pieniędzy (co było prawdą) oraz że jego rady podyktowane były nie zdolnościami paranormalnymi, tylko zwykłą logiką i zdrowym rozsądkiem. Jednym zdaniem – w tej sprawie nie miał wizji.

Kto zabił?

W owym czasie w większości tego rodzaju przypadków sprawców zbrodni w małych miastach wykrywano bardzo szybko – starczało kilkanaście dni. Tymczasem śledztwo w sprawie zamordowania Tadzia Daleczyńskiego – nie wiadomo dlaczego – toczyło się ślamazarnie. Pierwszy błąd polegał na tym, że pozostawiono je lokalnym policjantom śledczym

z Kościana i Śmigła. W zachowanych w całości raportach policyjnych – poza informacją o odnalezieniu i rozpoznaniu zwłok – nie ma na ten temat żadnej wzmianki. Wybuchła wojna i sprawa poszła w zapomnienie.

Wieść gminna niesie, że zbrodniarka była niespełna rozumu, mieszkała w miasteczku, a później latami na grobie Daleczyńskich kładła polne kwiaty. Ale to jest tylko wieść gminna. W ustalaniu szczegółów tego zdarzenia pomagali mi rodowici wielichowianie, historycy – panowie Zenon Józwiak i Paweł Michalski. Do niczego ważnego nie doszliśmy. Pojawiła się jedynie informacja, że okolicznościami śmierci chłopca interesowali się w 1940 roku funkcjonariusze posterunku niemieckiej żandarmerii w Wielichowie (Gendarmerie – Wiesenstadt), ale – wiadomo – mieli oni znacznie „ważniejsze” zadania (wysiedlanie, wywózka Polaków na roboty itp.) niż kontynuowanie śledztwa w sprawie jednego polskiego dziecka. Czyżby więc była to jedna ze zbrodni doskonałych?

JERZY ZIELONKA

Kościaniacy we Wrześni

„Wrzeński słownik biograficzny” zawiera 1100 biogramów wybitnych postaci w dziejach miasta i regionu. Dzieło to – pod redakcją miejscowego dziennikarza Romana Nowaczyka (Stańczyka) – doczekało się drugiego poprawionego, uzupełnionego wydania nakładem Wydawnictwa Kropka Jolanta i Waldemar Śliwaczyński. Czytelników „Wiadomości Kościańskich”, którym słownik ten gorąco polecam, zainteresuje zapewne fakt, że przedstawiono w nim m.in. sylwetki ludzi, wpisanych w dzieje Ziemi Kościańskiej. Są to:

Augustyn Brzeżański (1789 – 1855). Urodzony w Oborzyskach Starych. Oficer wojsk polskich i uczestnik powstań narodowych. Walczył w kampanii napoleońskiej, był dowódcą Jazdy Poznańskiej „pod generałem Dezyderym Chłapowskim” w Powstaniu Listopadowym i dowodził kawalerią w powstaniu poznańskim 1848 roku, brał udział w bitwie pod Miłosławiem.

Józef Aleksander Ceptowski (1905 – 1997). Urodził się w Łuszkowie. Absolwent Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stanisława Kostki w Kościanie. Lekarz powiatowy m.in. we Wrześni do 1939 roku. Po wojnie jeden z organizatorów służby zdrowia w Poznaniu, Zielonej Górze i Katowicach. Długoletni dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Poznaniu. Jego obszerny biogram znajduje się także w pierwszym tomie „Słownika biograficznego absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie” opracowanym przez Zdzisława Wojtczaka (Kościan 1998).

Franciszek Ferfet (1890 – 1960). Burmistrz Kościana w latach 1937 – 1939. Kapitan WP. Inicjator budowy lodowiska i basenu pływackiego w Kościanie. Opiekun bezrobotnych. Jego obszerny biogram opracował w 1985 roku śp. dr Piotr Bauer. Biogram burmistrza opracowała także i opublikowała Teresa Masłowska w „Szkicach z dziejów kościańskiego magistratu” pod redakcją Józefa Kubickiego (Kościan 2006).

Stanisław Grodziski (1894 – 1939). Urodził się w Łagowie. Powstaniec wielkopolski. Walczył pod Osieczną, Pawłowicami i Wolsztynem. Zawodowy żołnierz. W kampanii wrześniowej 1939 był kierownicą w 68 pułku piechoty. Ciężko ranny nad Bugiem, przebywał w szpitalu w Brześciu. Uznano, że tam zmarł. Ożenił się z Marią Ratajczak z Wrześni.

Kazimierz Grudzielski (1856 – 1921). Urodził się w Turwi. Podpułkownik wojsk pruskich. W 1917 roku przeszedł w stan spoczynku i zamieszkał w Sołecznie pow. wrzeński, następnie w majątku Mycielskich. Był komendantem Straży Ludowej powiatu wrzeńskiego; komendantem powiatowym Służby Straży i Bezpieczeństwa; organizował i szkolił oddziały powstańcze. Dowodził akcjami powstańczymi w walkach pod Żninem, Szubinem, Kcynią i Rynarzewem. W marcu 1919 roku awansowany do stopnia generała podporucznika wojska wielkopolskiego, od listopada tegoż roku dowódcą Twierdzy Toruń. W 1921 roku w stopniu generała dywizji przeszedł w stan spoczynku. Obszerny biogram generała opracowali prof. dr hab. Bogusław Polak i dr Piotr Bauer (Kościan 1974).

Antoni Barnaba Jabłonowski (1732 – 1799). Książę, wojewoda poznański, właściciel rozległych dóbr m.in. w Wielkopolsce, .in. w powiatach wrzeńskim i kościańskim (Racot). Mecenaz kultury, fundator m.in. pałacu w Racocie. Twórca teatru dworskiego. Przyjaźnił się m.in. z Józefem Wybickim, prezydentem Warszawy w dobie Insurekcji Ignacym Wysogotą – Zakrzewskim. Pozostawił ciekawy „Pamiętnik”. Ob-

szernie napisała o nim Teresa Wiśniewska w monografii „Racot - Perła Wielkopolski”, Kościan 2010.

Zofia Jankowska Gradek (1914 – 1988). Nauczycielka w Kluczewie. Zasłużona w dziedzinie tajnego nauczania w latach okupacji niemieckiej 1939 – 1945. Po wojnie była nauczycielką w Szkole Podstawowej nr 2 we Wrześni, skąd w 1970 roku przeszła na emeryturę. Obszerny jej biogram pozostawił w spuściznie regionalista kościański i pedagog śp. Józef Kubicki.

Jan Kanty Kowalski (1829 – 1909). Duchowny katolicki. Wikariusz w Kościanie w latach pięćdziesiątych XIX wieku, później proboszcz w Czeszewie koło Miłosławia. Działacz Towarzystwa Czytelni Ludowych i Banku Ludowego w Miłosławiu. Wszystkie oszczędności przeznaczał na cele dobroczynne.

Ignacy Kujawa (1890 – 1979). Urzędnik skarbowy w Kościanie w latach II RP, od 1924 – 1939 kontroler skarbowy. Uczestnik strajku szkolnego we Wrześni w 1901 roku; powstaniec wielkopolski - dowódca plutonu ckm, walczył m.in. pod Rynarzewem. Po II wojnie światowej organizator polskiej skarbowości na Ziemiach Odzyskanych; jego córka Janina była inspektorem skarbowym w Kościanie w latach 1945 – 1948. Wspomina o nich Miron Ratajczak w publikacji pt. „Szkice z dziejów kościańskiej skarbowości” (Kościan 2000).

Stanisław Majchrzak (1901 – 1987). Urodzony w Czaczu. Syn Franciszka – rolnika z Wielichowa. Absolwent niemieckiej szkoły w Śmiglu, uczeń Szkoły Rolniczej w Bojanowie Starym koło Rawicza. Powstaniec wielkopolski, nauczyciel. Polski działacz na Śląsku. Żołnierz Armii Krajowej. Po wojnie kierownik szkoły w Sobiesierniach. Miłośnik pszczelarstwa. (cdn)

JERZY ZIELONKA